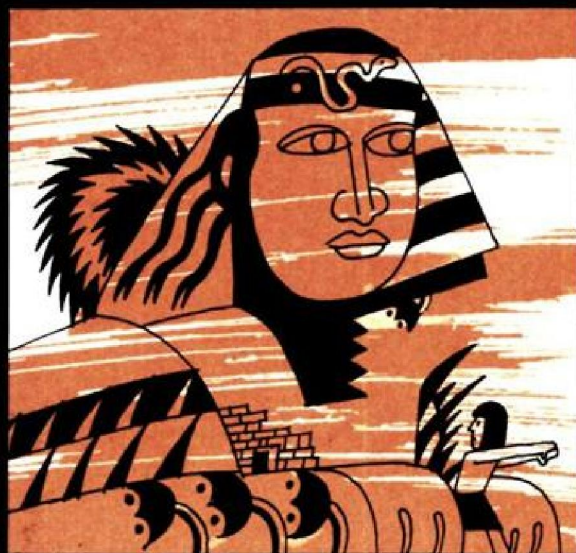


# JERZY EDIGEY



## STRAŻNIK PIRAMIDY

Czytelnik

Jerzy EDIGEY

# STRAŻNIK PIRAMIDY

CZYTELNIK

„Czytelnik”, Warszawa 1990.

Wydanie II

Ark, wyd. 10,9; ark, druk. 14

Skład

Wydawnictwo Współczesne w Warszawie

Druk

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca w Krakowie

Zam. wyd. 777a

druk. 1312/90

Printed in Poland

## POCZĄTEK WIELKIEJ PRZYGODY

Tabliczka nad drzwiami prowadzącymi do kabiny pilota rozświetliła się czerwonym napisem: „Zapiąć pasy, nie palić”. Ile razy spoglądałem na te świetlne nakazy, zawsze stwierdzałem, że brakuje tam jednego małego słowa: „proszę”. Tym razem jednak byłem zbyt przejęty, aby zwracać uwagę na takie głupstwa. Z nosem przyklejonym do szyby małego okienka naszego Iła, obserwowałem błękit Morza Śródziemnego i jego fale rozbijające się o brzeg żółtej pustyni. Nieco głębiej ktoś jakby przeciągnął na piasku prostą krechę gigantycznym ołówkiem. To historyczna szosa Aleksandria-Tobruk. Wzdłuż niej w czasie drugiej wojny światowej toczyły się zacięte boje o każdy splot piasku, w który wsiąkała i polska krew.

Nasz samolot położył się w lekki skręt. Morze zaczęło się oddalać. Przez dość długą chwilę lecieliśmy nad martwą pustynią, nie urozmaiconą nawet najmniejszą ścieżką. Ale już wkrótce zza horyzontu wyłoniła się wąziutka linia zieleni, a na jej prawej krawędzi wyrastała płatanina wysokich domów, obłożonych niby wianuszkami małymi zabudowaniami. Zbliżaliśmy się do Kairu.

– Proszę spojrzeć, te trzy stożkowate pagórki – informowała sympatyczna stewardesa – to Wielkie Piramidy w Gizie.

Miałem szczęście, siedziałem właśnie przy okienku z prawej

strony i rzeczywiście na samym skraju zielonego pasma doliny Nilu, ale już na pustyni, zauważyłem trzy bardziej szare pagórki. Piramidy! Największe stosy kamienia, jakie kiedykolwiek człowiek ułożył. Chyba również najbardziej nonsensowne i niepotrzebne nikomu (prócz jednego człowieka – faraona) budowle stworzone przez ludzkość.

Przypomniały mi się odległe lata. Znowu byłem w szkole, w którejś klasie, bodajże w trzeciej, i uczyłem się historii starożytnej. Cheops, Chefren i Mykerinos, tak zwali się ci władcy Egiptu. Sto tysięcy niewolników dziesiątkami lat budowało ich piramidy. Ogromne bloki skalne ciągnięto setkami kilometrów na wielkich drewnianych saniach. Bat dozorczy spadał na karki pochylnych, ciężko pracujących ludzi... Oglądałem jakiś amerykański film na ten temat.

Później, kiedy z tymi historycznymi problemami zetknąłem się jako człowiek dorosły, prawda o budowie piramid okazała się zupełnie inna. Budowali je egipscy chłopcy w okresach wylewu Nilu, to jest około trzech miesięcy w ciągu roku. Bloków skalnych nie ciągnięto setkami kilometrów, lecz wyłamywano wapień – z niego powstały te wielkie ostrosłupy – na miejscu, lub w niedalekich kamieniołomach w Turze. Robotnicy za swoją pracę otrzymywali zapłatę w zbożu potrzebnym im na siewy i w odzieży. Tylko najlepsi fachowcy, których współcześnie nazwalibyśmy „wysoko kwalifikowanymi robotnikami” czy majstrami, byli zatrudniani przez cały rok. Liczba każdorazowo zatrudnionych nigdy nie przekroczyła dwudziestu tysięcy. Mimo to nie zmieniło się moje przekonanie o całkowitej nieużyteczności tego rodzaju „robót publicznych”.

Ale teraz, patrząc na piramidy, pamiętam przede wszystkim tamten szkolny mit. Muszę przyznać, że w widoku tych wielkich

kamiennych brył jest coś majestatycznego i urzekającego. Postanowiłem, że nazajutrz, kiedy się trochę zadomowię w Kairze, a najważniejsze, kiedy znajdę sobie jakieś miejsce do spania, zaraz wybiorę się do Gizy.

Tymczasem nasz Ił znowu zmienił kierunek lotu i obniżył wysokość. Teraz szybowaliśmy nad zachodnią częścią miasta. Jeszcze tylko przecięcie Nilu, który z tej wysokości wygląda jak jasnoniebieska wstęga rzucona na zielony materiał i jest mniej więcej dwukrotnie szerszy od Wisły, oraz przelot nad szafirową wyspą El Zamalik – i znaleźliśmy się nad centrum sześciomilionowej stolicy. Z góry wyraźnie było widać długie sznurki samochodów i tłumy na chodnikach. Nic dziwnego, Kair jest jednym z najbardziej zaludnionych miast świata. W śródmieściu, na przestrzeni mniejszej niż Warszawa, mieszka tutaj czterokrotnie więcej ludzi.

Lotnisko leży już na pustyni, około piętnastu kilometrów na północny wschód od centrum. Nasz samolot zatoczył powtórnie szeroki łuk i obniżając lot dotknął kołami pasów startowych.

Nie upłynęło pięć minut, kiedy po raz pierwszy stanąłem na lądzie Afryki.

Tak się zaczęła największa przygoda mojego życia.

## WIELBŁĄDNIK Z GIZY

Szybko okazało się, że znalezienie w Kairze pokoju hotelowego nie jest sprawą prostą. Na pewno były wolne w tak luksusowych gmachach, jak „Nile-Hilton”, „Semiramis” czy „Sheraton”, ale dla turysty znad Wisły nie wchodziły one w grę ze zrozumiałych względów. Musiałem się dobrze nabiegać, zanim wylądowałem w hotelu „Scarabee”, to znaczy po prostu „Skarabeusz”, który poza umiarkowaną ceną miał jeszcze tę zaletę, że znajdował się w samym centrum stolicy, przy sharia, czyli ulicy 26 Lipca (data odzyskania przez Egipt niepodległości).

W Kairze znajduje się bardzo wiele biur podróży, miasto jest przecież ważnym ośrodkiem światowej turystyki. Każde z tych biur oferuje usługi proponując najrozmaitsze wycieczki po Egipcie. Naturalnie między innymi i do Wielkich Piramid leżących na przedmieściu Kairu, w Gizie. Taka przyjemność kosztuje jeden funt egipski, a zatem mniej więcej około stu polskich złotych. Jedzie się autokarem w towarzystwie przewodnika.

Jak mnie poinformował portier hotelowy, tę samą drogę można przebyć za dziesięć piastrow (funt egipski dzieli się na sto piastrow), podróżując po prostu autobusem miejskim z pobliskiego Midan el-Tahrir, czyli Placu Wolności. A komuś, kto przeczytał choćby jedną z popularnych książek o starożytnym Egipcie – jak na przykład

„Nie tylko piramidy” profesora Kazimierza Michałowskiego – przewodnik nie jest potrzebny. Zresztą, jak mnie zapewniał miły przedstawiciel hotelu „Skarabeusz”, pod piramidami aż się roi od sprzedawców starożytności, przygodnych a gorliwych informatorów i rozmaitych wydrwigroszy polujących na zamożnych, naiwnych cudzoziemców. Pochlebiam sobie, że nie jestem „naiwny” i także, niestety, nie zaliczam się do tej drugiej kategorii – ludzi bogatych. Wybrałem autobus miejski.

Przejazd przez miasto i jego przedmieścia trwał dobre pół godziny. Do Gizy z centrum Kairu jest około dwudziestu kilometrów. Wsiadłem przy hotelu „Mena” na sharia Al Ahram. Tu kończy się dolina Nilu. Dalej widać prawie pionową, na sto metrów wysoką ścianę, za którą rozpościera się pustynia. Na samej krawędzi tej ściany wystrzelają w górę trzy wielkie kamienne kopce – piramidy. Największa z nich, Cheopsa, miała pierwotnie 146 metrów wysokości. Obecnie jest o dziesięć metrów niższa na skutek wyłamania dużej ilości kamieni z jej zewnętrznej obudowy. Podstawa tej piramidy, o bokach długości 230 metrów, zajmuje ponad 5 kilometrów kwadratowych powierzchni. Zbudowano tę piramidę z ponad dwu milionów bloków wapienia, a każdy z nich ważył przeciętnie około dwóch i pół tony.

Dobry syn Cheopsa, faraon Chefren, był nieco skromniejszy w swoich ambicjach. Jego piramida jest o osiem metrów niższa. Za to obłożył ją nie wapieniem, jak ojciec, lecz czerwonym granitem sprowadzonym aż z Sunu (dzisiejszy Asuan). Prócz tego pozostawił po sobie jeszcze inną pamiątkę – wielkiego sfinksa. Jest to lew z głową tegoż faraona. Około 1400 roku naszej ery jakiś fanatyczny muzułmanin odłupał sfinksovi nos i tak pozostało do dziś dnia.

Trzecia z wielkich piramid, Mykerinosa, prawdopodobnie wnuka



Cheopsa, jest znacznie mniejsza. Najwyraźniej możliwości ekonomiczne państwa nie pozwalały już na równie gigantyczne budowle, jak poprzednio. Pewne ślady wskazują, że wykończono ją dopiero po śmierci tego władcy.

Dzisiaj do piramid podchodzi się lub podejżdza wygodną asfaltową szosą, kończącą się tuż przed wejściem do piramidy Cheopsa. Cały teren przecięto asfaltowanymi ulicami, pozwalającymi wycieczkowiczom siedzącym w wygodnym autokarze „zaliczyć” wszystkie trzy piramidy w ciągu pół godziny.

Wzdłuż całej drogi wiodącej pod górę stoją wielbłądnicy wraz ze swoimi zwierzętami. Dojazd do piramid na wielbłądzie to także jedna z atrakcji turystycznych. Nie mogłem sobie jej odmówić. Widząc moje zainteresowanie, natychmiast otoczyli mnie poganiacze oferując swe usługi. Tylko jeden z nich stał nieco z boku i wyróżniał się tym, że nie był jak inni natrętny. A jego wielbłąd miał bielszą sierść niż pozostałe i staranniej wyczyszczoną. Uprząż skromniejszą, ale schludną. Także galabija poganiacza, długa luźna szata, nieco podobna do księżowskiej sutanny, stanowiąca tradycyjny narodowy strój Egipcjan, wydawała się tak świeża, jak gdyby wyjęta wprost z szafy. Obok wielbłądnika stał młody, na oko szesnastoletni chłopak, ogromnie podobny do starszego Araba. Nie ulegało wątpliwości, że to jego syn. Zdecydowałem się na tego właśnie przewodnika.

– Ile? – zapytałem po francusku.

Każdy z tego tłumku ludzi kręcących się pod piramidami zna po kilkadziesiąt wyrazów w obcych językach. Najlepiej władają angielskim, bo z tej strefy językowej najwięcej turystów przybywa do Egiptu. Ale i po francusku potrafią na ogół porozumieć się z turystami. Wielu z nich zna także niektóre zwroty i słowa polskie, rosyjskie lub czeskie.

– Trzy funty, panie – odpowiedział przewoźnik – zawiozę pana do Achet Chufu i wszystko tam pokażę.

Ten Arab mówił znakomicie po francusku. A poza tym powiedział „Achet Chufu”, nie: „piramida Cheopsa”. Na pewno lepiej niż inni zgłębił historię starożytnego Egiptu, skoro znał staroegipskie nazwy. Przecież Cheops, Chefren czy Mykerinos, a także takie słowa, jak „piramida” lub „faraon”, to terminy greckie, które w użycie weszły w Egipcie w epoce Ptolomeuszy, a więc były późniejsze o prawie dwa tysiące pięćset lat niż te sterczące nad nami olbrzymie kamienne budowle. Achet Chufu – tak swój grobowiec nazwał faraon Cheops, czyli właśnie Chufu. A znaczyło to „Horyzont Chufu”. W tamtej epoce piramidy nazywano Domem Miliona Lat.

– Trzy funty?! – zawołałem łapiąc się za głowę. – To wielkie pieniądze!

– Skąd jesteś, panie?

– Z Polski.

– Bolanda – ucieszył się właściciel wielbłąda. – Dla Polaka tylko dwa funty.

– Polak płaci tylko funta – targowałem się.

– Proszę, niech pan siada.

Na rozkaz poganiacza wielbłąd ukląkł. Wdrapałem się na siodło i włożyłem nogi w strzemiona. Następny rozkaz – i wielbłąd zaczął się podnosić. Te zwierzęta wstają najpierw na tylne, później dopiero na przednie nogi. Gdyby nie przewodnik, który mnie podtrzymał, na pewno bym wylądował na asfalcie ulicy. Jakoś jednak przy jego pomocy utrzymałem się w siodle.

Kawalerzysta ze mnie marny. Raz tylko w życiu siedziałem na koniu. A i to szybko doszło między nami do „nieporozumienia towarzyskiego” i każdy z nas poszedł własną drogą. Ja co prawda z lekka kulejąc. Dlatego i teraz na szczycie tego jednogarnego zwierza

czułem się niepewnie. W dodatku taka jazda bardziej trzęsie niż wyścigi rowerowe po kocich łbach. Wielbłąd tak jakoś dziwnie stawia nogi, że jeździec podskakuje przy każdym kroku.

Kiedy trochę przyzwyczailem się do tej trzęsionki, zdecydowałem przez zwykłą przekorę:

– Pojedziemy do Domu Miliona Lat Chafre.

Użyłem tych terminów specjalnie, aby przewodnik zorientował się, że i ja trochę liznałem wiedzy o starym Egipcie.

– Do Chafre? – Arab przystanął. – Tam nie ma nic ciekawego.

– Chcę dokładnie zbadać tę piramidę – nadal się upierałem – może coś tam jednak znaleźć.

Co mogłem znaleźć w tym potężnym bloku kamieni? Przecież piramidy zostały obrabowane już ponad cztery tysiące lat temu, w tak zwanym Pierwszym Okresie Przejściowym\*. W dziewiątym wieku naszej ery władający Egiptem kalif Al Maamun, słysząc legendy o złotych skarbach, kazał drążyć szyb w piramidzie Cheopsa, by w ten sposób dotrzeć do jednego z wewnętrznych korytarzy i dalej do komory grobowej. Rozbił tam kamienny sarkofag i podobno znalazł w nim mumię faraona, ale bez żadnych skarbów, więc zaniechał dalszych poszukiwań w sąsiednich piramidach. Przed stu pięćdziesięciu laty angielski pułkownik Howard Vyse przy pomocy materiałów wybuchowych otworzył sobie drogę do wnętrza piramidy Mykerinosa, lecz poza pustymi i porozbijanymi sarkofagami i on także nic nie znalazł. Później piramidy badało jeszcze wielu uczonych i zwiedzały je miliony turystów. Jakie więc szanse mógł mieć „amator” z Polski w 1967 roku?

Pierwszy Okres Przejściowy – lata 2181-2133 p.n.e. Chronologia tych czasów najdawniejszych nie jest jednak zbyt pewna i zachodzą różnice w datach podawanych przez różnych uczonych.

A jednak człowiek w niebieskiej galabiji wydawał się nie tylko zdziwiony, ale także jak gdyby zaniepokojony moją decyzją. Starał się mnie odwieść od tego zamiaru i ciągle tłumaczył, że nie warto tracić czasu na zwiedzanie tej piramidy. Obiecywał mi prawdziwe cuda tuż obok, a nawet kusił, że bez żadnej dopłaty zawiezie mnie do sfinksa i pokaże stojącą obok wielką świątynię grobową, właśnie Chefrena, czyli Chafre.

Im bardziej mnie namawiał, tym bardziej się upierałem przy „mojej” piramidzie Chafre. W końcu Arab ustąpił i objechaliśmy tę piramidę dookoła.

– Podobno budowano ją przez trzydzieści lat? – zagadnąłem.

– To nieprawda – zaprzeczył właściciel wielbłąda, który mnie tak niemiłosiernie trząsał – ta budowa trwała zaledwie szesnaście czy siedemnaście lat, i to wraz z wielkim sfinksem i dolną świątynią. To Achet Chufu budowano około trzydziestu sezonów. Tutaj poszło prędkiej, bo była już gotowa droga do transportu budulca. Postawiono ten Dom Miliona Lat na dawnym placu składowym Cheopsa, odpadły więc także wszystkie prace przygotowawcze. A poza tym budowniczy mieli doświadczenie przy wznoszeniu tego rodzaju konstrukcji. Achet Chufu natomiast było jakby prototypem.

– No – zaoponowałem – stały już przecież piramidy Dżasera i Snofru, a także paru innych władców Egiptu.

– Ale nie tutaj, nie w Gizie. Poza tym pomiędzy Dżeserem – wielbłądnik poprawił moją błędną wymowę – a Chafre upłynęło chyba ze sto pięćdziesiąt lat. Wielki budowniczy z tamtej epoki, Imhotep, od dawna spoczywał w grobie. Ten, który stawiał Dom

Miliona Lat Chafre, budowniczy Ibis-Ra, wzorował się nie na Imhotepie, lecz na tych, którzy stworzyli Achet Chufu.

Poganiacz wielbłądów coraz bardziej imponował mi swoją wiedzą. Miałem dobrego nosa, że wybrałem właśnie jego. Inni na pewno opowiadaliby różne bajeczki wymyślone wyłącznie dla zadziwienia turystów.

– Skąd pan tak dobrze włada francuskim? – zapytałem.

– Przez wiele lat pracowałem we Francji jako najemny robotnik.

W Marsylii i w Paryżu.

– No i historię Egiptu zna pan doskonale... – moja ciekawość zaczynała być trochę nachalna.

Arab uśmiechnął się lekko.

– Żyję z tego, co opowiadam, i z mojego wielbłąda. Muszę więc wiedzieć, co komu należy mówić. Kiedy oprowadzam wycieczkę podstarzałych Amerykanek, wymyślam najrozmaitsze sensacyjne opowieści.

Nasza podróż dookoła piramidy skończyła się wreszcie i mogłem zejść z tego trzęsącego bydlaka, jakim okazał się mój wielbłąd. Jeden funt egipski zmienił właściciela, podziękowałem poganiaczowi i jego synowi, który jak do tej pory nie odezwał się słówkiem, i skierowałem się w stronę żelaznego okratowania, kryjącego wejście do wnętrza piramidy. Stojący u drzwi bileter skontrolował moją kartę wstępu (dodatkowe dziesięć piastrow) i wpuścił do środka.

Korytarz, wykuty w skale na zewnątrz piramidy, po paru metrach zmienił się w dość stromo opadający loch, o mniej więcej kwadratowym przekroju i wymiarach około metra dwudziestu centymetrów każdego boku. Ściany ułożone z płyt wapienia tak umiejętnie dopasowano, że i dziś, po czterdziestu pięciu wiekach, nie wetknąłbyś noża w szparę między nimi. Spadek poziomy był dość duży. I choć

ułożona drewniana podłoga z poprzecznymi szczeblami ułatwiać miała schodzenie w dół, nie należało to do przyjemności, zwłaszcza że natura nie poskąpiła mi wzrostu.

Po jakichś pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu metrach korytarz kończył się wysoką na kilka metrów, niewielką celą. Z niej, po małej drabince, można się było dostać do takiego samego lochu biegnącego z powrotem, ale już na wyższym poziomie, oraz do drugiego korytarza wiodącego w głąb piramidy.

Z satysfakcją wyprostowałem kark i chwilę odpocząłem, po czym, chciał nie chciał, udałem się w dalszą drogę. Wchodzenie pod górę było równie mało przyjemne. Wreszcie znalazłem się w samym środku kamiennego kopca. Komora grobowa miała wymiary chyba z osiem na pięć metrów i wysokości około czterech metrów. Jej sufit tworzyły dwie duże płyty, stykające się ze sobą pod kątem rozwartym. Pod zachodnią ścianą znajdował się wielki sarkofag z czarnego granitu. Z niemałym trudem musiano go tu przetransportować, aż dziw, że zmieścił się w tych wąziutkich przejściach, nie mówiąc już o wciąganiu go po drabince...

Mimo upływu tylu wieków powietrze było tak świeże, jak na zewnątrz. Najwidoczniej budowniczowie pozostawili tu jakieś ukryte przewody wentylacyjne, działające do dziś bez zarzutu.

Obejrzenie tego wszystkiego nie zajęło mi nawet dwóch minut. I znów trzeba było przeciskać się wąskimi korytarzykami z powrotem. Wróciłem jednak inną drogą i znalazłem się na niewielkim tarasie, na wysokości prawie trzech pięter. Pod pozorem obejrzenia pozostałości po dawnych magazynach i pomieszczeniach dla robotników odpocząłem nieco po mozolnej przechadzce, a następnie wygodnymi i zrzęcznie ukrytymi schodkami zszedłem w dół.

Ku memu zdziwieniu Arab, jego syn i wielbłąd czekali na mnie.

– I cóż pan odkrył? – zapytał wielbłądnik.

– Nic – spojrzałem na niego trochę rozbawiony.

– A mówiłem, że tam nic nie ma.

– Może po prostu nie umiałem niczego znaleźć. Trzeba będzie się tym zająć bardziej szczegółowo – zażartowałem.

– Pan jest archeologiem? Przedstawicielem jakiejś ekspedycji? Macie rozpocząć badania? – w głosie mojego rozmówcy zabrzmiała nutka niepokoju.

– Jestem zwykłym turystą – zapewniłem Araba.

Coś jakby cień ulgi przemknął po jego twarzy. A może mnie się tylko tak zdawało?

– Pojedziemy obejrzeć sfinksa i świątynię? – zaproponował.

– Nie dzisiaj. Taki ładny dzień. Mam już dosyć zwiedzania. Teraz chciałbym trochę poleżeć na słońcu i poopalać się. My, Polacy, nieczęsto mamy możliwość opalania się w początkach marca przy temperaturze 26 stopni w cieniu. Sfinksa obejrzę innym razem. Będę tu przecież częstym gościem.

– W Sakkara, w Dahszur i w Medum są także piramidy. Znacznie ciekawsze i mniej zbadane niż te w Gizie. Radzę panu zwiedzić i tamte miejscowości.

– Zobaczę je także, ale mnie przede wszystkim interesuje Giza!

– Dlaczego? – Arab znowu się zaniepokoił. Wobec tego żartowałem dalej:

– I to głównie Chafre.

– Pan tu nic nie znajdzie! – wykrzyknął mój rozmówca, tracąc najwyraźniej panowanie nad sobą.

Swoją drogą, sam nie wiem, dlaczego zacząłem tę grę i z jakiego powodu to się tak nie podobało właścicielowi białego wielbłąda.

- Idę się opalać – przerwałem dyskusję – do widzenia.
- Zaprowadzę pana – chłopiec po raz pierwszy otworzył usta.

On także doskonale władał językiem francuskim, chociaż na pewno nie pracował we Francji. – Za piramidą Menkaure jest wygodna, bardzo nasłoneczniona dolinka o czystym i miękkim piasku. To niedaleko. Zaledwie pół kilometra. Nikt tam nie zagląda. Niech pan idzie ze mną. Proszę uważać pod nogi, bo tu pełno rozpadlin.

Piramida Chefrena leży jak gdyby w zagłębieniu. Jej budowniczowie wykorzystali plac, skąd Cheops czerpał budulec i gdzie zorganizował całe zaplecze swojej budowli. Ta niecka ma chyba sześć metrów głębokości. W niektórych miejscach ściany są zupełnie pionowe. W innych leży sporo gruzu i wielkie odłamy skalne. Trzeba więc naprawdę uważać, aby w jakimś zagłębieniu nie skrócić nogi.

Po drodze mój młody przewodnik wyjaśnił, że ma na imię Jasin, a jego ojciec nazywa się Achmed el Hosni, co po arabsku znaczy „piękny”. Są właścicielami jednego wielbłąda i mieszkają w tej dzielnicy Gizy, która leży na południe od wielkiego sfinksa.

- Macie gospodarkę?
- Nie. Ale mamy własny dom. Własny dom i wielbłąda. Ojciec jest bogatym człowiekiem – dodał nie bez dumy.
- Masz dużo braci i sióstr? – zapytałem wiedząc, że rodziny egipskie są bardzo liczne. Dziesięcioro dzieci nie należy do wyjątków.

– Jestem jedynakiem. Matka umarła, kiedy byłem mały.

Przechodziliśmy koło piramidy Mykerinosa, czyli po egipsku Menkaure. Znacznie mniejsza od dwóch pozostałych, zachowała na dole oryginalną wykładzinę z czerwonego granitu, ale płyty tutaj nie były szlifowane jak u Chefrena i na zewnątrz zachowały swój lekko



półkolisty kształt. Ten rodzaj budownictwa przypominał mi kamieniarkę naszych górali tatrzańskich. Przetrwiała ta okładzina w dolnych warstwach. Wyżej, po stronie północnej, widniała wielka wyrwa spowodowana „poszukiwaniami archeologicznymi” pułkownika Vyse'a, który nie szczędził prochu. Wąziutką szczelinę, odsłaniającą właściwe wejście, zabezpieczono solidną żelazną kratą. Tuż obok znajdowały się trzy malutkie i bardzo nadszarpięte zębem czasu piramidy, wykorzystywane zapewne na grobowce żon faraona lub po prostu modele przy budowie Wielkiej Piramidy.

– Tę powinien pan zbadać – wskazał ręką chłopak, który także brał mnie widać za archeologa. – Ona może kryć wiele różnych zagadek.

– Nic nie będę badał – roześmiałem się – zostawmy to fachowcom. Co się wam obu ubzdurało z tymi moimi poszukiwaniami?

– Bo pan się tak interesował piramidą Chefrena... – chłopak nagle urwał, jak gdyby w obawie, że powiedział za wiele.

Malutka kotlinka, do której mnie Jasin zaprowadził, warta była pochwał. Zaciszna i pusta. A jak gorąco! Człowiekowi, jeszcze w przeddzień oddychającemu mroźnym powietrzem Warszawy, zdawało się, że go nagle przeniesiono do raj. Szybko zacząłem ściągać koszulę, aby nie tracić czasu.

– Niech pan uważa! – ostrzegał Jasin. – To przecież słońce południa. Nie tylko opala, ale może także dotkliwie poparzyć. Najwyżej trzydzieści minut...

– Nic mi nie będzie. Mam doskonały krem.

– Na nasze słońce nie pomoże żaden krem. Najwyżej trzydzieści minut – chłopiec ostrzegł mnie powtórnie i pozostawił samego.

Wysmarowałem się niveą i ani się spostrzegłem, jak zmęczony wrażeniami uciąłem sobie smaczną drzemkę. Obudziłem się po czterdziestu minutach i stwierdziłem, że mój młody przyjaciel nie przesadzał. Należało natychmiast przerwać tę słoneczną kąpiel. Ale nie chciało mi się ruszyć z miejsca. Tak było ciepło i przyjemnie! Na tle niebieskiego nieba ostro rysowały się kontury piramid. Niemniej, pomny dobrych rad, ubrałem się, lecz jeszcze z godzinkę odpoczywałem na mięciutkim piasku. Ciekawe. Dokoła pustynia, a wszędzie znajdowałem maleńkie białe muszelki. Czy przed dziesiątkami tysięcy lat Nil zalewał i te tereny, czy też szumiało tutaj morze?

Zrobiło się późno. Trzeba było wracać. Otrzeptałem ubranie z piasku i doszedłszy do asfaltowanej drogi podążyłem w kierunku Gizy. Pod piramidą Cheopsa znowu spotkałem dwóch moich Arabów. Wielbłąd położył się, a oni przysiedli koło zwierzęcia.

- Pan już wraca?
- Nie już, lecz dopiero – roześmiałem się.
- Proszę, niech pan siada na wielbłąda.
- Dziękuję.
- To za darmo. My także na dzisiaj kończymy pracę.
- Przecież mieszkanie przy sfinksie. Ja zaś schodzę w stronę hotelu „Mena”.

- My też tam idziemy. Trzymamy wielbłąda w stajni po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko hotelu – wyjaśnił Jasin.

- Niech pan siada – ponownie proponował starszy Arab.

Perspektywa jazdy na tym trzęsącym zwierzaku wcale mi się nie podobała i stanowczo odmówiłem.

- Dziękuję. Wolę się przejść pieszo.
- Więc chodźmy – obaj Arabowie podnieśli się z ziemi i we trójkę udaliśmy się w tym kierunku, z którego rano przybyłem - pod górę. Achmed rzucił po arabsku kilka słów i wielbłąd natychmiast

się podniósł, aby kroczyć za nami jak wierny pies.

– Pan mieszka w hotelu „Mena”? – zapytał ten starszy.

– Nie. W „Skarabeuszu” – odpowiedziałem.

– Znam ten hotel. W takim wysokim domu. Zajmuje trzy najwyższe piętra. Na którym pan mieszka?

– Na ósmym.

– To bardzo dobrze, bo nie dochodzi tam kurz i hałas z ulicy. A ile pan płaci?

– Dwa funty dziennie, ze śniadaniem.

– Złodzieje, jak oni zdzierają! – oburzył się wielbłądnik. Najwidoczniej zapomniał, że za godziną przejażdżkę na bydlaku, który wytrząsał mnie niemiłosiernie, a teraz kroczył za nami z niewinną miną, zainkasował ni mniej, ni więcej tylko połowę tej kwoty.

Cała trójka, Arabowie i wielbłąd, odprowadziła mnie do przystanku autobusowego i dotrzymała towarzystwa aż do chwili odjazdu. Zrozumiałem, że wprawdzie zapłaciłem im zaledwie jedną trzecią sumy, którą zażądali, ale jeszcze i tak zdrowo musieli oskubać naiwnego cudzoziemca.

Bez dalszych przygód wróciłem do Kairu.

Wieczorem, po zapadnięciu mroku, wybrałem się na bulwar nad Nilem – sharia El Corniche. Pogoda była bardzo przyjemna. Ciepło, lecz upał już nie dokuczał jak za dnia. Po Nilu płynęły barwnie oświetlone statki spacerowe i urocze żaglowe barki. Oczywiście wszystko na użytek turystów. A na bulwarach, na ławeczkach, tuliły się do siebie młode pary. Tak jak nad Wisłą, Wartą czy Odrą.

Mijając młodych ludzi, poznałem jednego z nich. Mimo mroku nie mogłem się mylić. To był Jasin. Tym razem ubrany po europejsku, w jakiejś barwnej koszuli i w dżinsach. Dziewczyna, którą trzymał za rękę, wydała mi się wyjątkowo ładna, nawet jak na stosunki europejskie – bo kryteria piękności kobiet w Egipcie są nieco

inne niż we Francji czy w Polsce. Za tą jednak oglądaliby się wszyscy chłopcy na Marszałkowskiej.

Dziewczyna mnie nie znała, chłopak nie zauważył.

Kiedy po spacerze dość późno wróciłem do hotelu, portier poinformował uprzejmie:

– Ktoś na pana czeka. W holu na górze. Już od przeszło dwóch godzin.

– Kto taki? – w Egipcie nikogo przecież nie znałem.

– Nie wiem. Nie wymieniał nazwiska. Jakiś Arab.

Poszedłem na górę. W fotelu siedział Achmed Hosni. Na mój widok powstał.

– Czekałem na pana – skłonił się.

– Mówił mi o tym portier.

– Pan zgubił zegarek?

Odruchowo spojrzałem na przegub lewej ręki. Moja „rakieta” znajdowała się na miejscu. Nie mogło być inaczej, przecież przed chwilą, rozmawiając z portierem, regulowałem ją według sygnału nadawanego przez radio.

– To nie pański? – Arab wyjął z kieszeni galabiji jakiś szwajcarski czasomierz. – Znalazłem go w fałdach koca na siodle mojego wielbłąda.

– Nie. Mam swój na rękę – odpowiedziałem.

– Widocznie zgubił go ten Amerykanin, którego obwoziłem po panu...

– Być może – zgodziłem się.

– Gdzie ja go teraz znajdę? – martwił się Hosni. – Przyjechali autokarem z wycieczką.

– Nie zapamiętał pan napisu na autokarze?

– Racja – ucieszył się wielbłądnik – to biuro mieści się w hotelu „Shepherd's”. Bardzo panu dziękuję.

– Może napijemy się na dole kawy – zaproponowałem wiedząc, że nie mam w pokoju nic, czym mógłbym poczęstować mojego gościa.

– Bardzo dziękuję, ale spieszę się. Wpadnę jeszcze do tamtego hotelu. Może odzyskam właściciela zguby – Hosni, pomimo moich zaproszeń, pożegnał się ze mną.

Wszedłem do mojego pokoju. Było dobrze po dziesiątej wieczorem. Według czasu warszawskiego, do którego byłem przecież przyzwyczajony, już po jedenastej. Czułem się zmęczony i śpiący. Dużo spacerów, wiele wrażeń. Szykując się do snu, otworzyłem walizkę stojącą na koziołkach. Nic w niej nie brakowało, a jednak... Ktoś musiał do niej zaglądnąć podczas mojej nieobecności. Z pewnością. Nie pokojówka, bo sprzątała tu jeszcze przed obiadem, a po południu, po powrocie z Gizy, nie zauważyłem żadnych zmian. Teraz zaś ten granatowy krawat, który zwinięty w rulonik leżał przedtem w samym kącie walizki, rozwinięty, zajmował miejsce zupełnie gdzie indziej. Co do innych rzeczy nie mógłbym stwierdzić nic konkretnego, ale tego krawata byłem pewien. Przecież właśnie w nim przyjechałem wczoraj do Kairu, a dziś rano tam w rogu go schowałem.

Kto i z jakiego powodu przeprowadził rewizję mojego pokoju? Kto mógł grzebać w moich rzeczach? Jakiś szczur hotelowy? Chyba mają doświadczenie, że u polskich turystów nie znajdą ani biżuterii, ani dolarów.

Policja egipska? Wszystkie dokumenty sprawdzili już na lotnisku. Turyści z krajów socjalistycznych raczej ich nie interesują.

A więc kto? Czyżby... Hosni? Ale dlaczego? Co w mojej skromnej osobie mogło zainteresować właściciela wielbłąda?

Obejrzałem dokładnie zamek w drzwiach – urządzenie nie było

zbyt skomplikowane. Można by je otworzyć nawet przy pomocy zupełnie prymitywnego wytrycha. Według słów portiera Arab czekał na mnie ponad dwie godziny. Miał więc aż nadto czasu i sposobności, by dokonać oględzin moich niezbyt licznych rzeczy. Poza bielizną osobistą mógł obejrzeć dwie książki dotyczące historii starego Egiptu. Pisane zresztą po polsku. Choć łatwo było domyślić się ich treści po okładkach lub ilustracjach.

Coraz bardziej podniecałem się moim prywatnym śledztwem. Dziwna sprawa z tym rzekomo znalezionym zegarkiem. I to w fałdach koca? Przecież raczej spadłby na ziemię. Zwłaszcza że wielbłąd straszliwie trzęsie. A poza tym ludzie kręcący się wokoło piramid nie cieszą się opinią najuczciwszych. Czyżby Hosni był wśród nich takim wyjątkiem, że tracił czas jedynie po to, by odnaleźć roztargnionego turystę i oddać mu zgubę?

Im dłużej o tym myślałem, tym coraz bardziej podejrzanym typem stawał się dla mnie wielbłądnik.

Czego ten człowiek mógł szukać w moich rzeczach?

Tego właśnie nie mogłem pojąć. Na pewno nie sprawiałem wrażenia milionera. Mieszkałem w skromnym i tanim hotelu, a moja dość podniszczona licznymi wozami walizka już na pierwszy rzut oka zdradzała, że nie należy spodziewać się w jej wnętrzu żadnych skarbów.

## SZNUREK Z PIASKU

Nazajutrz pogoda była przepiękna. Marzec w Egipcie odpowiada końcowi naszej wiosny. Na klombach kwitną lewkonie i nasturcje. Na polach jęczmień i pszenica wprawdzie jeszcze się zielenią, ale mają już duże, pełne kłosy. Więc niewiele się namyślając, zamiast zwiedzać Kair i jego zabytki, znowu pojechałem do Gizy.

Pierwszymi osobami, jakie tam zobaczyłem, byli Hosni i jego syn. Wielbłąda nie liczę. Achmed ucieszył się, a przynajmniej udawał, że raduje go mój widok.

- Odnalazł pan właściciela zguby? – zapytałem po powitaniach.
- Znalazłem i oddałem mu zegarek. Bardzo był mi wdzięczny – zapewniał Arab.

Przyznaję, że nie wierzyłem ani jednemu słowu tej nieprawdopodobnej historyjki. Nie dałem jednak po sobie niczego poznać i nie zapytałem Achmeda, czy wczoraj tylko czekał na korytarzu, czy może odwiedził mój pokój.

- Pojedziemy? – zaproponował właściciel wielbłąda.
- O nie, dziękuję. To dla mnie za droga przyjemność. A poza tym zbyt trzęsący sposób jazdy jak na mój gust.

– To prawda – zgodził się wielbłądnik – dla nie przyzwyczajonego rzeczywiście dość męcząca jazda. Ale jak się jest w Egipcie, tradycja każe przejechać się na wielbłądzie.

– Uczyniłem więc już zadość tej tradycji.

– Nie będę dłużej namawiał. A co pan dzisiaj zamierza zwieździć? Czy znowu Dom Miliona Lat Chafre?

– Tym razem chyba Achet Chufu.

– Ma pan rację – pochwalił mnie Arab – to najciekawsza ze wszystkich piramid. A chociaż najbardziej i najdłużej badana, kryje jeszcze wiele tajemnic. Pójdę z panem i wszystko pokażę.

– Dziękuję, ale ja naprawdę nie potrzebuję przewodnika. Dam sobie sam radę. Poza tym, szczerze przyznaję, że mnie na to nie stać.

– Och – oburzył się Hosni – przecież nie było mowy o żadnych pieniądzach! Po prostu przyjaciel z Egiptu pokazuje przyjacielowi z Polski zabytki starej krainy Kemet. Proszę się uważać za mojego gościa.

– A pański wielbłąd? – protestowałem jeszcze.

– Zajmie się nim mój pomocnik.

Te słowa mnie nie zdziwiły. Wprawdzie byłem w Kairze zaledwie od dwóch dni, ale już zdążyłem zauważyć, że najskromniejszy robotnik ma tu co najmniej jednego pomocnika. Ten pomocnik z kolei najczęściej wyręcza się swoim podwładnym. Nawet windziarz w moim skromnym hotelu miał dwóch pomocników. Osobiście wioził na górę wyłącznie takich gości, od których mógł się spodziewać bakszyszu. W tym kraju, stosunkowo mało uprzemysłowionym, żyje ponad trzydzieści milionów ludzi. Rąk do pracy nie brakuje.

Mój towarzysz okazał się równie biegłym w historii i legendach dotyczących piramidy Cheopsa, jak Chefrena. Opowiedział mi, że Cheops najpierw kazał wykuć sobie komorę grobową w skale pod



piramidą. Następnie namyślił się i postanowił, że miejsce jego wiecznego spoczynku powinno znajdować się wyżej. Tak powstała druga komnata, zwana obecnie Komorą Królowej. Ale i to nie zadowoliło kapryśnego władcy krainy Kemet. Robotnicy musieli jeszcze wykuć we wnętrzu gotowej budowli Wielką Galerię i ostatnią, największą komorę grobową, w której spoczął na koniec sarkofag pana Dolnego i Górnego Egiptu.

– A może było odwrotnie? – roześmiałem się.

– Jak to?

– Po prostu zbudowano najpierw Wielką Galerię i górną komnatę, gdzie zawczasu umieszczono sarkofag. Ale czy to konstruktorzy pomylili się, czy też materiały budowlane nie zostały na czas dostarczone, dość że galerię zrobiono zbyt długą, a wskutek tego komora została umieszczona nie w samym środku piramidy, lecz bardziej na południe. W ten sposób powstały różne naprężenia sił, które spowodowały, że kamienny blok, stanowiący sufit komory, pewnego dnia z wielkim hukiem pękł. Dopiero wtedy zdecydowano się wykuć Komorę Królowej. Widocznie jednak ówczesni budownicзовie obawiali się i tutaj podobnej katastrofy i dlatego ostatecznie postanowili umieścić grobowiec głęboko w skale pod piramidą.

Hosni patrzył na mnie ogromnie zdziwiony.

– Pan jest jednak archeologiem – stwierdził po chwili milczenia.

– Ależ nie, zwykłym turystą!

– Skąd więc pan to wie?

– Żadna tajemnica. Zagadkę piramidy Cheopsa rozwiązał polski uczony, architekt i geolog Wiesław Koziński. Wydał na ten temat osobną pracę naukową w języku angielskim.

– Nie znam tej książki, chociaż dużo słyszałem o niej – przyznał Hosni – ale mogło i tak być. To interesujące.

– Tak było na pewno. Najlepszy dowód, że w górnej komnacie nie znaleziono pokrywy sarkofagu. Od początku stała pusta.

Wędrówka we wnętrzu piramidy Cheopsa okazała się nie mniej uciążliwa niż moje wczorajsze odwiedziny u Chefrena. Korytarze zbudowano tu nieco wyższe i szersze, lecz dłuższe i bardziej strome. Jedyne Wielką Galerię o ścianach z pięknego białego alabastru uznałem za wartą mojego trudu.

Właśnie w tej galerii przypomniałem sobie słowa poganiacza wielbłądów „nie znam tej książki”. Nie przypuszczam, aby pozostali właściciele jednogarbnych zwierząt prowadzili studia nad egiptologią i śledzili najnowsze doniesienia. Ten Hosni to bardzo dziwny wielbłądnik. A jeszcze dziwniejsze jest to jego nagle zainteresowanie się polskim turystą.

Swoją drogą dobrze, że chciał mi towarzyszyć. Mnóstwo różnych szczegółów bym nie zauważył. Pokazał mi ujście szybu wentylacyjnego w górnej komorze, a także to fatalne pęknięcie, biegnące prawie przez środek wielkiego bloku. Wyjaśnił, że mała salka przed wejściem do tej komory była prawdopodobnie przeznaczona na zaopatrzenie faraona we wszystkie sprzęty potrzebne mu w życiu pozagrobowym. Egipcjanie bowiem wierzyli, że człowiek żyje po śmierci jedynie wówczas, kiedy jego ciało zachowa się w stanie nie naruszonym. Natomiast w tym przyszłym życiu nadal potrzebna mu jest żywność, odzież i sprzęty, których używał na ziemi. Stąd powszechna troska Egipcjan o wystawienie odpowiedniej do swoich możliwości siedziby pośmiertnej i zaopatrzenia jej w doczesne dobra. Stąd mumifikacja zwłok i dbałość o zapewnienie im odpowiedniego ukrycia, aby niepowołani nie mogli zakłócić wiecznego

spokoju. Obrabowanie i zniszczenie mumii było nie tylko świętokradztwem, ale po prostu morderstwem. Tyle że popełnionym na duszy zmarłego.

Arab pokazał mi także szyby, które wykuli robotnicy kalifa Al Maamuna, żeby odkryć dojście do wszystkich trzech komór grobowych. A może chytrego kalifa uprzedzili inni złodzieje, on tylko odnalazł szyby już przez nich wybite?

– Prawdziwe wejście do tej piramidy – zapewniał mnie Hosni – do tej pory nie zostało otworzone.

Wyszliśmy na powierzchnię. Znowu słońce pięknie świeciło i znowu byłem porządnie zmęczony wędrówką w pozycji zgiętej jak scyzoryk. Zamarzyła mi się cicha kotlinka za piramidą Mykerinosa. Chciałem pożegnać mojego miłego przewodnika.

– Z pewnością się zobaczymy – odpowiedział Achmed. – Będę tu przecież z moim wielbłądem. Zauważę, kiedy pan będzie wracał. Przyjemnego odpoczynku.

Leżałem na słońcu chyba ze trzy godziny, ale przezornie nie opalając się przez cały czas. Wreszcie poczułem, że zachciało mi się strasznie pić. Język wysechł mi na wiór. Ruszyłem więc w powrotną drogę rozglądając się za jakimś sprzedawcą coca-coli. Zawsze kręciło się ich mnóstwo dokoła trzech piramid. Teraz jak na złość nie mogłem znaleźć ani jednego. Tak dotarłem aż do drogi prowadzącej w dół ku miastu. Tutaj, w pobliżu budyneczku kasowego, gdzie sprzedają karty wstępu do wnętrza piramid, siedzieli Achmed z synem. Wielbłąd leżał w pobliżu. Obok dwóch mężczyzn stała jakaś Arabka w białej galabiji. Zauważyli mnie z daleka i Hosni kiwał ręką zapraszająco.

Kiedy podszedłem bliżej, poznałem – to była ta dziewczyna, z którą wczoraj nad Nilem widziałem młodego Jasina, ale dzisiaj i ona

nosiła arabski strój. Przyniosła mężczyznom posiłek.

– Bardzo proszę – zwrócił się do mnie Achmed – niech pan zje z nami.

– Dziękuję, nie jestem głodny.

Arab sięgnął do wysokiego dzbanka:

– Ale napije się pan?

Byłem tak spragniony, że nie miałem siły odmówić. Z wielką rozkoszą piłem zimny płyn: woda, cukier, cytryna i trochę mięty. Nie wzbraniałem się przed przyjęciem następnej porcji.

Kiedy ojciec i syn posilili się, a dzbanek ukazał dno, dziewczyna zabrała puste naczynia, szepnęła coś po arabsku, ukloniła się i ruszyła w stronę drogi wiodącej do sfinksa. Jasin widocznie zapomniał jej czegoś powiedzieć, bo po chwili pobiegł za nią.

– Jestem wdowcem – odezwał się Achmed, jakby zgadując moje myśli. – To jest córka naszej sąsiadki, która nam usługuje i gotuje jedzenie. Nazywa się Tagrid.

– Bardzo ładne imię i bardzo ładna dziewczyna.

– To imię jest popularne w Egipcie. A co do dziewczyny, nic w niej ładnego. Chuda. Nogi też za długie. Chodzi jak mężczyzna, zamiast wdzięcznie kołysać się w biodrach.

Powstrzymałem się od wyjaśnienia panu Hosni, że o takich „wdzięcznie kołyszących się w biodrach” w moim kraju mówią: „chodzi jak kaczka”. Ale przecież to ładne, co się komu podoba.

– Jednakże – roześmiałem się – pański syn ma inny gust.

– Pan myśli? – ojciec zaniepokoił się nie na żarty.

– Tak sobie powiedziałem – chciałem ratować sytuację.

– Pan ma rację! Byłem głupi i ślepy. Ciągle mi się zdawało, że to jeszcze dzieci. Od jutra przepędzę tę kobietę i zabronię Jasinowi

widywania się z dziewczyną.

– Niechże pan tego nie robi! Ja żartowałem, a pan zaraz na poważnie. Zresztą cóż byłoby w tym złego? Oboje są młodzi, przystojni, dobrana para.

– Nie może tak być! To żebraczki! Tagrid ma tylko jedną sukienkę. Tę galabiję, w której stale chodzi.

Wiedziałem, że dziewczyna ma jeszcze drugą kieckę. Wprawdzie bardzo krótką, jednak ma. Ale powstrzymałem się od uwagi.

– To nigdy nie nastąpi! Dopóki ja żyję – Arab zapalał się coraz bardziej. – Taka uboga wywłoka śmie podnosić oczy na mojego syna... Już ja im dam! Nigdy! Nigdy!

– Człowiek nie powinien używać słowa „nigdy”. Jakże wielu ludzi znam, którzy później całe życie żalowali, że powiedzieli „nigdy” i dotrzymali swojego przyrzeczenia. Żeby i pan tego nie potrzebował żałować.

– Nigdy! Nigdy! – powtarzał z uporem Hosni. A kiedy wrócił Jasin, pomiędzy ojcem i synem doszło do ostrej wymiany zdań. Prowadzonej po arabsku, więc nie zrozumiałem ani słowa. Domyślałem się jednak powodów tej sprzeczki i robiłem sobie wyrzuty, że niepotrzebnie wyrwałem się z moimi uwagami. Słowo wyleci piórkiem, a wraca wołem.

– Na mnie czas – wstałem i zacząłem się żegnać. Tym razem nikt mnie nie zatrzymywał i nikt też nie kwapił się z odprowadzeniem do przystanku.

Przez następne dwa dni nie jeździłem do Gizy. Włóczyłem się po Kairze. Odwiedzałem piękne stare meczety, a zwłaszcza ten najpiękniejszy Mohameda Alego. Spacerowałem po wąziutkich uliczkach bazaru Khan el-Khalili podziwiając skarby zgromadzone w pracowniach jubilerów i snycerzy. Znowu parę moich tak nielicznych

funtów zmieniło właściciela (nawet nie zawołały do mnie „do widzenia”).

Ale trzeciego dnia wybrałem się znów do Gizy. Dla Polaka Kair jest zbyt gwarny i zbyt ciasny. Brakuje mu przestrzeni. Trzeba jej szukać na pustyni, bo w mieście nie ma nawet przyzwoitego parku.

Ku mojemu zdziwieniu Achmed Hosni, który jak zwykle tkwił na posterunku, powitał mnie równie serdecznie jak przed paru dniami. Jasin był jednak jakiś markotny. Najwidoczniej miał żal do cudzoziemca, który tak niebacznie wtrącił się w nie swoje sprawy.

– Jedziemy? – starszy z Arabów nie byłby prawdziwym Egipcjaninem, gdyby i tym razem nie spróbował wyciągnąć paru piastrow z kieszeni turysty.

Chociaż doskonale wiedział, że mu się to nie uda.

– Niech Pan Bóg uchwata.

Achmed roześmiał się:

– Gdyby wszyscy cudzoziemcy byli tacy jak pan, biedny Hosni dawno by umarł z głodu.

– Ale ponieważ nie są, więc biedny Hosni jest bogatym człowiekiem.

Właścicielowi wielbłąda spodobały się moje słowa. Być bogatym! Do tego w tym kraju każdy dąży, lecz tylko nielicznym to się udaje.

– Co pan dziś chce zwiedzać? – interesował się Achmed. – Czy może tylko na słoneczko?

– Chyba jeszcze raz obejrzę piramidę Chefrena.

– Przecież pan był w środku! Sam pan mówił, że tam nic nie ma ciekawego! – Araba wyraźnie zaniepokoiła moja decyzja.

– Toteż nie będę wchodził do środka. Chciałbym się przyjrzeć tej piramidzie ze wszystkich stron.

– Ale po co?

– Przez zwykłą ludzką ciekawość i mój wrodzony optymizm.

Może zobaczę coś, czego inni przede mną nie zauważyli. A poza tym obejrzę sobie nekropole znajdującą się pomiędzy piramidami Cheopsa i Chefrena.

– Tak – przyznał skwapliwie Achmed – to ciekawy cmentarz. Są tam mastaby można władców z czasów czwartej, piątej i szóstej dynastii. Nie wszyscy byli tak potężni i bogaci, by mogli sobie pozwolić na budowę piramid. Niektórzy musieli się zadowalać skromniejszym grobowcem. Także dworacy i krewni królewscy budowali mastaby w pobliżu piramidy-grobowca króla, ażeby i po śmierci móc mu służyć na tamtym świecie i korzystać z jego łask. To bardzo rozległa nekropola. Radzę nie tracić daremnie czasu na piramidę Chefrena, bo nic pan tam nie znajdzie, lecz od razu przystąpić do zwiedzania starego cmentarza. Tam także można się świetnie opalać. Zacisznych miejsc nie brakuje.

Tego dnia wiał dość ostry i zimny wiatr od morza. Nawet w mojej kotlinie trudno byłoby się opalać. Podziękowałem Achmedowi za dobre rady i poszedłem w stronę piramid. Ale idąc pod górę, zastanawiałem się, jak to się dzieje, że ilekroć wspomnę o piramidzie Chefrena, mój egipski znajomy wynajduje najrozmaitsze racje, ażeby wpłynąć na zmianę moich planów.

Wobec tego najpierw obszedłem piramidę dookoła. Nic nie odkryłem nadzwyczajnego, bo i odkryć nie mogłem. Stwierdziłem jedynie, że do jej budowy użyto mniejszych bloków od tych, z których sporządzono Achet Chufu i nie dopasowywano ich tak dokładnie. Ale takich „odkryć” dokonano dawno przed moim urodzeniem. Skierowałem więc kroki do pobliskiej nekropoli.

Wielki cmentarz starożytny musiał w tamtych czasach sprawiać imponujące wrażenie. Przecinały go uliczki biegnące regularnie z północy na południe i ze wschodu na zachód. Grobowce były różnej

wielkości. Od ogromnych mastab krewnych faraonów aż do maleńkich skromniejszych funkcjonariuszy państwowych, którym władca, za ich zasługi, pozwolił na wystawienie grobowca w pobliżu swojego Domu Miliona Lat, ale nie udzielił na ten cel żadnej dotacji.

Taka mastaba to budowla o przekroju trapezu, przypominająca kopczyk grobowy na naszych cmentarzach, lecz oczywiście znacznie większa. Pod mastaba, połączona z nią głębokim szybem, znajdowała się właściwa komora grobowca. Szyb po pogrzebie zamurowywano i maskowano dla ochrony przed rabusiami. We właściwej mastabie znajdowało się jedno lub więcej pomieszczeń. Na ich ścianach wypisywano imię właściciela, wymieniano funkcje, jakie pełnił za życia na dworze faraona, lub inne jego stanowisko, a ponadto zasługi zmarłego. Niejednokrotnie i takie, że na przykład „nigdy nie bił bez potrzeby swoich podwładnych”, a także, że „sam nie był bity przy świadkach”. Kij bowiem w dawnym Egipcie odgrywał ważną rolę. Posługiwano się nim przy regulowaniu rozmaitych wykroczeń, i to zarówno dygnitarzy dworu jak i robotników pracujących w kamieniołomach czy przy budowie kanałów. Nierzadko portrety grobowe faraona przedstawiają go z „biczem wieczności neheh” w ręku. Podobnego bicza zapewne używał w stosunku do krewnych i dworaków. A ci z kolei w ten sam sposób karali zaniedbania swojej służby. „Nigdy nie był bity przy świadkach” – to wysoka pochwała, dowód, że ten człowiek wzorowo wywiązywał się ze swoich obowiązków.

Malowidła na ścianach mastab przedstawiają sceny z życia nieboszczyka. Widzimy go, jak poluje na hipopotamy lub ptactwo wodne; jak składa ofiary bogom; jak kieruje pracami w swoim majątku ziemskim. Pastuchowie pędzą bydło. Rolnicy sięją i orzą. Ludzie



pracują przy zniwach. Budują domy. A wszędzie dostrzec można pisarzy, którzy liczą i zapisują ilość zbiorów czy postęp w budowie. Kraina Kemet była bowiem państwem o wysoko rozwiniętej sprawozdawczości i rozbudowanej biurokracji.

Niemal w każdej mastabie znajdowała się niewielka celka zamurowana i zaopatrzona jedynie w malutkie okienka. Tam znajdował się posąg zmarłego. Pozostałe pomieszczenia zapełniano wszelkim dobrem i sprzętami tak niezbędnymi „drogim nieobecnym” w ich pozaziemskich wędrówkach.

Dziś nekropola wygląda inaczej. Mastaby nadszarpnął zęb czasu lub ręka poszukiwaczy skarbów. Wiatry wiejące z pustyni zasypały uliczki, które dawniej były wybrukowane płytami piaskowca. Wszystkie te groby obrabowane zostały wielokrotnie. Pomimo to stanowią dziś ważny dokument historyczny. Właśnie dzięki ocalałym napisom i rysunkom możemy poznać życie i stosunki społeczne krainy Kemet. To, czym dawniej złodziej gardził jako rzeczą bez wartości, teraz dla archeologa stanowi prawdziwy skarb.

Obecnie grobowce są zamknięte i zabezpieczone przed zbyt natrętnymi turystami, bo na pewno znaleźliby się i tacy, którzy nie zawahaliby się wypisywać w ich wnętrzach swych imion lub rozbić płyt z rysunkami, aby je zabrać „na pamiątkę”.

Kiedy już zmęczyłem się wędrówką po mieście zmarłych, przysiadłem na jakimś bloku. Słoneczko niezmiennie przygrzewało, a wiatr tu nie dochodził. Nagle w perspektywie przecinających się uliczek zobaczyłem Jasina. On także mnie dostrzegł i już po chwili znalazł się przy mnie. Nie minęła minuta, jak dołączył do nas ojciec młodego Araba.

– Byliśmy niespokojni o pana – tłumaczył Achmed – tu wiele najrozmaitszych rozpadlin. Łatwo o wypadek. Można także wejść

do jakiejś mastaby, gdzie zmurszałe kamienie mogłyby się obsunąć i zablokować wyjście. Już nieraz tego rodzaju przykre przygody spotykały turystów.

– Nie jestem poszukiwaczem skarbów i wchodziłem tylko tam, gdzie to specjalnie ułatwiano turystom.

– Bardzo słusznie – pochwalił mnie Hosni.

– Ciekawy jestem, czy pozostały tu jeszcze jakieś mumie?

– Na pewno – potwierdził Achmed. – Wprawdzie te grobowce były niejednokrotnie penetrowane zarówno przez złodziei, jak przez archeologów, ale czy wszystko odkryto? Poza tym złodzieje, zwłaszcza w starożytności, zadawali się kosztownościami, a mumii raczej nie ruszali. Oni przecież także wierzyli w życie pozagrobowe i nie chcieliby, aby w przyszłości z ich szczątkami ktoś postąpił podobnie. Również i dziś archeologowie po dokładnym zbadaniu grobu zwykle ograniczają się do zabezpieczenia go, pozostawiając wewnątrz nie tylko mumię, ale i część wyposażenia grobowego. Nie tak dawno, bo zaledwie przed trzema laty odkryto w pobliżu piramidy Chefrena grobowiec głównego budowniczego tej piramidy.

– Ale już okradziony?

– Chyba nie. Wyposażenie grobowca przedstawiało się więcej niż skromnie. Maską pośmiertną ze sklejki papirusowej; nebach, czyli „pan życia”, bo tak Egipcjanie nazywali trumnę, ze zwykłego, tyle że malowanego drewna, święte skarabeusze z fajansu lub z kamienia, zaś uszebti, figurki grobowe domowników, z pospolitej gliny, lekko tylko wypalanej. Słowem, grób nie robił wrażenia mogiły wielkiego dygnitarza, jednego z pierwszych w państwie, a raczej niezamożnego rolnika albo majstra budowlanego.

– Ibis-Ra musiał być wyjątkowo mądrym i przewidującym człowiekiem.

– Bez wątplenia. Wiedział, jak zabezpieczyć się przed złodziejami. Ale przejdźmy się po nekropoli. Wprawdzie pan ją już zwiedzał, przypuszczam jednak, że uda mi się pokazać coś interesującego.

Chyba jeszcze przez godzinę krążyliśmy po mieście zmarłych. Hosni był doskonałym przewodnikiem. Opowiadał mi wiele ciekawych historii związanych z grobami poszczególnych możnowładców Kemet i ich dworu. Wyjaśniał różne szczegóły dotyczące rozwoju architektury i sztuki.

Słuchałem jego wywodów z prawdziwą przyjemnością. A jednocześnie... ten człowiek coraz mniej mi wyglądał na prostego poganiacza wielbłądów. Był, przynajmniej jeśli chodzi o historię starożytną, wszechstronnie wykształcony. Językiem francuskim władał nie jak robotnik, który parę lat mieszkał w slumsach Marsylii, lecz jak człowiek, który studiował ten język.

Kim jest pan Hosni?

I nagle przyszło mi do głowy... Tak, na pewno: agentem tajnej policji! Wokoło piramid przewijają się setki i tysiące turystów. Kręci się tu moc najrozmaitszych wydrwigroszy i złodziejasków. Byłoby rzeczą dziwną, gdyby policja nie penetrowała tego terenu i nie miała tu swoich ludzi.

Ale dlaczego właśnie ja stałem się przedmiotem tak bacznej uwagi tego Araba?

Sumienie miałem zupełnie czyste. Niczego nie przemyślałem, nic nie miałem zamiaru wywozić. Niewielką sumkę dewiz, wykupioną na przydział w Narodowym Banku Polskim, przy przyjeździe zadeklarowałem uczciwie do ostatniego piastra. Przecież nie posądzają mnie chyba, że mógłbym być przedstawicielem obcego wywiadu, i to takim, który specjalnie szpieguje piramidę Chefrena?!

Od samego bowiem początku podejrzewałem, że dziwne zainteresowanie pana Hosni moją osobą związane jest z faraonem IV dynastii, panującym gdzieś w latach 2558-2533 przed naszą erą.

– Pozwólcie, panowie, że zaproszę was na kawę – chciałem w jakiś sposób zrewanżować się obu Arabom nie za śledzenie mnie, lecz za udzielone objaśnienia. – Zauważyłem w pobliżu piramidy Cheopsa przyjemny pawilonik, gdzie można się czegoś napić i zaspokoić głód.

– Tam jest drogo. Dlaczego ma pan wydawać niepotrzebnie pieniądze? – certo wał się starszy Arab.

– Bardzo proszę! Którędy najbliżej?

– Nie trzeba wracać do piramid. Lepiej przespacerujemy się do końca cmentarza, a wyjdziemy na sam skraj skarpy. Stamtąd do kawiarni jest niedaleko – to mówiąc Jasin skierował się na wschód jedną z wąskich uliczek nekropoli. Jego ojciec i ja podążaliśmy za nim w odległości paru metrów, rozmawiając o mijanych grobowcach. Hosin znał je chyba wszystkie na pamięć.

Wyszliśmy z nekropoli. Tuż obok biegła asfaltowa szosa, którą codziennie prawie wchodziłem na teren piramid. Nawet się nie domyślałem, że idę samym skrajem starego cmentarzyska, bo wysoka na parę metrów hałda piasku, wydobytego prawdopodobnie w czasie budowania szosy, zasłaniała z drogi widok na nekropolę.

– Podejźmy jeszcze kilkanaście metrów – zaproponował Achmed. – Chciałbym, aby pan ze skraju skarpy zobaczył dolinę Nilu i panoramę Kairu.

Widok był naprawdę urzekający. Cała gama zieleni, szafirowe niebo, wąziutka wstążka rzeki i dalej, na samym horyzoncie, brunatny kolor pustyni.

Szosa przejeżdżało kilka samochodów. Sam nie wiem dlaczego, opuściłem głowę i spojrzałem na piasek pod naszymi butami.

Bardzo dziwne. Zauważyłem, że w pewnym miejscu ten piasek powolutku się porusza. Jakby sznurek z piasku. Przyjrzałem się temu uważnie. Jakiś robak albo wielka glista piaskowego koloru powoli pełzła w naszym kierunku. Znajdowała się właśnie przy nogach Jasi-  
na.

Bez namysłu zrobiłem dwa kroki i podeszwa mojego buta znalazła się na głowie robala. Jego ogon wykonał jeszcze parę gwałtownych ruchów i znieruchomiał.

Dopiero teraz mój nagły skok zwrócił uwagę obu Arabów. Achmed spojrzał na moją lewą stopę, którą wciąż trzymałem na rozdeptanym gadzie. Zauważyłem, jak ciemna, opalona południowym słońcem twarz właściciela wielbłąda zbladła, aż stała się prawie biała jak kreda. Chciał coś powiedzieć, ale zdołał tylko otworzyć usta i poruszał wargami, nie wydając głosu.

Jasin także zauważył robaka i jak oparzony odskoczył chyba na trzy metry. On również był przerażony, nie mniej niż jego ojciec.

– Panie – Achmed wreszcie wydobył głos z gardła – jakże ci mam dziękować...

I nagle klęknął przede mną, chwycił za rękę, usiłując pocałować moją dłoń. Ledwie zdołałem się wyrwać. Nic nie rozumiałem.

– Co was tak przestraszyło? Ten gad rozdeptany?

Achmed podniósł się z ziemi.

– To żmija piaskowa – wyszeptał ze zgrozą.

Żmija piaskowa? Miała najwyżej dwadzieścia pięć centymetrów długości. Mój but zmiażdżył jej głowę.

– Taka mała? Chyba niegroźna?

– To najbardziej jadowite stworzenie na ziemi egipskiej, a może

nawet na całym świecie. Doprawdy nie wiem, skąd się tu wzięła. Żyje na pustyni, na ogół daleko od siedzib ludzkich. Jakim cudem zawędrowała aż do Gizy? Gdyby pan jej nie zabił, byłoby bardzo źle. A gdyby pan w ogóle nie zauważył tego gada. Jasin już by nie żył...

– Przesada. Nawet gdyby go to maleństwo ukąsiło, pomoc lekarska jest przecież blisko. Dostałby zastrzyk i byłoby po zmartwie- niu – bagatelizowałem całe zdarzenie.

– Człowiek ukąszony przez żmiję piaskową ma prawo zrobić najwyżej trzy kroki. Jej jad błyskawicznie rozkłada krew. Nie ma ratunku. Tylko dzięki panu Jasin żyje – Achmed ciągle nie mógł się uspokoić. Głos mu drżał, a jego twarz wykrzywiona była nerwowym skurczem. Natomiast chłopak, jakby dopiero teraz pojął, co mu gro- ziło, zatoczył się nagle, aż musiałem go podtrzymać.

– Nie ma o czym gadać – machnąłem ręką – chodźmy na kawę. Po tych emocjach dobrze nam to zrobi.

– Chwileczkę – starszy Hosni powiedział coś do syna po egip- sku. Obaj stanęli obok siebie, odwrócili się na południowy wschód i jak na komendę padli na kolana, uderzając czołem o piasek pustyni. Trzykrotnie powtórzyli te pokłony, dziękując Allahowi, że zesłał im niewiernego, aby ocalić życie prawowiernemu muzułmanowi. Kiedy powstali, starszy Hosni wydeklamował, a właściwie zaśpiewał:

– La ilaha illallah wa Muhammadum rasulu. Uah – nie ma boga poza Allahem, a Mahomet jest jego prorokiem...

Ten śpiew rozlega się codziennie o siódmej rano i wieczorem ze wszystkich minaretów w kairskich meczetach, ale po raz pierwszy usłyszałem modlitwę w ustach zwykłego Egipcjanina.

Kawy nie piliśmy, natomiast podano nam po filiżance bardzo dobrej, aromatycznej herbaty, która w Egipcie jest napojem narodowym. Mnie, nie przyzwyczajonemu do tutejszego słońca, było tego mało, więc wziąłem jeszcze jakiś zimny napój firmowy. Moi goście nie dali się na nic więcej namówić. Ciągłe byli pod wrażeniem wypadku.

– Czym ja się panu wywdzięczę? – powtarzał Achmed. – Wszystko, co mam, należy do pana – zapewniał z przesadą południowca.

Postanowiłem naprawić niedawną gafę.

– Sądzę – potwierdziłem siląc się na jak największą powagę – że to po prostu Allah chciał pana doświadczyć i ostrzec.

– Jak to? – zdziwił się Arab.

– Tak niedawno mówił pan „nigdy, nigdy”. Czy i teraz tak pan uważa? Że lepiej byłoby... – celowo urwałem wpół zdania.

Achmed pochylił głowę.

– Ma pan rację. To był znak boski. Teraz zrozumiałem, że bogactwo nic nie znaczy.

Młody człowiek patrzył na nas zdziwiony nie rozumiejąc, o czym mówimy.

– A co się dzieje z pańskim wielbłądem? – zmieniłem temat.

– Jakiś Anglik, który przyjechał do hotelu „Mena” z całą rodziną, wynajął go na pół dnia. Razem z moim pomocnikiem. Bogaty Anglik. Dobrze zapłacił. Wcale się nie targował.

– To świetnie. Dużo pan zarobił?

– Zarobek na głupcu człowieka nie cieszy. Największe ma się zadowolenie, kiedy można zrobić dobry interes z mądrym.

Słyszac tę filozofię roześmiałem się. Ale Achmed poważnie ciągnął dalej:

– Na przykład pan. Zażądałem trzy funty, pan zapłacił jednego. A jednak zarobiłem i otrzymałem sowitą zapłatę. Miałem więcej przyjemności, niż gdyby pan wtedy od razu wyjął portfel i odliczył mi trzy funty. U nas w Egipcie te zasady są podstawą handlu. Targowanie się to przyjemność i dla kupującego, i dla sprzedawcy. Emocja, za ile się kupi lub sprzeda dany towar. Pewnego rodzaju walka pomiędzy właścicielem sklepu i klientem. Zwycięża ten, który ma mocniejsze nerwy i lepiej oceni wartość towaru.

Pomimo protestów starszego Hosni zapłaciłem cały, zresztą niewielki rachunek. Tym razem Arabowie odprowadzili mnie na przystanek, ciągle wracając do sprawy nieszczęsnej zmij ki leżącej na pustyni z rozdeptaną główką. A ja naprawdę wcale nie czułem się bohaterem. Czy mogłem przypuszczać, że to nie zwykły robak, lecz aż tak groźny gad pełznął po piasku?

– Mam do pana wielką prośbę – powiedział Achmed, kiedy już staliśmy na przystanku.

– Słucham.

– Zechce pan zrobić zaszczyt biednemu poganiaczowi i odwiedzi jego skromny domek? Bardzo, bardzo prosimy.

Wiedziałem, że takiej prośbie nie wolno odmówić. Byłby to wielki nietakt i obraza. Przecież stare arabskie przysłowie powiada: kto zostaje zaproszony, ten nie odmawia.

– Dziękuję, cieszę się. Kiedy?

– Może jutro wieczorem, odpowiada to panu?

– Jak najbardziej, ale jak do was trafić?

– Jasin będzie o szóstej czekał na pana w hotelu.

– Zatem do jutra – powiedziałem.

Właśnie nadjechał mój autobus.



## OPOWIADANIE ACHMEDA HOSNI

Punktualnie o szóstej wieczorem następnego dnia w drzwiach mojego hotelowego pokoju stanął Jasin. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Wszystko nowe. Może nawet kupione specjalnie na dzisiejszą okazję?

- Samochód czeka na dole – oznajmił po przywitaniu.
- Jaki samochód? Nic nie mówiłeś, że macie wóz.
- Nie mamy. To przyjaciela.

W Egipcie każdy ma przyjaciela albo sam jest czyimś przyjacielem. A przyjaciele muszą sobie pomagać. Wzajemną życzliwość ludzi wobec swoich bliskich spotyka się tu na każdym kroku, znacznie częściej niż w Europie. Większa jest też pobłażliwość dla cudzych niedociągnięć czy wad. Nigdy w Kairze nie słyszałem, aby dwaj kierowcy wymyślali sobie, bo jeden chciał wymusić pierwszeństwo. Albo żeby szofer krzychał na przechodzącego w poprzek ulicy „ty baranie”. Czyżby baran był nad Nilem zbyt cennym zwierzęciem i dlatego nie nadużywa się jego imienia?

Zeszliśmy na dół. Na sharia 26 Lipca parkować nie wolno, ale tuż za rogiem sąsiedniej ulicy czekał na nas mały czarny fiat, jakich tysiące kursuje po Kairze. Jechaliśmy drogą w stronę piramid. Dopiero na jakieś dwa kilometry przed hotelem „Mena”, gdzie codziennie

wysiadłem z autobusu, nasz kierowca skręcił w lewo, minął most na kanale nawadniającym i wjechał w dzielnicę skromnych domków arabskich, które stały ciasno jeden obok drugiego, ty każdym z nich na parterze znajdował się sklep lub warsztat rzemieślniczy. Ale im dalej przesuwaaliśmy się na południe, cały czas tuż pod skarpą pustyni, tym bardziej rwała się zwarta dotychczas zabudowa. Domki coraz bardziej oddalały się od siebie, otoczone wysokim murem z cegieł i mułu nilowego, wydobywanego z pobliskiego kanału. Ten sposób budownictwa nie ulegał najmniejszej zmianie od pięciu tysięcy lat. Wystarczy drewniana forma i mała łopatką. Muł miesza się z sieczką i formuje bloki wielkości mniej więcej trzech naszych cegieł postawionych jedna na drugiej. Resztę pozostawia się słońcu. Po trzech, czterech dniach można przystąpić do budowy własnego jednorodzinne go domu.

Uliczka się kończyła. Zatrzymaliśmy się chyba przed ostatnimi zabudowaniami. W tej samej chwili drzwi w murze otworzyły się i stanął w nich Achmed. Ukłonił się nisko, bardzo nisko, i wskazując drogę ręką, ceremonialnie zapraszał:

– Gościu, wstąp w nasze skromne progu

Za murem, który otaczał ze wszystkich stron niewielką posiadłość, mającą najwyżej siedemset metrów kwadratowych, znajdował się mały, starannie utrzymany ogródek. Rosły tu jakieś drzewka owocowe, ale jakie tego nie wiedziałem. Na dwóch z nich dojrzewały pomarańcze. Inne były mi zupełnie nie znane. W głębi ogrodu stał niewielki kwadratowy dom. Dość stary, choć jeszcze w dobrym stanie. Przed domem maleńka sadzawka.

– W Egipcie – uśmiechnął się Hosni – wszystkie zmiany dokonują się bardzo wolno. Tak jak my teraz, mieszkali już bogatsi chłopcy lub skromniejsi urzędnicy za faraona, a później za kalifów.

Rzeczywiście to, co tu ujrzałem, przypominało mi oglądaną niedawno ilustrację z książki Pierre'a Monteta „Życie codzienne w Egipcie”, przedstawiającą willę w ogrodzie, malowidło na jednym z grobów w nekropoli tebańskiej.

– Proszę, proszę do środka – skłonił się znów gospodarz.

Znalazłem się w sporym przedpokoju czy raczej holu wyłożonym dywanem. Domyśliłem się, że w egipskim domu, jak w meczecie, należy zdjąć obuwie.

– Ten zwyczaj nie obowiązuje Europejczyków – powstrzymał mnie Hosni.

Zdjąłem jednak buty, bo to samo zrobili obaj Arabowie.

Achmed otworzył drzwi w głębi holu. Zobaczyłem obszerny pokój również wyłożony kobiercami, ale bardziej okazałymi, o wspaniałych barwach. Dywany wisiały także na ścianach. Pokój oświetlały lampy. Naturalnie elektryczne, choć wyglądające na stare, kute z miedzi i mosiądzu. Pod jedną ze ścian stała długa sofa pokryta jedwabną tkaniną, pod innymi – niskie stoły z mahoniu inkrustowanego perłową macicą, a na nich srebrne, a może tylko posrebrzane naczynia. Podobny stół znajdował się na środku pokoju. Przy nim dwa foteliki z narzuconymi poduszkami.

– Proszę – gospodarz wskazał mi jeden z nich. Był tak niski i miękki, że kolana miałem na wysokości brody. Achmed usiadł na przeciwko, zaś Jasin przykucnął nieco z boku na dywanie. Musiałem mieć zdziwioną minę, bo Achmed zaczął tłumaczyć:

– Mieszkamy tu dosłownie od wieków. Na miejscu tego domu stał kiedyś inny, starszy, ale na pewno podobny. A jeszcze dawniej... jeszcze starszy. I zawsze na tym zakątku ziemi gospodarował jakiś Hosni. Niektórzy z nich byli bogaci, inni biedni. Nie wypuścili jednak ze swoich rąk tego skrawka ziemi. Bez względu na to, jak się

toczyła historia Egiptu i jakie losy przypadały mojej rodzinie, tkwiliśmy u stóp piramid.

– A raczej piramidy Chefrena – pozwoliłem sobie na niewinny żart.

Skutek moich słów był podobny do wybuchu granatu w ciasnym pomieszczeniu. Ojciec i syn znieruchomieli. Starszy Hosni wypuścił papierosa z ręki.

– Skąd pan wie? – zapytał.

– Nie wiem, ale pan robi wszystko, żeby mnie o tym przekonać. Ile razy wspomnę o piramidzie Chefrena, od razu wywołuję pańską gwałtowną reakcję. To właśnie ja chciałbym wiedzieć, dlaczego tak się dzieje. A także... jaki jest powód, że moja osoba wzbudziła takie zainteresowanie z pana strony.

– Posądza mnie pan o najgorsze – pokiwał głową gospodarz.

– O nic pana nie mogę posądzać. Najwyżej podejrzewam, że pod pozorem wynajmowania wielbłąda może pan być, przypuścmy, funkcjonariuszem władz bezpieczeństwa.

Hosni przyjrzał mi się uważnie i z całą powagą odrzekł:

– Daję panu słowo honoru, że jestem tylko właścicielem wielbłąda i tego małego domku. A co do mojego zachowania, przyznaję, mogło ono pana czasami dziwić. Ale bywało i odwrotnie.

Uznałem, że nie wypada mi wyjaśniać tej drażliwej sprawy na samym początku wizyty, więc zmieniłem temat rozmowy, dość obcesowo i niedość zręcznie:

– Jakże piękne są te dywany, zwłaszcza ten mały nad stolikiem.

– To stary modlitewnik. Arabowie byli koczownikami i wojownikami. Każdy musiał mieć taki dywanik przytroczony do siodła końskiego czy do juków wielbłąda, żeby móc modlić się trzy razy

dziennie, bijąc pokłony Allachowi. Te esy-floresy to nie ozdoby, lecz słowa modlitwy w perskim języku. Bo to wyrób perski z Tebrizu. Stary tebriz. Jest w naszej rodzinie co najmniej od dwustu lat. Dziś naturalnie tylko jako ozdoba pokoju. Jeśli się panu podoba, proszę uważać go za swoją własność.

Przestraszyłem się nie na żarty. Nieraz słyszałem, że w tradycyjnych domach na Wschodzie i na Południu nie należy chwalić żadnych przedmiotów, bo gospodarz musi wtedy podarować je gościowi. Trzeba się rewanżować darem równej wartości, a czasami można dostać nożem w plecy. Naturalnie nie w gościnnym domu, lecz po wyjściu, gdzieś w ciemnej ulicy. Sądziłem, że te zwyczaje dawno wygasły, teraz jednak przejął mnie strach, że znowu popełniłem straszną gafę. Jak z niej wybrnąć?

– Serdecznie dziękuję za tak wspaniały dar – przyszedł mi do głowy zbawienny pomysł. – Proszę jednak, aby pozostał na tej ścianie. Nie mógłbym go wywieźć z Egiptu, nie mówiąc już o tym, że cło tutaj i w Polsce zrujnowałoby mnie.

Chyba dobrze zagrałem, bo Hosni uśmiechnął się i powiedział:

– Jak pan sobie życzy. Lecz teraz pora już, abyśmy coś zjedli. Ja odczuwam głód, pan zapewne też.

Naturalnie przez grzeczność zaprzeczyłem, chociaż myśl o zjedzeniu czegoś dobrego wcale nie była mi niemiła.

Gospodarz coś zawołał po egipsku. Drzwi otworzyły się natychmiast i stanęła w nich uśmiechnięta Tagrid. Ona także, jak przedtem gospodarz na progu swego domostwa, złożyła mi ukłon, niczym przed Allachem. Widocznie takie tu panują obyczaje.

Znowu Achmed wydał jakieś polecenia i zwrócił się do mnie:

– Czy mój szlachetny gość pozwoli, żeby syn jadł razem z nami?

– Oczywiście! Bardzo będzie mi przyjemnie.

Tagrid przyniosła lniany obrus, nakryła nim stolik i położyła trzy nakrycia. Wymogi egipskiej czy też arabskiej etykiety nie dopuszczają, by dziewczyna siadała razem z mężczyznami.

Gdy dziewczyna podeszła do drzwi, stanęła na progu inna, starsza kobieta. Domyśliłem się, że to matka Tagrid. Przynosiła z kuchni półmiski, a córka odbierała je i nakładała nam na talerze potrawy.

Było ich dużo, chociaż porcyjki niewielkie. Tak po łyżce z każdego półmieszcza. Jedne z tych dań ogromnie mi smakowały, do innych zmuszałem się, aby je przełknąć. Na posiłek składały się ryby i mięso, przeważnie baranina. Wszystko z czosnkiem i obficie polewane ostrymi sosami, najczęściej różowego koloru. Do tego makaron, ryż, soczewica. Popijaliśmy czystą, lecz zimną wodą, podawaną w kubkach z czerwonawej miedzi.

W czasie tej uczy Achmed nie odezwał się ani słowem. Ja także nie, żeby nie strzelić nowego głupstwa.

Kolacja ciągnęła się długo. Po przekąskach i gorących daniach podano bardzo słodkie ciasta i herbatę. Kiedy wreszcie uporałiśmy się z tym, a muszę przyznać, że podjadłem sobie za wszystkie czasy, Achmed skinął ręką i dziewczyna zaczęła sprzątać ze stołu. Myślałem, że to koniec, ale zaraz pojawiły się owoce. Pomarańcze, cytryny, figi i daktyle. Tagrid przyniosła również dwa spore srebrne pucharki i dzban o wysmukłej szyjce z tego samego metalu. Teraz Jasin wstał z dywanu, skłonił się nam obu i wyszedł z pokoju. Zostaliśmy we dwóch.

Gospodarz nalał wina. Było ciemne i robiło wrażenie gęstego.

– Zdrowie mego przyjaciela – powiedział uroczyście podnosząc puchar – człowieka, który ocalił życie mojego syna.

– Zdrowie miłego i hojnego gospodarza. Niech mu Allah przyśporzy wszelkiego dobra – starałem się dostosować do tej nieco dziwnej dla Europejczyka etykiety.

Obaj z ogromną powagą wypiliśmy po łyku. Wino było bardzo słodkie i chyba bardzo mocne. Przyznaję, że niezbyt mi smakowało. Wołę wytrawne, ale takich się w Egipcie raczej nie pija.

– Koran zakazuje pić wina – zauważyłem dziwiąc się w duchu, że Arab nie przestrzega tego zakazu.

– Goszczę dzisiaj pod swoim dachem człowieka – odparł Hosni – który ocalił życie mojemu jedyjnemu potomkowi. Pragnąłbym, żeby ten człowiek czuł się w moim domu jak u siebie. Więc ten drobny grzech – uśmiechnął się lekko – biorę na swoje sumienie. Dzisiaj zresztą zakaz ten interpretuje się w Egipcie nieco inaczej: nie wolno nadużywać alkoholu. A tego przecież nie robimy.

Ponownie umoczyłem usta w ciemnym, słodkim płynie.

Hosni przez chwilę milczał. Jak gdyby walczył sam ze sobą przed jakimś decydującym wyznaniem. Wreszcie odezwał się cichym głosem:

– Gotów jestem zrobić dla pana wszystko. Proszę rozporządzać moją osobą i tym, co posiadam. Do końca życia pozostanę pańskim dłużnikiem.

– A gdybym zażądał – spojrzałem uważnie na twarz gospodarza – czegoś bardzo ważnego?

– Nie ma rzeczy, której bym nie wykonał – Achmed wypowiedział te słowa z powagą. – Jeśli pan zechce, ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, stanie się pańską własnością.

Nie wiem, czy pod wpływem wina, czy też na skutek upałów, do jakich Europejczyk zwłaszcza w marcu nie jest przyzwyczajony, dość że wstąpiła we mnie dziwna przekora.

– Ten dom, choć piękny, to za mało dla mnie. Chcę czegoś więcej !

– Proszę rozporządzać moją osobą i tym, co posiadam...

– A więc dobrze – podjąłem tę grę – chciałbym, żeby mi pan opowiedział o piramidzie.

– O piramidzie? – w głosie Araba zadźwięczało zdumienie, ale i przestraszach.

– Właśnie. O Wer Chafre. Czy tak wiele żądam?

Po moich słowach zapadła cisza. Arab siedział z pochyloną głową. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie – zastosowałem przecież chwyt niezupełnie fair. Już chciałem się jakoś wycofać, gdy usłyszałem, że Hosni mówi coś niemal szeptem, powoli:

– Są sekrety, które przechodzą z ojca na syna... z pokolenia na pokolenie... których nie wolno nikomu powierzyć. Nawet najlepszemu przyjacielowi...

– Ja nie chcę sekretów! Chcą tylko znać prawdę o piramidzie.

Achmed Hosni westchnął, znów popatrzył na mnie uważnie.

– Dobrze – powiedział po chwili wahania – powiem panu, jak budowano Dom Miliona Lat Chafre. A przynajmniej, jak mi się to kiedyś wyśniło.

Usiadł wygodnie w fotelu, odchrząknął i już spokojnym, równym głosem zaczął opowiadać.

\*

– Pewnego dnia wróciłem po południu bardzo zmęczony do domu i położyłem się ot tu, na tej sofie pod ścianą.



Nagle doznałem dziwnego uczucia, jakbym gdzieś zawisł w przestrzeni. Spojrzałem na zachód, tam gdzie powinny się znajdować piramidy. Rzeczywiście, ujrzałem je. Ale tylko dwie. Jedna z nich błyszczała wspaniale w promieniach słońca. Cała biała i zupełnie gładziutka. A sam jej czubek świecił szczerym złotem.

Poznałem ją od razu. To piramida Cheopsa. Ale w pełnej swej krasie. Taka, jaką musiała być przed czterdziestu siedmiu wiekami. Jaką dwa tysiące lat temu opisywał Herodot.

Druga piramida, płasko ścięta, nie miała czubka. Od wschodniej strony wznosił się na tę samą wysokość wał ziemny.

Wydawało mi się, jak gdybym znajdował się w sali kinowej i patrzył na ekran, na którym następuje zbliżenie obrazu. Znalazłem się tuż koło piramid. Ta druga, teraz widziałem to doskonale, to Dom Miliona Lat Chafre. Nie miała obudowy i nie była ukończona. Jej podstawa wyglądała mniej więcej tak, jak i dzisiaj. Nasyp z piasku czy z gruzu prowadził aż do samej góry, gdzie trwały roboty. Wszędzie kręcili się robotnicy. Przesuwano wielkie bloki kamienia, dopasowywano je jeden do drugiego i w ten sposób powstawała nowa warstwa piramidy. Wał ziemny zastępował nasze obecne rusztowania. Zaczynał się przy drodze wyłożonej kamiennymi płytami, która opadała łagodnie w dół i kończyła się widocznymi stąd kamieniołomami. Na drodze i na wale ziemnym wszędzie poruszali się ludzie. Trzech ciągnęło linę przymocowaną do masywnych sań, pięciu popychało je. Dwóch innych stale czerpało wodę z wielkich glinianych kadzi, stojących co kilka metrów na całej długości drogi, i zwilżało kamienne płyty lub ziemię przed saniami, aby zmniejszyć tarcie i ulżyć tragarzom. Jeszcze inni ciągnęli w dół puste sanie. Wracali po następny ładunek.

Nieco z boku ciągnęły się rzędy baraków. Cała armia kucharzy przygotowywała posiłek dla pracujących. Z magazynów wytaczano duże, czerwone dzbany z piwem. Piekarze wypiekali na rozpalonych kamieniach płaskie placki z pszenicy lub jęczmienia. Wszyscy ci ludzie byli prawie zupełnie nagi. Tylko na biodrach nosili króciutkie, białe przepaski.

Pomiędzy pracującymi kręcili się dozorczy. Można ich było odróżnić, gdyż przepaski mieli nieco dłuższe, a w rękę trzymali kij. Na samym szczycie drogi siedzieli pisarze. Każdy z nich miał w rękę długi zwój papirusu, trzcinę zaciętą na ostro i glinianą buteleczkę atramentu. Dokładnie oglądali każdy przyciągnięty na budowę blok, sprawdzając znaki wyryte na kamieniu, i jeśli wszystko było w porządku, wskazywali, gdzie należy go skierować.

Właśnie wyładowane sanie zatrzymały się w połowie drogi. Robotnicy wyprostowali się i odpoczywali. Zaraz doskoczył do nich dozorca.

„Dlaczego stoicie? Tarasujecie drogę. Ciągnąć!”

„Zaraz, panie. Musimy się wody napić”.

Jeden z polewaczy podał im dzbanek. Pili i oplukiwali twarze.

„Wracajcie do pracy. Dosyć tego. Zablokujecie całą robotę” – dozorca wymachiwał kijem, ale nie uderzył. Jemu samemu na tym upale także chciało się pić. Zresztą następne sanie znajdowały się jeszcze dość daleko.

Znowu naprężyły się liny. Pchający wyteżali siły, aby ruszyć blok z miejsca. Nawet dozorca odłożył swój kij i sam próbował pomóc. Polewacze także pomagali.

Wreszcie sanie ruszyły i z wolna sunęły pod górę.

„Dzisiaj – powiedział jeden z ciągnących linę – powinni nam dać podwójną porcję piwa. Jest bardzo gorąco, praca stała się dużo

cięższa. A pomimo to robimy jeden kurs więcej”.

„Dostaniesz, ale kijem od dozorczy. Nie widziałeś, jak machał?”

„Żeby tylko pisarz odnotował ten dodatkowy kurs – martwił się trzeci – bo inaczej przepadnie nam miarka pszenicy”.

„Chciałbym już wracać do domu” – westchnął któryś.

„Jeszcze nieprędko. Jeszcze bóg Hapi nie zesłał nam wszystkich łask. Kanał wypełnił się wodą dopiero w połowie”.

„Kapłan boga Re mówił nam wczoraj, że Hapi będzie na nas w tym roku wyjątkowo łaskawy. Wypełni sobą całą dolinę”.

„Oby tak było, ale co taki zwykły kapłan może wiedzieć?”

„Cicho, nie bluźnij” – upominał któryś z robotników.

„W tym roku będę miał co najmniej dwadzieścia hektarów wyborowej pszenicy. I ponad czterdzieści hektarów jęczmienia”.

„Jak się z takim bogactwem zabierzesz z powrotem. Z daleka jesteś?”

„Z daleka. Aż za Waset stoi mój dom. Syn też pracuje tu na budowie. Wystarczy nam ziarna na siewy i na spokojne życie aż do nowych zbiorów”.

„Masz ziemię?”

„Dzierżawię zagon. Dwa tysiące łokci długości i dwieście szerokości”.

„To ty jesteś bogacz. Ja muszę pracować u pana”.

„Świątynia Wielkiego Horusa daje mi także taki sam łąn, który obrabiam za połowę zbiorów”.

„To po co przyjechaliście tutaj do roboty?”

„Przyszedł pisarz samego nomarchy z Kuft i musiał z naszej wsi wybrać pięciu ludzi. Więc zgłosiłem się z synem. Chcemy zarobić, bo zamierzamy pobudować nowy dom. A o własnym grobie także czas pomyśleć”.

„Syn powinien pogrzebać ojca i dbać o jego grób” – ktoś zacytował stare przysłowie.

„Mam dwóch synów. Dobrze chłopaki. Jeden pracuje tu ze mną, drugi przy świątyni uczy się na pisarza”.

„Widzę, że wysoko mierzysz. Chcesz dzieci wychować na panów”.

„A pewnie. Mają, jak ich ojciec, całe życie harować z naprężonym karkiem i brać kije od dozorców?”

„Pisarza też biją. Nie widziałeś, jak parę dni temu dostał dziesięć kijów ten na dole, bo wysłał tutaj bloki przeznaczone na inny poziom?”

„Należało mu się. Ludzie przez niego ciągnęli kamienie nie tylko w górę, ale i na dół”.

„Pisarz, który liczy nasze kursy, nie chciał zapisać. Ale Ibis-Ra kazał zapłacić”.

„Słusznie, bo ludzie pracowali. Nie ich wina, że pisarz się omylił”.

„Oni sami także powinni patrzeć, co wiozą. Przecież na każdym bloku jest numer poziomu i numer rzędu. Ja zawsze sprawdzam”.

„To byli ludzie z Niestrudzonej Brygady. Trudno wymagać od takich przybyszów aż spod pierwszej katarakty, żyjących na granicy kraju Kusz, żeby znali się na pisanych cyfrach. Co im dali, to ciągnęli”.

„Głupcy”.

„Mówił mi jeden z nich, że tam do najbliższej świątyni trzeba iść dwa dni. Odbywają taką wędrówkę tylko raz do roku, na procesję bogini Satet”.

„To pewnie i podatków mniej płacą”.

„Jeżeli nie więcej. Pisarzy i tam nie brakuje. A muszą jeszcze utrzymywać garnizony wojskowe stojące na granicy”.

„Teraz wszędzie spokojnie. Nawet złodzieje libijscy siedzą cicho”.

„Bo się boją naszego Horusa, oby żył wiecznie. A władca Górnego i Dolnego Kemet także pozostawia sąsiadów w spokoju”.

„Toteż i nam się lepiej żyje”.

„Ale jak zabierzecie się z taką masą zboża tak daleko?”

„Nie słyszałeś, że Ibis-Ra wydał zarządzenie zatwierdzone najwyższą ręką, że robotnicy, którzy przepracowali przy budowie cały achet, mają prawo płynąć wraz ze swoim bagażem tymi samymi barkami, które dostarczały na budowę żywność i materiały budowlane? I to bezpłatnie. Pisarze będą wydawali odpowiednie zaświadczenia”.

„Ibis-Ra to porządny chłop”.

„To mu trzeba przyznać. Dbą o ludzi”.

„Dlatego i budowa tak szybko idzie. Mój dziad, który pracował przy Achet Chufu, opowiadał, że tam zawsze ludziom urywali zarobki. Nieraz dostawało się połowę tego, na co człowiek zapracował. Karmili ich chlebem i oliwą. Czasem dostawali owoce. Jeżeli jedli ryby to od święta. Piwo co drugi czy trzeci dzień”.

„Teraz mamy często mięso i piwo. A sam widziałem, jak Ibis-Ra dał piętnaście kijów dozorczy, który niesprawiedliwie ukarał robotnika”.

„Podobno nasz Horus, oby żył wiecznie, powiedział Ibisowi-Ra: rób wszystko w moim imieniu, aby tylko budowa postępowała szybko”.

„Słyszałem, że nasz Pan, oby żył wiecznie, jest ciężko chory”.

„Cicho! Tego nawet mówić nie wolno. Chafre będzie żył wiecznie”.

„Widziałem go raz w Inbu-Hedź. W rocznicę jego wstąpienia

na tron. Horus stał na balkonie pałacu. Wtedy każdemu wolno było wejść na dziedziniec Wielkiego Domu. Ubrany wspaniale. Cały w złocie i srebrze. Aż oczy bolały patrzeć. Ze sztuczną brodą, na głowie miał kłafit bardzo misternie ułożony, zaś na nim pszent: podwójną białą i czerwoną koronę Górnego i Dolnego Kemet. Wyglądał jak bóg. Aż oczy bolały patrzeć” – powtórzył robotnik.

„Bo jest bogiem, synem Re. A gdy odejdzie na Zachód, oby żył wiecznie, połączy się z Ozyrysem i jako Ozyrys będzie panował miliony lat nad krainą wiecznej szczęśliwości. Nie to, co my. Nasze groby szybko rozsypią się na pustyni...”

„Wy tu za dużo gadacie, a za mało ciągniecie” – dozorca przyskoczył do rozmawiających.

„Ciągniemy, panie – tłumaczyli się – pracujemy ponad miarę. To dodatkowy kurs. A przy rozmowie praca lepiej idzie.”

– Patrzyłem na to wszystko – ciągnął Achmed Hosni – jak gdyby przede mną rozgrywał się wielki teatr. Słyszałem i rozumiałem każde wypowiedziane słowo. A jednocześnie mój umysł funkcjonował sprawnie. Zmysł krytyki dochodził do głosu. Jak mogę rozumieć tych ludzi? Przecież oni mówią po staroegipsku.

Używają takich terminów, jak „Hapi”, co było synonimem boga Nilu i nazwą samej rzeki, czy „Inbu-Hedż”, starej nazwy Memfis, ówczesnej stolicy, gdzie rezydował faraon Chafre. „Achet” to pora wylewu Nilu, jak „peret” był porą siewów, natomiast „szemu” okresem żniw, bo mieszkańcy Kemet dzielili rok tylko na trzy pory. Horus był bogiem nieba, uważanym za protoplastę monarchii egipskiej. A że Egipcjanie nie znali tytułu „król”, każdego z kolejnych władców nazywali po prostu po imieniu lub Horusem.

Jeden z robotników wspominał o zapłacie. Pieniądzy wtedy nie znano. Płacono produktami rolnymi, ziarnem, mierzonym w hekat. Miara hekat odpowiadała objętości około czterech i pół litra, zaś lokieć to 0,525 metra. Dzielił się on na siedem dłoni i 28 palców.

Znowu spojrziałem na piramidę. Teraz widziałem dokładnie górny plac budowy. Tutaj pisarze oglądali przyciągnięte bloki wapienia. Po wylądowaniu z sań kamienie przesuвано i układano zgodnie z numerami rzędów. Potem do roboty brali się kamieniarze. Bloki były już obrobione, ale wymagały jeszcze wyrównania płaszczyzny, aby jak najszczelniej pasowały jeden do drugiego. W miękkim materiale ryto miedzianymi dłutami. Ludzie w białych fartuszkach – można by ich nazwać inżynierami lub technikami – z miarką w ręku, sprawdzali robotę kamieniarzy. Specjalni sprzątacze usuwali odłamki i gruz powstający przy obróbce.

Kiedy inżynierowie uznali, że bloki są już pożądanej wysokości i mają dostatecznie gładką powierzchnię, wsuwano je w układany właśnie rząd piramidy i dużymi drągami dociskano do leżących już kamieni, a szpary wypełniano drobnym gruzem. W niektórych miejscach specjalnie zostawiano długie i szerokie szczeliny, by następnie wpuścić w nie pionowo wąskie, ale długie płyty kamienne, wykonane z bardzo twardego granitu. To wzmacniało konstrukcję budowli i zapobiegało ewentualnemu przesuwananiu się warstw wapienia.

Na szczycie piramidy, na właściwym miejscu budowy, znajdowało się stosunkowo niewiele ludzi. Byli to jednak wysoko kwalifikowani rzemieślnicy. Nie widać było pośpiechu, ale każdy wiedział, co do niego należy. Pracowano pewnego rodzaju metodą taśmową. Blok kamienny wędrował od kamieniarza do kamieniarza, coraz bliżej placu, w którym miał pozostać na wieki, całkowicie obrobiony. Ze szczególną dokładnością wymierzano bloki kamienia przeznaczone

do rzędów zewnętrznych. To bardzo ważne, ze względu na późniejszą wykładzinę.

Poza tragarzami dostarczającymi kamień na szczyt drugą, najliczniejszą grupą robotników byli nosiwodowie. Budowa wymagała olbrzymich ilości wody. Całą drogę stale polewano, aby zmniejszyć tarcie. Również i na szczycie ciągle zwilżano ułożoną już dolną warstwę kamienia rzadką gliną. Dzięki temu kilku ludzi mogło przesuwąć bloki ważące do dwóch i pół tony każdy. A że słońce prażyło w pełni lata, ludziom chciało się pić. Na każde skinienie nosi woda zbliżał się z dzbankiem do robotnika. Nic dziwnego, że obok długiego sznura tragarzy, ciągnących sanie z kamiennymi blokami, posuwał się nie mniejszy, dźwigających na drewnianych nosidłach konwie z wodą. Wlewano ją do stojących wzdłuż drogi i na górnym placu budowy wielkich glinianych dzbanów, które obsługiwała osobna grupa nosiwodów, a dozorczy sprawdzali, czy robotnicy napełniają właściwe naczynia.

Gospodarz zamilkł, a ja pomyślałem, że to, co mówił, można wyczytać w pierwszej lepszej książce poświęconej archeologii. Nie takiej opowieści oczekiwałem. Czyżby Achmed Hosni liczył na to, że wystarczą mi, a może... zniechęcą, te szczegóły o budowie piramid?

– I wtedy pan się obudził – zapytałem z ironią, nie kryjąc rozczarowania.

– Nie – westchnął ponownie Arab – to dopiero początek mojego długiego snu. Czy chce pan słuchać dalej?

– Oczywiście!



## NIEPROSZONY ŚWIADEK

Jak zwykle na tej wielkiej budowie, skoro świt wydano robotnikom żywność. Śniadanie i obiad, który zabrali ze sobą. To była innowacja wprowadzona dopiero od dwóch sezonów przez naczelnego inżyniera kierującego budową Domu Miliona Lat Chafre, Ibis-Ra. Przedtem wydawano ludziom żywność od razu na dziesięć dni lub nawet na dłuższy okres. Skutek był taki, że większość już po paru dniach nie miała co włożyć do ust. Dochodziło do żądań dodatkowych porcji, a czasem i gróźb przerwania roboty. Przy nowym systemie nikt nie był głodny. Pisarze notowali dokładnie, ile kto zarobił, i po potrąceniu tego, co otrzymywał codziennie, resztę dostawał po skończonej robocie.

Ibis-Ra proponował nawet, aby robotnicy powracający po skończonym sezonie budowlanym do domów dostawali nie zboże, lecz przekaz do magazynów w swoim miejscu zamieszkania. Podobno władca Kemet chciał się na to zgodzić, ale nomarchowie zarządzający swoimi nomami gorąco protestowali. Tłumaczyli, że w ten sposób ich magazyny mogą zostać tak opróżnione, że żywności zabraknie dla reszty mieszkańców tych okręgów. Nie wszystkie bowiem nomy wysyłały taką samą liczbę robotników do robót publicznych. W

niektórych okręgach grupy ochotników znacznie przewyższały zapotrzebowanie, w innych natomiast, gdzie było więcej ziemi i gdzie plony zbierano dwa razy do roku, a więc na całym prawie obszarze Dolnego Kemet, nie wypełniano obowiązków wobec władcy równie skwapliwie. Nomarchowie tych nomów szli zazwyczaj ludziom na rękę i tłumaczyli, że nie mogą przysłać więcej robotników, ponieważ w każdej chwili może grozić najazd Ludów Morskich lub przewrotnych, złodziejskich Libijczyków, którzy tylko czyhają na okazję zagrabienia cudzego dobra.

Zaraz też ludzie sformowali się w swoje brygady i poszli do roboty. Droga prowadząca z kamieniołomów ożyła. Ruszyły transporty budulca i wody. Na górze kamieniarze i murarze także nie próżnowali. Dopóki panował chłód, każdy starał się wykonać jak największą część przypadającej na niego normy dziennej. Rankiem dozorczy nie potrzebowali podnosić głosu ani używać kija. Dopiero w miarę jak temperatura podnosiła się i narastało zmęczenie, tempo pracy stawało się wolniejsze.

Droga z budowy do kamieniołomu nie kończyła się tam, gdzie robotnicy przy pomocy drewnianych, moczonych w wodzie klinów, które pęczniejąc rozsadzały kamień, wyłupywali bloki kamienia z litej skały, ale biegła dalej na wschód, aż do kanału specjalnie wykopanego w tym celu, aby wielka inwestycja mogła korzystać z transportu wodnego. Tutaj, w małym porcie, także panował ogromny ruch. Codziennie przybijały barki z żywnością i odzieżą dla robotników. Przywożono budulec, którego nie było na miejscu. Jeszcze Dom Miliona Lat nie dosięgał trzech czwartych zaplanowanej wysokości, a już wielkie statki krążące po Hapi przywoziły czerwony granit aż spod pierwszej katarakty. Biały alabaster zwożono z Hatnub, a najbardziej cenny, używany tylko do rzeźbienia posągów i sarkofagów – czarny łupek, trzeba było najpierw zdobywać daleko

na pustyni w górach Bechen, leżących między Hapi a wielkim Mu, \* które barbarzyńcy z kraju Kusz zwali Czerwonym, Stamtąd łupek ciągnięto przez prawie milion łokci do Hapi, gdzie czekały na niego statki.

Mu – w staroegipskim znaczy woda – morze.

Transport wodą trwał dość długo, żeby więc nie tracić czasu, zabierano na pokład kamieniarzy, którzy w czasie podróży obrabiali bloki. Przy porcie utworzono obszerny plac, gdzie wszystkie te materiały leżały posegregowane dokładnie i szczegółowo opisane przez pisarzy czuwających nad porządkiem.

Właśnie teraz dobiła do portu niewielka barka. Nie wiozła żadnego ładunku, prócz dużej skrzyni, umieszczonej w samym środku statku i nakrytej specjalnym daszkiem. Chronił on tę pakę nie tyle przed deszczem – w czasie achet tylko dobry bóg Hapi dostarcza ludziom wody, z nieba ona nie spada – co przed palącymi promieniami słońca i suchymi podmuchami wiatru.

Widocznie ładunek był bardzo cenny, bo strzegli go żołnierze i oficerowie z przybocznej straży Chafre. Na brzegu oczekiwała przybycia statku liczna grupa inżynierów. Kiedy marynarze zakotwiczyli statek przy nadbrzeżu, jeden z inżynierów wszedł na pokład i przez specjalne okienko zajrzał do skrzyni.

„W porządku?” – zapytał go oficer dowodzący konwojem.

„W porządku” – skinął głową budowniczy.

„No – ucieszył się wojskowy – nareszcie będę miał spokój. Trzy i pół roku wiozę do was ten ładunek. Gdzie ja nie byłem i czego nie widziałem! Kiedy biegły pisarz wyrysuje na moim grobowcu wszystkie te przygody, nikt w nie nie uwierzy. Chyba od czasu bogów nikt takich nie przeżył?”

„Pan nasz, Horus, oby żył wiecznie, polecił mi zakomunikować tobie, że za oddane usługi otrzymasz najwyższą nagrodę. Twój dom stanie w pobliżu Domu Miliona Lat, a wydatki pokryje skarb państwa”.

Słyszając tak radosną nowinę oficer padł na deski pokładu i uderzając w nie czołem zawołał:

„Horusie Chafre, żyj wiecznie! Żyj wiecznie!”

Takie wyróżnienie rzadko spotykało kogoś, kto – jak ten stary wiarus – nie pochodził ani z rodziny królewskiej, ani z szeregów najwyższej arystokracji. Widocznie usługi oddane państwu i jego władcy były naprawdę najwyższej wagi.

Kiedy inżynier pokwitował pisarzowi na statku odbiór ładunku, na pokład weszli tragarze. Ale nie byli to ludzie zaangażowani do wciągania pod górę bloków kamienia. Tym razem funkcje tragarzy zlecono najsilniejszym spośród inżynierów i majstrów. Powoli, bardzo ostrożnie przeniesiono tajemniczy ładunek na nowiutkie, czekające w porcie sanie. Inżynierowie ujęły liny. Nie żałowano wody, obficie polewając drogę. Ciężka skrzynia, wielokrotnie obwiązana powrozami, ruszyła w drogę na szczyt. Ludzi ciągnących i pchających było dużo. Często się zmieniali przy tej pracy, ale nie pozwolono im się śpieszyć. Baczyć mieli przede wszystkim, by nie uszkodzić ani skrzyni, ani – broń nas od tego, Re! – cennego ładunku.

Dopiero więc po paru godzinach sanie dotarły na górny plac budowy. Tutaj, z zachowaniem wszelkich ostrożności, odstawiono skrzynię na bok. Wkrótce znalazły się przy niej inne ładunki – podłużnego kształtu, zawinięte w lniane płótno i obwiązane sznurkiem. Nie były zbyt ciężkie. Bez trudu mogło je udźwignąć trzech ludzi, ale wybranych wyłącznie spośród najbardziej godnych zaufania.

Po jakiejś godzinie z budynku, gdzie mieściło się kierownictwo

robót, wyszedł starszy mężczyzna. Wysoki, starannie wygolony, w białym fartuszku, jak inni. I również jak inni – boso. Ale wszyscy go tu znali i każdy kłaniał mu się nisko. Nawet nadzorcy pisarzy, nie mówiąc o dozorcach, technikach i inżynierach.

Wysoki człowiek, nie spiesząc się, podążył pod górę. Chwilami przystawał i udzielał porad nosiwodom, w jaki sposób mają polewać drogę, by robić to oszczędnie, a jednocześnie zyskać jak najlepszy efekt. Czasem przywoływał inżyniera polecając mu naprawę drogi, gdy dostrzegł nierówności utrudniające transport. A kiedy napotkał sanie ugrzęzłe w koleinie tak głęboko, że nie można ich było ruszyć z miejsca, sam chwycił za linę. Wówczas z pomocą rzucili się wszyscy dozorca, pisarze i polewacze, a sanie, jak wyrzucone z katapulty, szybko ruszyły naprzód.

Wreszcie ten wysoki człowiek dotarł na górną platformę. Tam podszedł do niego inżynier, który odbierał skrzynię ze statku.

„No co, Ranefer, w porządku?”

„Tak jest, Ibis-Ra! Wszystko gotowe!”

Ibis-Ra spojrzał na niebo. Słońce przebyło najwyżej dwie trzecie swojej drogi, do zmierzchu było jeszcze daleko.

„Ogłoś ludziom, że na dzisiaj dosyć pracy. A jutro święto. Niech sobie odpoczną. Przekaż także pisarzom, żeby ludziom zapisali pełną normę”.

Ranefer skinął na stojących w pobliżu pisarzy i dozorców, powtórzył im polecenie głównego inżyniera. Dozorcy natychmiast rozbiegli się po całym placu, ogłaszając radosną nowinę. W wielu miejscach rozległy się okrzyki na cześć Horusa, oby żył wiecznie, i wielkiego Ibis-Ra. Nie upłynął nawet kwadrans, a wielka budowla opustoszała. Za to wzmożony ruch zapanował w robotniczym osiedlu.

Na górze pozostała mała grupka wtajemniczonych.

Ibis-Ra rozejrzał się dookoła.

„Możemy się brać do roboty” – zdecydował.

Jeden z inżynierów zaczął młotkiem wybijać kliny mocujące wieko skrzyni. Inni zabrali się do rozpakowywania pozostałych paczek. Po zdjęciu lnianych płacht ukazały się najrozmaitszej długości i grubości łańcuchy z miedzi, a niektóre ze srebra, rozmaite bloki i bloczki, zamki o dziwnej konstrukcji i rury. Następnie rozbito skrzynię. W jej wnętrzu umieszczona była duża, płaska szkatuła, sporządzona z jakiegoś szarego metalu, opasana miedzianymi wzmocnieniami.

Ibis-Ra, w towarzystwie swojego zastępcy, dokładnie badał wyjmowane części jakiejś maszyneryi, które układano na kamiennych płytach. Porównywał je z rysunkami na papirusie trzymanym w ręku. Od czasu do czasu schylał się, coś mierzył, coś sprawdzał.

„Pełny komplet – stwierdził z zadowoleniem. – Możemy przystąpić do roboty. Ale najpierw trzeba wszystko przenieść na właściwe miejsce”.

Dwóch inżynierów spróbowało podnieść ten stosunkowo niewielki ładunek, ale nie dali rady. Ciężar ani drgnął. Na próżno chcieli im pomóc następnym trzech. Ich siły również okazały się niewystarczające. Ale szkatułka była zbyt mała, aby ktoś więcej mógł mieć do niej dostęp.

„Trzeba zejść na dół – polecił naczelnny inżynier – po drągi. Zrobimy z nich nosiłki i wtedy ruszemy. Że też od razu nie przyszło mi to na myśl”.

„Może ja pomogę?” – odezwał się jakiś głos.

Mała grupka ludzi otaczających szkatułkę odwróciła głowy. O parę kroków od nich stał młody robotnik i nie pytając po raz drugi o pozwolenie zbliżył się do metalowego przedmiotu, chwycił go mocno obiema rękami. Chwilę mocował się z ciężarem, widać było

jego napięte z wysiłku mięśnie, wreszcie zdołał go unieść nad ziemię i powolutku zarzucił szkatułkę na ramię.

Ze zdumieniem patrzono na siłacza, który dokonał tego, co nie udało się pięciu ludziom.

„Dokąd to zanieść?”

„Chodź za mną – Ibis-Ra wskazywał drogę – ale uważaj, żebyś się nie pośliznęła na mokrej glinie”.

Młody atleta przeniósł szkatułkę aż do otworu pozostawionego między blokami kamienia i tu złożył ją na wskazanym miejscu.

„Jak ci na imię?” – zapytał Ibis-Ra.

„Nacht, dostojny panie”.

„Słusznie cię ojciec tak nazwał. Naprawdę jesteś największym siłaczem chyba od czasów bogów”.

„To nie jest takie ciężkie, dostojny panie, lecz trudne do uchwycenia, bo kanty ostre. Palce się obsuwają”.

„A skąd ty pochodzisz?”

„Z nomu On, spod tego miasta. To niedaleko stąd”.

„Od dawna tu pracujesz?”

„Już czwarty rok. Przez pierwsze dwa lata przychodziłem tylko w czasie achet. Razem z ojcem. Później przyjęto mnie do oddziału kamieniarzy”.

„Przypominam sobie – powiedział Ibis-Ra – ty szlifowałeś płyty wapienia, kiedy budowaliśmy korytarz. Dałem ci nagrodę za dobrą pracę”.

„Tak jest, dostojny panie. Dostałem od ciebie białą szatę”.

„Chciałem cię wtedy mianować dziesiętnikiem, ale nie można było cię znaleźć”.

„Pracowałem, aż zakończyliśmy wykładnię korytarza. Potem poszedłem do Inbu-Hedź”.

„Po co? – roześmiał się jeden z inżynierów. – Chciałeś na własne oczy zobaczyć Horusa?”

„Widziałem naszego pana, oby żył wiecznie, już kilka razy. Poszedłem do miasta, bo sprzedałem tę białą szatę jednemu kupcowi, który miał przybyć z kraju Kusz, aż zza trzeciej katarakty”.

„Przynajmniej jesteś szczerzy – Ibisa-Ra coraz bardziej zaciękał ten osilek. – Ale dlaczego sprzedałeś szatę, specjalnie cię nią nagrodziłem?”

„Kupiłem drewno. Piękne cedrowe deski i kołeczki. Przyniosłem to wszystko tutaj. W czasie wolnym od pracy zrobiłem dużą, ładną trumnę. Ozdobiłem ją takimi samymi rzeźbami boga Re, Horusa i Ozyrysa, jakie znajdują się na sarkofagu. Ojciec aż się rozpląkał ze szczęścia, kiedy zobaczył, jaki prezent mu przyniosłem. Nasz wójt, co ja mówię, nawet pan, który ma więcej ziemi niż jest jej w naszej wiosce, nie ma podobnej. Kiedy się dowiedział, sam do nas przyszedł i bardzo mu się podobało”.

„Jesteś naprawdę dobrym synem” – pochwalił go Ibis-Ra.

„Ja także chciałbym mieć takiego syna, co myśli o trumnie ojca – dodał Ranefer. – A co tu robiłeś? Przecież dzisiaj praca wcześniej się skończyła. Dlaczego zostałeś na górze?”

„Zauważyłem, że na jednym z niższych poziomów pękł blok wapienia. Pomyślałem sobie, że trzeba go wymienić. Tam zostało parę bloków, bo za dużo ich przywieźli, więc wymierzyłem jeden z nich i obrabiałem go, kiedy usłyszałem głosy waszych dostojności. Byłem ciekawy, kto przebywa na górze, i zająłem tutaj”.

„Bardzo nam pomogłeś – przyznał jeden z inżynierów – ale pamiętaj, że czasami zbyt duża ciekawość może być szkodliwa. Teraz możesz odejść. Ten pęknięty blok także zmienisz pojutrze. Dam ci trzech ludzi do pomocy”.



Nacht i skłonił się i chciał odejść, lecz Ibis-Ra powstrzymał go.

„Skoro tu już jest, niech zostanie. Może nam się jeszcze przydać”.

Inżynierowie przystąpili do montażu skomplikowanego urządzenia. W odpowiednich otworach szkatułki umocowano zamki, z kolei do nich podłączono srebrne łańcuszki. Inne, grubsze łańcuchy i bloczki stworzyły rodzaj windy. Kiedy cała konstrukcja została prawidłowo zamocowana, Nacht i pomógł szkatułkę opuścić w szczelinę o odpowiednich wymiarach. Wreszcie naprężone dotychczas łańcuchy rozluźniły się.

„Jest już w komorze – oświadczył Ranefer. – Łańcuchy przesunęły się do nacięć”.

Jeszcze parę ruchów i łańcuchy, już bez obciążenia, wyciągnięto na powierzchnię. Teraz tylko jeden srebrny łańcuszek łączył się ze szkatułką. Od szpary aż do bocznej krawędzi budowli biegł wąziutki rowek. Umieszczono w nim miedziane rury, w które wpuszczono łańcuszek. Żeby zaś nie zaciął się przy pracy, nad szczeliną umocowano specjalny mały bloczek. Następnie rowek założono gliną i zasypano drobnymi odłamkami kamienia, aby nie pozostało po nim śladu. Kawałek wystającej na zewnątrz rury z początkiem srebrnego łańcuszka także umiejętnie zamaskowano odpowiednią płytą. Słońce już zachodziło, kiedy zakończono robotę.

„Zostałem wezwany do Inbu-Hedż, do Wielkiego Domu” – zwrócił się Ibis-Ra do otaczających go ludzi.

„Wasza dostojność popłynie w górę rzeki tą samą barką, która przywiozła ziemię śmierci?” – zapytał jeden z młodszych inżynierów.

Ibis-Ra aż zgrzytnął zębami z gniewu. Naprawdę mógł się zde nerwować. Wszystko od lat robiło się w najgłębszym sekrecie. Poza ścisłą garstką wtajemniczonych nikt, nawet spośród pracujących tu

inżynierów, nie wiedział, o co chodzi. A tu raptem jakiś nieodpowiedzialny młokos zdradza na głos najwyższej wagi sekret państwowy. I to przy kim? Przy zwykłym kamieniarzu. To są skutki, jeśli nie ma się zupełnie wolnego wyboru współpracowników. Ten młodzieńki inżynier na pewno nigdy by nie trafił na tak wysokie stanowisko przy wznoszeniu Domu Miliona Lat, gdyby jego ojciec nie był wysokim dygnitarzem u dworu. Sam Horus, oby żył wiecznie, powiedział za nim słowo, a takiej protekcji nawet naczelny konstruktor nie mógł nie uwzględnić. I na pewno nie tutaj, na budowie, dowiedział się o ziemi śmierci, lecz tę wiadomość musiał otrzymać od ojca lub jakiegoś innego zaufanego dworaka. Jak może być dobrze w państwie, skoro nawet największej tajemnicy nie da się zachować?

Ibis-Ra nie był zwolennikiem kija, ale w tej chwili chętnie spuściłby lanie gadatliwemu młodzieńcowi. Należało mu się przynajmniej dziesięć uderzeń poniżej pleców. Naturalnie nie przy świadkach, bo młody człowiek zaraz by się poskarżył wpływowemu ojcu. Ale tak po cichu, w czterech ścianach.

„Wyruszę jutro razem ze słońcem – odpowiedział – ale nie barką, lecz na piechotę. A ciebie chciałbym jeszcze dzisiaj zobaczyć. Przyjdź do mnie”.

Wszyscy prócz stojącego nie opodal siłacza i młodego inżyniera uśmiechnęli się. Nachti niczego nie zrozumiał, natomiast inżynier od razu zorientował się, że strzelił gafę. Domyślał się, jaka to będzie rozmowa i jakie narzędzie pójdzie w ruch.

„Tak jest, dostojny panie, przyjdę”.

„Dziękuję ci, Nachti, za pomoc. Teraz możesz już odejść” – Ibis-Ra pragnął odprawić chłopaka, ale ten wyraźnie zwlekał z odejściem.

„Dostojny panie...” – zaczął przelamując nieśmiałość.

„Czego chcesz? Nie bój się, nie zapomnę o zapłacie dla ciebie

za dzisiejszą pracę, i tutaj, i przy tym pękniętym kamieniu”.

„Nie o to mi chodzi...”

„Więc o co?” – zniecierpliwiał się naczelny inżynier.

Wśród grupki obecnych rozległy się szepty: „Co za zuchwałość!”, „Jak śmie?”, ale Ibis-Ra spojrział uważnie na chłopaka. Od pierwszej chwili spodobał mu się, był nie tylko wyjątkowo silny, ale szczerzy i bezpośredni, a te rzadkie przymioty cenił sobie naczelny inżynier ponad wszystko.

„Czy mógłbym być twoim szemsu w drodze do Inbu-Hedz? Jestem przecież silny, będę niósł wszystko, co mi każesz...”

„Dobrze – zgodził się po chwili milczenia Ibis-Ra – Przyjdiesz do mnie, jak tylko słońce wyjrzy zza pustyni. Ale pamiętaj, że w ten sposób tracisz dzień odpoczynku”.

„Stawię się punktualnie, dostojny panie”.

Młody siłacz odszedł szybkim krokiem. Wkrótce inni też podążyli za nim. Na górze pozostali naczelny inżynier i jego pomocnik.

„To bardzo źle – powiedział Ranefer – że ten głupi Sepedetanch wygadał się o ziemi śmierci. Ciekawe, skąd on mógł o tym wiedzieć?”

„Był niedawno w stolicy i tam zapewne ojciec mu powiedział. Trudno, stało się”.

„Najbardziej obawiam się tego młodego osiłka. Jeżeli roztrąbi to, co tu widział i słyszał, ludziom z budowy, boję się, że będziemy mieli trudności. Kamieniarze i murarze gotowi uciec z roboty”.

„Nie przypuszczam, aby do tego doszło – Ibis-Ra zamyślił się. – Ludzie raczej wytłumaczą sobie, że ziemia śmierci jest jakimś skarbem”.

„Czy nie lepiej by go od razu gdzieś odesłać, albo w ogóle zlikwidować? Można by upozorować jakiś wypadek”.

„Temu drugiemu sposobowi zamknięcia mu ust jestem stanowczo przeciwny. Chłopak nic nie zawinił”.

„Nie wiem – Ranefer miał wątpliwości – dziwne było, że wszyscy zeszli z roboty, a znalazł się jeden gorliwiec, który został. Może to szpieg?”

„Czyj?”

„Nie zapominaj, że w Libii żyją potomkowie Uzurpatora. Ciągłe im się marzy korona Górnego i Dolnego Kemet. Wywołanie buntów i zamieszek to woda na ich pola”.

„Chyba przesadzasz. Gdyby nawet tak było, co im z tego przyjdzie, że budowa Domu Miliona Lat Chafre, oby żył wiecznie, opóźni się?”

„Wiesz przecież, że pan nasz nie czuje się najlepiej. Gdyby odszedł na Zachód właśnie w czasie zamieszek, mogłoby to doprowadzić do nieobliczalnych konsekwencji”.

„Bogowie nie dopuszczą do tego. Gdyby jednak stało się nieszczęście, Menkaure dowodzi silnym korpusem wojsk w Dolnym Kemet, a Dom Miliona Lat jest tak zaawansowany w budowie, że mógłby przyjąć naszego Pana. Wiemy z historii, że nieraz prace ukończeniowe prowadzono już po pogrzebie. Co zaś do Nachti, sądzę, że to przyzwoity chłopak. Historia z trumną dla ojca przemawia na jego korzyść”.

„Jeżeli jest prawdziwa” – nie ustępował Ranefer.

„Nie wygląda na kłamcę. Zresztą łatwo sprawdzić. Wystarczy posłać do nomu On”.

„Byłbym za tym, aby to zrobić”.

„Zgoda. Zajmij się tym. Do miasta On jest niedaleko. Za trzy dni utwierdzisz się w swoich wątpliwościach lub się ich pozbędziesz. Ja ze swej strony postaram się wybadać chłopaka w czasie naszej drogi

do stolicy. Dobrze się złożyło, że ofiarował się być moim służącym w tej podróży”.

„Dlaczego udajesz się do miasta Białe Mury\*?”

Białe Mury – po staroegipsku Inbu-Hedż.

„Przede wszystkim dlatego, że Horus chciał się dowiedzieć o postępie robót i wezwał mnie. A poza tym przyszedł mi do głowy pewien ciekawy pomysł”.

„Czy to tajemnica?”

„Mogę ci ją zawierzyć. Już w przyszłym roku ustawimy złoty kamień na szczycie naszej budowy. Zaczną się prace przy okładzinie z czerwonego granitu. Na budowie nie będziemy potrzebowali tylu rąk do pracy. Z robotnikami dochodzącymi nie ma problemu. Albo pozostaną w swoich domach, albo użyje się ich do prac irygacyjnych. Natomiast żał mi tracić kamieniarzy. Są bardzo biegli w swoim rzemiośle. Czerwonego granitu przysłano nam już tyle, że od biedy i w tej chwili starczy na okładzinę Domu Miliona Lat. Przyszedł mi więc do głowy pomysł, aby na dole wybudować nie tylko wejście prowadzące do świątyni grobowej, ale dużą świątynię, poświęconą naszemu Horusowi. W tym miejscu, gdzie kamieniołom. A tę skałę, która sterczy pośrodku, zamienić w wielką rzeźbę lwa z głową Chafre. Takiego pomnika nie ma żaden władca Kemet”.

„Masz rację. Skała przypomina nieco swoim kształtem siedzącego lwa”.

„Jeżeli pracami w kamieniołomie pokieruje się odpowiednio, bez żadnych dodatkowych kosztów uzyskamy rzeźbę w stanie surowym. A budowa świątyni i pomnika pozwoli nam na zatrzymanie wszystkich lepszych rzeźbiarzy”.

„Doskonały pomysł. Tylko czy Horus zgodzi się na to?”

„Sądzę, że tak. Państwu także zależy, aby nie utracić tych ludzi,

dla których akurat nie ma pracy, ale którzy mogą być potrzebni za dwa, trzy lata. Koszta tego przedsięwzięcia będą stosunkowo niewysokie”.

„To najważniejszy argument. Słyszałem, że ze skarbem państwa nie jest najlepiej”.

„Kemet od prawie pięćdziesięciu lat bez przerwy buduje ogromne Domy Miliona Lat. To mogło wyczerpać dochody państwa. Ale na przyszły rok te wydatki znacznie spadną... Wracajmy na dół. Jutro przecież czeka mnie daleka droga”.

## PODRÓŻ DO STOLICY

Kiedy Ibis-Ra wyszedł rankiem z domu, młody siłacz już czekał przed progiem. Na ramię miał zarzucone spore zawiniątko. Nieco z boku, pod ścianą, siedział wielki pies.

„Witaj, dostojny panie”.

„Jesteś punktualny – pochwalił inżynier – to dobrze, bo i jam gotów do drogi.”

„A gdzie bagaż, panie?”

„Nie mam bagażu, chłopcze.”

„Trzeba wziąć, panie, ozdobny fartuszek. Ten, który widziałem na tobie, panie, kiedy przed czterema laty nasz Horus, oby żył wiecznie, przyjechał obejrzyć budowlę. Trzeba także zabrać długą białą szatę, sandały i naszyjniki”.

„Po cóż mi te wszystkie ceremonie? Jeszcze bym się przewrócił w sandałach na nogach. Któż by to dźwigał?”

„Ja poniosę, panie. A na dworze Horusa przydadzą się na pewno”.

Inżynier wiedział, że chłopak ma rację. Ale tak nie lubił etykiety panującej w stolicy! Tych dworaków obwieszonych świecidełkami jak zabawki dla dzieci. I tych wszystkich intryg, i plotek, panujących na dworze władcy. O ile lepsze i prostsze było życie na wielkiej

budowie, z dala od zgiełku stolicy... Wrócił jednak do domu, wziął stroje i ozdoby.

Nachti spakował je w torbę i z powrotem przewiesił ją sobie przez ramię.

„To twój pies?”

„Tak, mój. Jest bardzo mądry. Szczery przyjaciel. Czy mógłbym go zabrać ze sobą? Nie zrobi nam kłopotów, a może przydać się w drodze”.

„Jeżeli taki szczery, lepiej niech zostanie tutaj. Tam jeszcze by pogryzł jakiego dworaka i mielibyśmy nieprzyjemności”.

„On nikogo nie gryzie. Pozwól, panie, go zabrać”.

„Niech więc idzie. A jak na niego wołasz?”

„Bahiku”.

Ruszyli w drogę. Szli teraz koło kamieniołomu.

„Ta skała – powiedział Nachti – zawsze przypomina mi wielkiego siedzącego psa. Łatwo byłoby ją odpowiednio obrobić. Czubek to głowa. Ten pagórek to tułów. Wystarczy, aby pracujący w kamieniołomie wyłupali odpowiedni rów, a powstaną wyciągnięte do przodu łapy”.

„Może to nie pies, a lew?” – uśmiechnął się Ibis-Ra, przyjemnie zaskoczony.

„Zależy, jak by się prowadziło prace wykańczające. Mógłby być i lew”.

„A gdyby tak dać mu twarz naszego Horusa?”

„To byłoby wspaniałe! – wykrzyknął chłopak. – Weź mnie, panie, do tej pracy! Przekonałbyś się, panie, że umiem rzeźbić. Łapy musiałyby być zakończone pazurami. Tego nie dałoby się wyrzeźbić, trzeba byłoby wymurować z bloków kamiennych, bo nie starczy skały. Głowę należałoby odpowiednio podciąć u dołu, żeby broda ostro wyszła – mówił dalej z przejęciem. – Z boku także płaskie cięcia i w ten sposób powstanie nemes, chusta drapowana na głowie



króla tak, by tworzyła z boków dwie fałdy... A na czole wryłbym ureusza, którego później obłożyłoby się listkami złota... Ale korony Górnego i Dolnego Kemet już by się nie dało wyrzeźbić. Skala jest za niska i za szeroka – umilkł i zastanawiał się przez chwilę ze zmarszczonym czołem. – Trzeba byłoby ją znacznie obniżyć, a to zepsułoby całą proporcję”.

Ibis-Ra spoglądał na chłopca z rosnącym zdziwieniem. To zdumiewające, że tak w lot pojął jego własną wizję artystyczną.

„Masz rację” – skinął głową nie kryjąc zadowolenia.

„Kiedy, panie, każesz przystąpić do tych robót?”

Inżynier roześmiał się. Czyżby ten chłopak naprawdę wyobrażał sobie, że tak wielkie przedsięwzięcie mogłoby zależeć wyłącznie od głównego konstruktora? Ileż to trzeba spotkań, ile nie kończących się uzgodnień z najrozmaitszymi funkcjonariuszami państwowymi, zanim zapadnie ostateczna decyzja! Ileż łokci papiirusu zniszczą pisarze na swoje sprawozdania! A ileż to już razy Ibis-Ra zżymał się na bezdusność biurokracji panującej w kraju Kemet... Lecz walka z tą biurokracją była beznadziejnym zadaniem. Nie pomagały rozkazy władców i co pewien czas przeprowadzane redukcje nadmiernej liczby urzędników. Ta plaga dotyczyła nie tylko dworu królewskiego. Nie była wolna od niej cała administracja, nomy, a także większe majątki prywatne i świątynie. Po co zresztą szukać zbyt daleko? Na budowie Domu Miliona Lat pisarzy było niewiele mniej niż wykwalifikowanych robotników, a znacznie więcej niż inżynierów i techników.

„Czy pójdziemy brzegiem Hapi?” – zapytał Nachti.

„Nie. Chodźmy pod skarpią. Tutaj droga jest wygodniejsza, a do wody i tak mamy blisko, kanały są w pobliżu”.

Przez dłuższy czas szli szybkim krokiem, w milczeniu. Trzeba było wykorzystać poranny chłód i niższą temperaturę. Południowe

godziny będą musieli przeczekać gdzieś w cieniu.

„Dlaczego tak chciałeś iść ze mną do Inbu-Hedź?” – przerwał ciszę inżynier.

Chłopak trochę się zarumienił.

„Mam tam dziewczynę. Już dawno jej nie widziałem”.

„Rodzice już to uzgodnili między sobą?”

Chłopak zmieszał się jeszcze bardziej.

„Mój ojciec o niczym nie wie. A ona nie ma rodziców. Ale moi na pewno się nie sprzeciwią. Jest nas trzech braci. Ja pracuję na budowie, starszy brat w wojsku, najmłodszy pomaga ojcu na roli. Ziemi do uprawy dostaliśmy niewiele. Resztę dzierżawimy od pana. Ma duży majątek. Więc to i lepiej, jeśli bym nie wrócił do rodzinnej wsi”.

„A ona?”

„Ona... pracuje w kuchni na dworze Horusa, oby żył wiecznie”.

Ibis-Ra aż przystanął.

„Pracuje w kuchni na dworze?”

„Pomaga. I jest śliczna. A jaka mądra! Umie śpiewać i grać, a także tańczyć. Rysuje i maluje, zna pismo”.

„Tyś, chłopcze, chyba zwariował?”

„Dlaczego?”

„Służąca w kuchni Horusa? Przecież to co najmniej córka jakiegoś arystokraty albo i zarządcy nomu. Na kogo ty podnosisz oczy?”

„Nie – tłumaczył się Nachti – to sierota. Przygarnęła ją jakaś pani. Dzięki temu dziewczyna otrzymała wykształcenie. A kiedy dorosła, odesłano ją do pracy w kuchni”.

„To i tak dziewczyna zrobiła wielką karierę. Jej opiekunka znalazła dla niej męża wśród synów ludzi pracujących przy dworze Horusa, oby żył wiecznie, lub któregoś z oficerów gwardii przybocznej.

Wszyscy, którzy pracują w Wielkim Domu, są pod najwyższą opieką”.

„Wiem o tym, toteż postanowiliśmy, że w razie czego uciekniemy oboje”.

Ten chłopak był szalony. Porwać służącą władcy? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, że szybko by ich policja odnalazła?

„A dokąd to macie zamiar uciec i z czego będziecie żyli?”

„Do jakiegoś odległego nomu. W Górnym Kemet albo w delcie Hapi. Umiejętnie rzeźbić w drzewie i w kamieniu, nie boję się pracy. Heknu\* pisze i rysuje. Wszędzie znajdują się ludzie bogaci, którzy dobrze zapłacą rzemieślnikowi, aby mieć piękny grób. Damy sobie radę”.

Heknu – zdrobnienie staroegipskiego imienia kobiecego Heknukenet.

„A jeśli was będą szukać?”

„Kto by szukał takiej sieroty, jak moja Heknu? Jej opiekunka będzie rada, że się pozbyła kłopotu”.

Ibis-Ra wzruszył lekko ramionami. Nie ma co dyskutować z chłopakiem. Szalony albo głupi.

„Czy będziesz, panie, widział Horusa, oby żył wiecznie?” – zapytał Nachti po chwili milczenia.

„Chyba będę. Zostałem wezwany przed Najwyższe Oblicze. Ale co zastanę na dworze królewskim, trudno przewidzieć. Może władca będzie zbyt zajęty, aby mi udzielić posłuchania?”

„Gdybyś rozmawiał z Chafre, oby żył wiecznie, wtrąć dobre słowo za nami. Jedno skinienie brwi Horusa, a nasze sprawy ułożą się pomyślnie”.

Ibis-Ra nic nie odrzekł. Żal mu było chłopca. Przecież pan Górnego i Dolnego Kemet ma inne kłopoty niż troska o zamążpójście jakiejś pomocnicy kucharki. A on, Ibis-Ra, nawet nie śmiałyby mu

o tym wspomnieć.

Uszli spory kawał drogi. Upał dawał się coraz bardziej we znaki. Pragnienie także zaczęło dokuczać.

„Trzeba by się, panie, zatrzymać – zaproponował Nachti. – W pobliżu jest kanał. Nad nim rosną drzewa tamaryszku dające chłodny cień. Czas odpocząć i posilić się”.

„Musimy wstąpić do jakiegoś zarządcy dóbr Horusowych, aby nas nakarmiono”.

„Nie trzeba, panie. Mam ze sobą chleb, miód, słodkie ciasto i zapieczętowany dzban piwa. A mięso znajdzie się w pobliżu. Postaramy się o to obaj z Bahiku. Ty, panie, będziesz odpoczywał, ja zajmę się przyrządzeniem posiłku”.

Ibisowi-Ra coraz bardziej podobał się chłopak. Był sprytny, zaradny i odważny. A do tego: rozbijająco szczery. Żeby tylko nie doprowadziło go to do zguby. Dziwna ta jego dziewczyna. Niby sierota przycięta z łaski przez jakąś damę dworu, a jednocześnie tak wszechstronnie wykształcona? Że umie tańczyć i grać na flecie – nic dziwnego, tancerek i flecistek nie brakuje na dworze wielkiego Horsa, oby żył wiecznie. Ale umiejętność pisania i czytania? To poważnie zastanowiło inżyniera. Tego się przecież kobiet nie uczy. W świątyniach, które zajmują się kształceniem pisarzy, dziewcząt nie przyjmują. Ibis-Ra wprawdzie jak mógł, unikał kontaktu z dygnitarzami wiszącymi u klamki władcy krainy Kemet, mimo to nieraz musiał być na dworze i u poszczególnych nomarchów, zazwyczaj krewnych władcy, starających się we wszystkim naśladować panującego. Nigdy jednak nie słyszał o czytających i piszących dziewczętach. Chyba że pochodziły z najwyższych rodów.

Skierowali się w stronę pobliskiego kanału. Pies dotychczas kar nie szedł za nogą swego pana, ale kiedy poczuł wodę, wysforował

się naprzód. Najwidoczniej i jemu dokuczało pragnienie.

Jednak dobiegłszy trzciny obrastających brzegi kanału Bahiku nagle znieruchomiał. Z ogonem wyprężonym jak struna, jedną łapą nieco uniesioną i z nosem przy ziemi, stał niczym posąg. Kiedy Nachti zobaczył, że pies „wystawia”, szybko zrzucił swój toból, wydobyl z niego nieduży, nieco zakrzywiony kawałek twardego drzewa i pobiegł w kierunku psa.

„Bierz!” – rzucił komendę.

Pies czekał widać na te słowa. Jednym skokiem runął w trzciny. W tej samej chwili wielka dzika gęś z łopotem skrzydeł rzuciła się do ucieczki. Ale Nachti był szybszy. Celny rzut bumerangiem – i ptak runął do wody. Tym razem Bahiku nie czekał na rozkazy. Dopłynął do upolowanej zwierzyny, przytargał na brzeg wielkiego ptaka i złożył go u stóp swojego pana.

„Dobry piesek, grzeczny piesek” – pochwalił go Nachti, a pies, rad z tego uznania, sprawił obu mężczyznom solidny prysznic.

„Bóg Hapi – odezwał się chłopak – przysłał nam obiad. Dzięki mu za to”.

„Nigdy nie widziałem tak celnego rzutu” – z uznaniem rzekł inżynier.

„U nas we wsi – roześmiał się Nachti – każde dziecko umie tym władać. Mój ojciec rozbijał dzbany z odległości dwustu łokci. A tak umiał rzucić w powietrze bumerang, że ten wracał prosto do jego ręki. Kto pracuje na pańskim, ten często mięsa nie jada, chyba że sam upoluje ptaka czy złowi rybę. Mój starszy brat potrafił w ten sposób upolować gazelę na pustyni”.

W zacienionym miejscu Nachti zręcznie zrobił nieduże rusztowanie z trzciny. Pod nim umieścił słomianą matę, którą wyjął ze swojej przepastnej torby, a całość przykrył białym płótnem w czerwone paski.

„Wypoczywaj tu, panie, a ja rozpalę ognisko i upiekę zwierzynę. Kiedy się obudzisz z małej drzemki, obiad będzie gotowy”.

Inżynier z przyjemnością wyciągnął się na przygotowanym mu posłaniu. Czuł się porządnie zmęczony. Nachti narzucił ostre tempo marszu. Konstruktorowi wstyd było się przyznać, że trudno mu w tym wieku nadążyć za młodzieńcem. Leżał więc spokojnie, obserwując swojego szemsa, ale nie chciało mu się spać.

Chłopak szybko i zręcznie wypatroszył ptaka. Obciął skrzydła, łeb i szyję oraz część nóg. Te resztki rzucił psu, któremu słusznie należała się nagroda. Wielkie psisko szybko uporało się z łakomym kąskiem, napiło wody i położywszy się w cieniu, ucięło sobie drzemkę. Zaś Nachti nabierał suchych gałęzi i ułożył je w niewielki stosik. Potem wyjął z sakwy dwa kawałki drzewa. Jeden z nich w kształcie stożka – a było to specjalne, bardzo twarde drzewo ogniowe. Przywożono je do krainy Kemet z daleka. Drugi – deseczka z zagłębieniem – pochodził z palmy czy też z wierzby.

Młody siłacz włożył drzewo ogniowe w zagłębienie deski i przy pomocy kawałka rzemienia zaczął je szybko obracać. Po niedługiej chwili miękkie drzewo zaczęło dymić i żarzyć się, a gdy do tlejącej deseczki przyłożył suchą trzcinę, ta zapaliła się jasnym płomykiem.

„Nigdy – stwierdził z żalem Ibis-Ra – nie mogłem się nauczyć rozpalać ognia”.

„Bo nie wędrowałeś, panie, po pustyni, gdzie nie można pożyczyć węgla z garnka sąsiada. Ale takie rozpalanie ognia to zwykła rzecz dla myśliwych”.

„Mylisz się myśląc, że nie znam pustyni. Błąkałem się po niej umierając z głodu i pragnienia, ścigany przez napastników”.

„Kiedyż to, panie?”

„O, już dawno. Byłem wtedy w twoim wieku”.

„Czybyś pracował wtedy na budowie, czy brałeś, panie, udział w jakiejś wyprawie po kamień? A może na Turkusowych Tarasach jako górnik szukałeś szczęścia?”

„Po prostu byłem żołnierzem, jak twój brat”.

„Chyba oficerem lub dowódcą?”

„Nie. Zwykłym żołnierzem, o którym mówi piosenka: kręgi jego grzbietu są skrzywione. Pije stęchlą wodę i śpi czuwając. Gdy napotka nieprzyjaciela, jest niby ptak schwytyany w sidła. Nie ma już sił w jego ciele... Odzież zabrali mu złodzieje, a jego służący uciekł...”

Nachti słuchając tego zaczął się śmiać.

„Tę pieśń na pewno ułożyli pisarze. Im chodzi o to, żeby być najważniejszymi ludźmi w całym państwie. Albo kapłani. Przecież mam brata w wojsku i wiem, że nie jest mu źle. Kiedy nie ma wojny, służba nie jest taka ciężka. Na pewno nie cięższa niż praca w kamieniołomie czy na budowie albo na pańskiej roli. Dlaczego, panie, byłeś żołnierzem? Czy cię ukarano?”

„Jestem synem takiego samego chłopca, jak twój ojciec. Tylko że z nomu Żerdź Horusa. Tam gdzie jest miasto Dzeba<sup>\*</sup>. Było nas w rodzinie siedmioro. Zamiast klepać biedę na wsi i brać kije od dozorczy majątków pańskich, wolałem zaciągnąć się do służby wojskowej. Nasz oddział stał daleko w pustyni. W Wielkiej Oazie. Tam pilnowaliśmy, aby żadne ludy pustynne nie dokonywały napadów na krainę Kemet i nie uprowadzały bydła ani ludzi. Dowódcą mojego oddziału był syn Chufu, nasz dzisiejszy Horus, oby żył wiecznie, którego ojciec skierował do oazy, żeby poznał trudy żołnierskiego życia i nauczył się sztuki wojennej, bo tam stale trzeba było mieć broń w pogotowiu”.

Dzeba – dziś Edfu.

Słuchając opowiadania inżyniera Nachti rozrobił wodą trochę gliny i oblepił nią pióra gęsi, tak że powstała wielka gliniana bryła, nieco przypominająca piłkę. Następnie umieścił ją w popiele ogniska, które objęło już cały stos nagromadzonego uprzednio drzewa.

„Pewnego razu – wspominał dalej Ibis-Ra – dostaliśmy rozkaz, żeby wykonać daleki zwiad na pustynię. Załadowano wodę i żywność na osły i wyruszyliśmy w drogę. Wtedy wokoło oazy panował wyjątkowy spokój i wyruszyło nas tylko pół setki. Dowodził nami Chafre, oby żył wiecznie. Po dwóch dniach marszu, podczas którego nie zauważyliśmy nic podejrzanego, nasz oddział zagłębił się w długie, wąskie parów przecinający pustynię. Liczyliśmy, że w tej rozpadlinie uda nam się znaleźć jakieś źródło wody albo wykopać studnię. I wtedy nagle z obu stron pokazały się wojska nieprzyjaciela. Właśnie tam zorganizowano na nas pułapkę”.

„Chafre, oby żył wiecznie, pierwszy rzucił się na wroga i poraził go swoimi strzałami. Opowiadał nam o tym stary kapłan w świątyni boga Re”.

„Pierwszy się rzucił, ale do ucieczki – roześmiał się inżynier – i miał rację. Nie było żadnych szans przebicia się przez wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela. Jak kozica nasz Horus, oby żył wiecznie, wspinał się na strome skały. A ja za nim. Za naszym przykładem poszło jeszcze kilku żołnierzy. Nieprzyjaciel strzelał do nas z łuków, ale odległość była zbyt wielka i udało nam się ujsć. Mielśmy szczęście, bo na drugi dzień natknęliśmy się na zabłąkanego w pustyni osła, który w jukach miał wodę i żywność. To nas ocaliło”.

„Re nie dał zginąć swojemu synowi”.

„Na pewno – poważnie zgodził się Ibis-Ra. – Bogowie czuwali nad nami. Przez osiem dni błąkaliśmy się po pustyni. Zabrakło nam



wody, zjedliśmy nawet osła i wtedy znowu natknęliśmy się na grupkę nieprzyjaciół. Tym razem nie mieliśmy wyboru. Pozostała nam walka. Na szczęście przeciwników było nie więcej niż dziesięciu. Kilku zabiliśmy, reszta uciekła, ale i dwóch naszych zginęło. Dwaj byli ranni. Tylko Chafre, oby żył wiecznie, i ja wyszliśmy bez szwanku. Ja dlatego, że w czasie potyczki Chafre, oby żył wiecznie, w pewnej chwili osłonił mnie swoją tarczą. Przy zabitych znaleźliśmy dwa skórzane wory z wodą i trochę żywności. To nam ocaliło życie...”

„I co było dalej, panie?”

„Nazajutrz odnaleźliśmy drogę i wróciliśmy do oazy. Później mówiono, że ktoś umyślnie wysłał następcę tronu z tak małym oddziałem wojska, aby ułatwić Uzurpatorowi zdobycie korony. Chufu był bardzo stary i schorowany. Na palcach liczono jego dni na tym padole. Ale żył jeszcze dwa lata i dopiero wtedy odpłynął na Zachód”.

„A nasz Horus po wstąpieniu na tron wynagrodził cię, dostojny panie?”

„Po śmierci Chufu na tron wstąpił Uzurpator. Znaleźli się wprawdzie tacy, którzy dla przypochlebiania się władcy nazywali go Horusem Redzedef, ale dla uczciwych mieszkańców krainy Kemet był on złodziejem tronu. Ten tron już wtedy należał się naszemu panu, oby żył wiecznie w zdrowiu i w szczęściu”.

„Mało znam dzieje naszego kraju – przyznał ze smutkiem Nachti. – Gdy byłem dzieckiem, ojciec posyłał mnie do świątyni, ale tam nigdy nie mówiono o Uzurpatorze. Kapłan-nauczyciel opowiadał o Horusie Skorpionie, wielkim Narmerze, który pierwszy włożył na skronie podwójną koronę obu krain Kemet. Mówił także o Dżeserze

i jego Domu Miliona Lat, zbudowanym jak schody. Po nich wstąpił do nieba. Słyszałem też o najpotężniejszym ze wszystkich władców, Horusie Chufu”.

„To i tak – uśmiechnął się inżynier – bardzo dużo was nauczyli. Ja nie wiedziałem nawet i połowy tego. A co do Uzurpatora... Otóż Horus Chufu miał czterech synów. Ale najstarszy nie był zrodzony z królowej, lecz z libijskiej tancerki, którą przysłał władca Libii. Gdy ten syn, a nazywano go Radzedef, ujrzał światło dzienne, władca Libii prosił naszego pana, aby mu odesłał tancerkę z synem, bo on nie ma dzieci i nie ma komu zostawić tronu. Chufu zgodził się na to. Powiadają zresztą, że ta tancerka była córką króla Libii. Z trzech pozostałych synów Chufu, Chafre, oby żył wiecznie, powinien objąć tron po ojcu. Drugi z synów został synem królewskim z Kusz. Zaś trzeci umarł przed paru laty jako najwyższy kapłan boga Ptaha”.

„Tak, o tym słyszałem. Ale ty, dostojny panie, tyle ciekawych rzeczy opowiadasz! Jeśli cię to nie męczy, panie, mów jeszcze!” – prosił Nachti niemal błagalnym tonem.

„Kiedy Horus Chufu odpłynął na Zachód – ciągnął dalej inżynier – Chafre, oby żył wiecznie, przebywał właśnie w kraju Kusz u młodszego brata. Tymczasem Redzedef szybko wraz z wojskiem libijskim wkroczył do delty, opanował ją i zajął stolicę. Wszyscy byli tak zdezorientowani, że nikt nawet nie stawiał sprzeciwu Uzurpatorowi, który bez przeszkód włożył pszent na swoją głowę”.

„A Chafre, oby żył wiecznie, i jego brat? Przecież w kraju Kusz stoi silny garnizon wojska”.

„Chafre, oby żył wiecznie, nienawidził wojny, nie chciał też, aby ludzie krainy Kemet walczyli brat z bratem. Dlatego uznał władzę Uzurpatora i zadowolił się stanowiskiem wielkorządcy nomów Górnego Kemet. Tymczasem Redzedef w swojej pysze postanowił

zbudować Dom Miliona Lat jeszcze większy niż ojca. Zaczął go wznosić na północ od naszych budowli. Ale kiedy pojechał tam, aby skontrolować stan robót, ukąsiła go żmija. Zmarł w ósmym roku po przywłaszczeniu sobie tronu. Bogowie go ukarali”.

„To na pewno nie była żmija, lecz bogini Wadżet, która w czasach bogów władała krainą Dolnego Kemet. Widziałem w świątyni posąg tej bogini-węża”.

„Być może”.

„A gdzie pochowano Uzurpatora? Czy w tym nie dokończonym Domu Miliona Lat?”

„Nie, wojska libijskie, którymi się stale otaczał, bo naszym nie dowierzał, zabrały mumię ze sobą. Podobno ukryto ją gdzieś wśród piasków pustyni Libii. Syn Uzurpatora jest dzisiaj władcą tego państwa i składa daninę naszemu Horusowi, oby żył wiecznie”.

Inżynier zamilkł. Nachti nie śmiał zadawać więcej pytań. Zresztą uznał, że gęś jest już gotowa. Przy pomocy kija wyciągnął z ognia glinianą kulę, rozbił ją. Gлина odpadła wraz z przylepionymi do niej piórami. Położył upieczonęgo ptaka na misie i podał inżynierowi wraz z płaskim pszennym chlebem.

„Trzeba się teraz pożywić, dostojny panie”.

Ibis-Ra nożem wyjętym zza pasa podzielił ptaka na dwie części i jedną z nich podsunął chłopcu. Zapach pieczonej gęsi obudził Bahiku. Machaniem ogona pies usiłował przekonać ludzi, że i jemu należy się porcja, do której zdobycia tak walnie się przyczynił.

„Doskonała gęś. Godna stołu naszego Pana, oby żył wiecznie. Czegoś tak smacznego dawno nie jadłem” – pochwalił Ibis-Ra rzucając kości psu.

„Napij się teraz, panie, piwa i jeszcze odpocznij. Droga była ciężka. Wystarczy, jeśli za dwie godziny wyruszymy, przed zmrokiem dotrzemy do stolicy. Tuż pod miastem mieszka mój wuj. Gdybyś

zechciał tam przenocować, rankiem mógłbyś, panie, wypoczęty stać się w Wielkim Domu”.

„Myślałem, że wieczorem będziemy w stolicy”.

„Możemy być, dostojny panie, ale wieczór nie przynosi dobrej rady. Urzędy są nieczynne, a Horus, oby żył wiecznie, także odpoczywa”.

„Masz rację. Lepiej przenocować gdzieś pod miastem. Jeżeli zdołam dotrzeć przed Najwyższe Oblicze, wolałbym, aby Chafre, oby żył wiecznie, był w dobrym humorze. Mam ważne sprawy, którymi chciałbym go zainteresować”.

„A więc śpij teraz spokojnie, panie”.

„A ty?”

„Ja także się zdrzemnę. Bahiku będzie czuwał nad naszym bezpieczeństwem, chociaż teraz przecież w całej krainie Kemet panuje spokój”.

„Nie o to mi chodziło. Biedny nie boi się rozboju”.

„Ja jestem biedny, ale ty, panie...? Główny inżynier budowy Domu Miliona Lat, towarzysz królewski? Ze złota i srebra, które posiadasz, panie, mógłbyś chyba odlać swój posąg...”

Ibis-Ra roześmiał się. Nieraz już słyszał podobne słowa. Wszyscy podejrzewali go o wielkie skarby.

„Nie mam nic. Jem taką samą strawę, co wy wszyscy. Ta szata, fartuszek i naszyjnik to całe moje dobro. Jestem samotny. Nie zależy mi na majątku. Rodzicom zbudowałem grób, każdy z braci dostał ziemię, nie pragnę niczego więcej, byle do końca życia służyć memu Horusowi, oby żył wiecznie”.

„A twój grób, panie? Gdzie się znajduje?”

„Nigdzie”.

„Jak to?” – wykrzyknął zdumiony Nachti. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że może być w Kemet ktoś, kto mimo stanowiska i znaczenia nie zadbał o swoje przyszłe życie.

Ibis-Ra machnął ręką:

„Jeśli będzie się podobało Horusowi, oby żył wiecznie, żebym i w Zachodniej Krainie mu służył, to może pozwoli, aby moje zwłoki spoczęły w jakiejś dziurze koło Domu Miliona Lat. A jeśli nie... jestem zwykłym chłopem, niech mnie pochowają jak chłopą. W piasku na pustyni, owiniętego w kawałek lnianego płótna”.

To mówiąc Ibis-Ra ułożył się do snu i po chwili zasnął. Zmęczyły go marsz, długa rozmowa i niepokój, jaki odczuwał każdy mieszkaniec Kemet, kiedy miał stanąć przed Najwyższym Obliczem.

Po dwóch godzinach Nachti, całkowicie spakowany, obudził go.

„Czas w dalszą drogę, dostojny panie”.

Kiedy ruszyli, chłopak nie narzucał już tak szybkiego marszu. Zorientował się, że inżynierowi trudno za nim podążać. Posuwali się więc stosunkowo wolnym krokiem, wygodną ścieżką na skraju skarpy. Nie było tu żadnych zabudowań, pól uprawnych, które trzeba omijać, ani rowów z wodą trudnych do przebycia.

Nachti siedł przez jakiś czas zamyślony, aż wreszcie powiedział nieco ściszonej tonem:

„Wszelkie opowiadania o ziemi śmierci uważałem dotychczas za zwykłe bajki. Gdybym wczoraj nie pomagał wam, nigdy bym w to nie uwierzył...”

Ibis-Ra zdumiał się. Tajemnica państwowa największej wagi, tajemnica znana jedynie nielicznej garstce, według tego chłopca jest tematem wiejskich opowieści i bajek ludowych?!

„A skądże ty słyszał o ziemi śmierci?” – zapytał na pozór spokojnie.

„Kto nie zna tej legendy? Mnie o niej opowiadał starszy brat, kiedy przed dwoma laty przyjechał z wojska na urlop. Służy w kraju

Kusz i brał udział w dalekiej wyprawie do kraju Punt po złoto i kość słoniową. W kraju Punt\* wszyscy znają historię ziemi śmierci, chociaż nikt nie umiał powiedzieć, jak do niej dotrzeć. Wiedzieli tylko, że trzeba iść jeszcze daleko, daleko na południe. Aż się spotka górę płasko ściętą i mającą na szczycie okrągłe zagłębienie. Z tej góry leci dym, a w środku jest ziemia śmierci. Każdy, kto trochę dłużej potrzyma choćby garstkę tej ziemi w ręku lub tylko będzie przebywał w jej pobliżu, musi umrzeć”.

Kraj Punt – dzisiejsze Somali, kraj Kusz – dzisiejszy Sudan.

„I twój brat dotarł do tej góry?”

„Nie, ale opowiadał, że kiedy złożyli synowi królewskiemu z kraju Kusz raport o swojej podróży, on postanowił wysłać na następny rok nową wyprawę, ale nie do Punt, lecz dalej, na poszukiwanie ziemi śmierci. Brat opowiadał, że będzie się starał, aby i jego na tę wyprawę zabrano. Nie wiem, czy to się mu udało, bo już dawno nie było żadnej wiadomości od niego”.

„Czy wśród naszych robotników słyszał ktoś o ziemi śmierci?”

„Chyba wszyscy. Przed miesiącem przybył do nas stary opowiadacz bajek. Za trochę żywności opowiadał o kraju Punt, o najrozmaitszych dziwnych potworach, które żyją na ziemi i w morzu. Jedna z tych bajek mówiła, jak pewien potężny król wysłał ekspedycję po ziemię śmierci. Nikt żywy nie wrócił z tej wyprawy. Wysłał drugi oddział żołnierzy. Ci także zginęli. Wtedy król ogłosił wielką nagrodę dla tego, który przyniesie mu kosz ziemi. Zgłosił się pewien biedny pastuch bydła. Wszyscy się z niego śmieli, ale król pozwolił mu iść. Pastuch zrobił sobie odzież z kilku skór krowich razem zeszytych, a pomiędzy nie włożył grube miedziane blachy. Kiedy się w

nią ubrał, patrzył na świat przez wąziutkie szparki na wysokości oczu. Od ciężaru ledwie mógł się poruszać. Kosz zrobił z grubej warstwy wypalanej gliny także wyłożonej blachą. Do ręki miał przymocowaną łyżkę długą na parę łokci, z miedzianym wgłębieniem. Tak uzbrojony poszedł tam, gdzie znajduje się ziemia śmierci. Łyżką nabierał ziemię, aż się kosz wypełnił. Wtedy zamknął go nie dotykając ręką i odciągnął przy pomocy liny. Później kosz owinał skórą i na ośle przywiózł do pałacu królewskiego. Przy pomocy tej ziemi król pokonał swoich wrogów, a pastucha zrobił Pierwszym Dostojnikiem w państwie i dał mu za żonę swoją córkę”.

„Bardzo ładna bajka” – pochwalił Ibis-Ra, którego usłyszana historia nie tylko zdumiała, ale i rozbawiła.

Oto państwo organizuje w najściślejszej tajemnicy daleką, niebezpieczną wyprawę. Przywozi z niej ładunek. Jego zawartość znana jest niewielu osobom najbardziej godnym zaufania. A jednocześnie więcej bjarze opowiadają całą tę historię, z drobnymi zaledwie zmianami, wprowadzonymi jedynie po to, aby wzbudzała większe zainteresowanie u słuchaczy.

„Jak myślisz, dlaczego dostarczono na budowę ziemię śmierci?” – zapytał chłopca.

„Dlatego, żeby Horus, oby żył wiecznie, kiedy już odejdzie do Zachodniej Krainy, mógł tam zniszczyć swoich wrogów, a także i tych, którzy chcieliby zakłócić jego spokój w Domu Miliona Lat”.

„Może masz i rację – zauważył inżynier – ale o takich rzeczach najlepiej z nikim nie rozmawiać”.

„Długi język, żywot krótki” – Nachti zacytował stare przysłowie.

„Na pewno masz rację”.

„Będę milczał, panie. Nie powiem ani słówka nikomu, nawet Heknu”.

„Po skończonym sezonie chcesz wracać do domu?” – Ibis-Ra zmienił temat.

„Nie, dostojny panie. Jeżeli pozwolą zostać, zostanę. Podobno zacznie się już praca przy przygotowywaniu płyt na okładziny domu. Sądzę, że dałbym sobie i z tym radę”.

„To niełatwa robota. Granit to nie miękki wapień”.

„Ja się roboty nie boję”.

„To dobrze. Będziesz mógł zostać. A gdyby ci robili jakieś trudności, zgłoś się do mnie”.

„Dziękuję, panie”.

Zbliżali się do stolicy. Z daleka widać było pylony świątyni i wysokie mury, za którymi wznosił się Wielki Dom.

„Tam mieszka Horus, oby żył wiecznie – Nachti pokazał mu pałac. – Heknu pozwoliła mi kiedyś ukradkiem spojrzeć na te wspaniałości. Jest tam ogromna sala z wielkimi słupami po bokach. Na podłodze widać staw, a w nim pływające ryby. Tak wszystko wymalowane, że aż dotknąłem ręką, aby sprawdzić, czy to nie prawdziwa woda. Zaś na suficie są gwiazdy błyszczące złotem. Ściany z różnokolorowego drzewa. Nawet w Zachodniej Krainie nie może być piękniej. Heknu mówiła, że to, co zobaczyłem, jest jeszcze niczym w porównaniu z innymi komnatami, gdzie mieszka Horus, oby żył wiecznie. A wszędzie słychać słodką muzykę i śpiew. Jakie to musi być szczęście móc stale mieszkać w Wielkim Domu”.

Inżynier uśmiechnął się gorzko. On wiedział, jak to szczęście wygląda z bliska. Jak niepewna jest łaska możnych tego świata. Ale nie odezwał się ani słowem. Nie widział celu rozwiewania marzeń tego naiwnego, ale dobrego chłopaka.



Nie wchodząc do miasta Nachti skręcił w lewo. Zbliżyli się w ten sposób do niezbyt dużego kanału i szli drogą biegnącą jego brzegiem. Po niedługim czasie znaleźli się w małej wiosce. Tutaj chłopiec skierował się w stronę dużego i bardziej od innych zamożnego domu. Objął z dumą:

„Wuj jest we wsi wójtem. Nawet zarządca majątku królewskiego bardzo go poważa i nieraz zasięga jego rady. Racz wejść, dostojny panie”.

Gospodarz z radością powitał siostrzeńca i jego zwierznika. Nakarmił i napoił, a potem przygotował dla obydwu wygodny nocleg. Nachti szybko usnął, przez sen uśmiechał się. Pewno śnił o swojej dziewczynie i cieszył się, że ją nazajutrz zobaczy... Ibis-Ra natomiast długo dręczył się czekającym go jutro spotkaniem na dworze. Wprawdzie Horus, oby żył wiecznie, dotychczas był mu przychylny. Ale inżynier wiedział, że ma także wielu wpływowych wrogów. Ludzi zazdroszczących mu kariery i zawistnych, że syn prostego chłopca doszedł do takich wielkich godności pierwszego budowniczego. Ostatnio Ibis-Ra dokonał dużych zmian w pierwotnych projektach budowy Domu Miliona Lat. Nie pytał nikogo i z nikim nie uzgadniał swoich decyzji. Czy to się spodoba Najwyższej Osobie? Od łaski i deszczu nagród do kompletnego upadku czy nawet śmierci w jednej z cel pod murami pałacu dzielił nieraz jeden mały krok.

Inżynier był starym człowiekiem i czuł, że życie ma już za sobą. Nie szukał nigdy bogactwa, ale pragnął jednego: aby mu pozwolono doprowadzić rozpoczęte dzieło do końca. Wierzył, że budowla przetrwa tak długo, jak długo Hapi płynie przez krainę Kemet. A o tym dziele będzie się zawsze mówiło „to zbudował Ibis-Ra, największy inżynier za panowania Chafre”. Ale czy zdoła dokończyć pracy? Czy rozkaz Horusa, oby żył wiecznie, nie wyniesie na miejsce dotychczasowego głównego inżyniera jednego z tych ustosunkowanych

paniczków, a ten później zbierze owoce i całą sławę z cudzej roboty? Tego obawiał się chłopski syn, którego kołyska stała daleko stąd, w nomie Żerdź Horusa. Dlatego godziny mijały mu teraz bezsennie.

## JEDEN DZIEŃ HORUSA

Kiedy tego ranka Chafre obudził się, w przyległej sali jak zwykle czekała już służba i dworzanie. Cyrulik ogolił władcę, zaś manikiurzysta i pedikiurzysta zaopiekowali się jego rękoma i nogami. Do kąpieli dodano pachnących olejków. Następnie dworzanie, którym ten zaszczyt powierzono, ubrali swego pana w przepaskę na biodra, utkaną z najcieńszego lnu. Przytrzymał ją szeroki pas z metalową, pięknie rzeźbioną klamrą. Na to założono fartuszek obramowany złotą wstęgą, wyszywany perłami. Na głowę włożono Horusowi perukę. Niewielką, bo w tym dniu władca nie przyjmował żadnych dostojnych gości. Na perukę narzucono nemes – przepaskę związaną z tyłu i opadającą na kark. Wił się na niej złoty ureusz, a jego wzdęta gardziel wznosiła się pośrodku czoła.

Dygnitarz opiekujący się biżuterią przyniósł władcy bogate naszyjniki, ale pan krainy Kemet wybrał spośród nich najmniejszy i najskromniejszy, składający się z trzech sznurów turkusów ujętych zamkiem w kształcie sokoła. Nie chciał też włożyć na ręce i na nogi wysadzanych szlachetnymi kamieniami bransolet.

Jeden z dworzan przykląkł, aby obuć najdostojniejsze nogi w sandały, lecz władca nie zgodził się. Wolał chodzić boso. Dworzanie postawił więc sandały przy wygodnym, złożonym fotelu.

Inny z dworaków tylko czekał na tę chwilę. Przyniósł niewielki stolczyk i ustawił go przed władcą. Teraz przedefilowała przed nim cała procesja. Jedni przynieśli złote nakrycia, inni półmiski z jadem. Jednakże Horus zadowolił się plackiem pszennym z miodem i owocami, które popił kubkiem piwa. Reszta potraw z mięsa i ryb, zimnych i gorących, wróciła nie tknięta do kuchni, gdzie już czekali na nie ci dworacy, którzy dostąpili przywileju „jedzenia chleba Horusowego”.

Po śniadaniu Chafre przeszedł do sąsiedniej sali. Jej podłoga wyłożona była kolorowymi płytami z kamieni. Na drewnianych ścianach biegli rzemieślnicy wymalowali w żywych kolorach sceny ukazujące, jak pracuje lud i jak czci władcę kraju. Z sufitu bóg Re błogosławił swojego syna stojącego przed nim w koronie Górnego i Dolnego Kemet. Pod ścianami, na małych stolikach, umieszczono alabastrowe wazy z różnymi pachnidłami, oliwą do namaszczenia ciała lub naparem z ziół oraz dzbany pełne wina i piwa. A na płaskich paterach piętrzyły się stosy owoców sykomory, daktyli, fig, winogron, a nawet rzadko spotykanych orzechów kokosowych.

Kiedy władca zasiadł na okazałym tronie, którego nogi wyrzeźbione były w kształcie lwich łap, rozległy się delikatne dźwięki sistrum, harf i kastanietów. Dworak znowu postawił sandały przy stopach władcy. Skarbnik przysunął jeden ze stolików i położył na nim dwie korony: czerwoną – Górnego Kemet, białą – Dolnego.

Władca skinął ręką. Dworzanie padli na twarz i ucałowali ziemię, po czym odeszli.

Przez szeroko otwarte podwoje wiodące na taras Horus popatrzył na wielki, cienisty ogród. Westchnął. Jakżeby chciał znaleźć się teraz wśród drzew akacji i tamaryszku, cieszyć się widokiem białych i

niebieskich lotosów, rozkoszować porannym chłodem... Wiedział jednak, że w przyległych komnatach czeka na niego cała armia urzędników. Klasnął w dłonie. Natychmiast zjawił się bogato ubrany człowiek. Był bardzo niski, miał najwyżej dwa łokcie wzrostu, ale zbudowany proporcjonalnie, choć może szpeciła go trochę za duża głowa. Zbliżył się do tronu, padł na twarz i ucałował ziemię przed swoim władcą.

„Wstawaj, Seneb – zachnął się Chafre. – Tyle razy mówiłem ci, żebyś nie urządzał tych przedstawień, kiedy jesteśmy sami”.

Karzeł, ulubieniec Horusa, pełnił obowiązki jego osobistego sekretarza i był jedną z najbardziej wpływowych osób w państwie. Legendy krążyły o jego bogactwie i o wspianym grobowcu, który sobie wybudował w pobliżu Domu Miliona Lat.

„Co mamy na dzisiaj?”

„Nic specjalnego, Horusie, obyś żył wiecznie. Czekaj lekarz. Za nim Pierwszy Dostojnik z raportem o stanie państwa. Przybył także wysłannik syna królewskiego z kraju Kusz”.

„A Ibis-Ra?”

„Ibis-Ra wyruszył wczoraj do stolicy. Tę noc spędził u jakiegoś chłopca pod murami miasta. Będzie tu niedługo”.

„Czy u mnie już zabrakło pokojów, gdzie mogliby spocząć moi towarzysze?”

„Dostojny Ibis-Ra powiedział, że u dworu i tak pęta się zbyt dużo próżniaków i darmozjadów, a on nie chce być jednym z nich”.

„Oj, to prawda – przytaknął władca. – Czy wiesz, Seneb, ile moja kuchnia zużywa produktów żywnościowych?”

„Nie interesowałem się tym, najdostojniejszy, ale jeśli każesz, mogę sprawdzić”.

„Nie trzeba. Przed dwoma dniami zawołałem kucharza. Wyjaśnił

mi, że codziennie bije się dziesięć wołów. Ponad trzydzieści baranów i kóz. Kaczek, gęsi i różnego innego ptactwa nawet nie zliczyć. Trzy wielkie wozy pełne ryb codziennie wjeżdżają przez bramę pałacu. A piekarze pieką chleby i słodkie ciasta dzień i noc bez przerwy. Wiesz dobrze, że mięsa prawie nie jadam. Wystarczy mi trochę owoców, mleko, ser, chleb. Czasami jakaś ryba. Miał rację Ibis-Ra mówiąc o darmożjadach otaczających mnie jak robactwo”.

„Ibis-Ra to bardzo mądry człowiek i bardzo oddany naszemu panu” – Seneb zręcznie zmienił front. Wprawdzie Pierwszy Dostojnik prosił karła, żeby ten odzywał się o naczelnym inżynierze jak najgorzej, ale niech sobie książkę Seti sam pije piwo, które usiłuje warzyć. On, Seneb, nie będzie się mieszał w tę rozgrywkę personalną.

„Kto jeszcze czeka?”

„Przełożony policji. Czeka też kapłan, aby pomóc ci, Najdostojniejszy, przy złożeniu ofiar. Jest także przełożony Domu Oręża”.

„Wystarczy na dziś. Pozostałych odpraw. Niech przyjdą jutro. Chyba że jest jeszcze ktoś ze skargą. Ale na pewno takich nie ma, bo ich nie dopuścili do pałacu... Jak się trochę lepiej poczuję, za parę dni rozkażę, aby mnie obnieśli w lektyce po ulicach miasta. Wtedy każdy będzie mógł podejść i złożyć skargę swojemu panu”.

„Słusznie uczynisz, Horusie, obyś żył wiecznie”.

„Kiedy przyjdzie Ibis-Ra, niech go natychmiast wprowadzą do mnie. A teraz dawaj lekarza”.

Stary, siwy człowiek w białej szacie złożył niski ukłon. Nie padł jednak na twarz i nie całował ziemi. Od dawna łaska Horusa zwolniła go od tych obowiązków. Podszedł do władcy i ujął go za rękę.

„Jak się czujesz i jak spałeś, Horusie, obyś żył wiecznie?”

„Długo nie mogłem zasnąć. Słaby jestem. Po obudzeniu kręciło mi się w głowie i myślałem, że upadnę. Czuję także ucisk w skroniach”.

„Zaraz podam kubek gorzkiego płynu i ból przejdzie. Jesteś, Horusie, obyś żył wiecznie, osłabiony, należy więc jeść. I więcej przebywać na powietrzu. Codziennie przed wieczorem konieczny spacer po ogrodzie. Dobrze byłoby też wyjechać za miasto nad rzekę albo zapolować na wodne ptactwo”.

„Zbyt jestem słaby, aby myśleć o polowaniu. Już mi chyba czas wyruszyć w daleką drogę”.

„Nie trzeba nawet myśleć o tym, panie. To przejściowe osłabienie. Ale będę ci, panie, codziennie przyrządzał surową siekaną wątrobę cielęcą z czosnkiem i cebulą, a na pewno minie”.

Władca skrzywił się.

„Będzie dobre – skwapliwie zapewnił lekarz. – Dodam szczyptę ziół zaostrzających apetyt. Ale musisz jeść, panie”.

„Dobrze, już dobrze”.

„A najskuteczniejszym lekiem byłaby – starzec zawahał się chwilę – krew małych dzieci”.

Horus spojrział na niego niemal rozbawiony.

„Nie jestem krokodylem, bym zjadał własne dzieci. Wolałbym już... krew starych lekarzy”.

„Zrobisz, jak zechcesz, panie. Ale teraz proszę to wypić” – lekarz nalał do kubka wody, z alabastrowego naczynka odliczył kilkanaście kropel leku i dosypał sproszkowanego owocu palmy dum.

Chafre wypił.

„Doskonale! – pochwalił lekarz. – Wkrótce poczujesz się lepiej, Horusie, obyś żył wiecznie. A w południe przyniosę wątrobę”.

„Dziękuję ci, zawołaj teraz Pierwszego Dostojnika”.

Wszedł dworak, którego strój mienił się od drogich kamieni wszystkimi kolorami tęczy. Nawet jego sandały obszyte były wielkimi ametystami. Gdy Pierwszy Dostojnik padł na kolana, Horus łaskawie podał mu stopę do ucałowania.

„Mów!”

„Doniesiono Synowi Ra, który sam jest bogiem Horusem – Pierwszy Dostojnik zaczął swój raport tradycyjną formułką – wczoraj w Inbu-Hedz odbyło się dziewięć pogrzebów, zgłoszono czternaście urodzeń dzieci, w tym ośmiu chłopców i sześć dziewcząt. Przez bramy miasta wyszło dwa tysiące osiemset pięćdziesięciu trzech ludzi. Weszło zaś dwa tysiące...”

Horus przerwał mu ze zniecierpliwieniem:

„Mów o sprawach najważniejszych. Nie czuję się dzisiaj dobrze”.

„Do magazynów państwowych wpłynęło w ostatniej dekadzie milion czterysta tysięcy hekat zboża, mniej o przeszło dwieście tysięcy hekat. Podatki stale się zmniejszają. To zrozumiałe, bo żniwa i młockę zakończono przed dwoma miesiącami”.

„A zaległości?”

„Ściągamy je, to jednak idzie opornie, chłopci nie chcą płacić. Mówią, że nie mają z czego”.

„Zbiory rzeczywiście były słabe – stwierdził Chafre – w ubiegłym roku Hapi nie był dla nas łaskawy”.

„Za to w tym bóg wysłuchał naszych prośb. Tak wysokiego wylewu od dawna nie pamiętano. Mamy meldunki z Waset<sup>\*</sup>, że tam wody jeszcze ciągle przybywa”.

Waset – staroegipska nazwa miasta Teb.

„Ludzie mogą naprawdę nie mieć z czego płacić. Poleć, żeby pisarze dokładnie sprawdzali. Kto ma w spichlerzu tylko tyle zboża, że starczy mu jedynie na życie do przyszłych zbiorów, niech mu je zostawią. W przyszłym roku zbiory będą lepsze, to i my ściągniemy więcej”.



„Boję się, Najdostojniejszy, że nie wystarczy nam na wydatki państwowe”.

„W razie czego ograniczymy wydatki dla dworu”.

„To kropla w morzu naszych potrzeb. Najwięcej pochłania armia i wielka budowa”.

„Na granicach panuje spokój, bo kraina Kemet jest potężna i wrogowie drżą przed nią”.

„Masz rację, Horusie, obyś żył wiecznie, ale na wielkiej budowie źle się dzieje”.

„Dlaczego?”

„Praca idzie powoli. Kierownictwo jest nieudolne, a za to bardzo rozrzutne. Za twojego wielkiego ojca robotnik pracujący przy budowie Domu Miliona Lat dostawał połowę tego zboża, które mu dzisiaj każe wydawać Ibis-Ra. Jedną szatę dawano mu raz na rok. Ibis-Ra rozdaje szaty wszystkim, a kamieniarzom i murarzom po dwie lub trzy w ciągu roku”.

„Toteż lud krainy Kemet do dziś dnia straszy małe dzieci imieniem Chufu. A i wtedy skarb państwa świecił pustkami. Jak to się działo, wytłumacz mi?”

„Wtedy ziemi uprawnej było dużo mniej. Nowe kanały zwiększyły zbiory. Gdyby Chufu miał te dochody co ty, panie, byłby bardzo bogaty”.

„A mnie nie wystarczy nawet do przyszłych żniw, prawda?”

„Obawiam się, że nie starczy”.

„Ale mój lud mnie nie przeklina, jak przeklinał mego ojca”.

„Któż by, panie, zwracał na to uwagę. Słusznie pisał wielki Dzeser: miałem lud pod nogami”.

„Ja nie chcę być wielkim Dzeserem”.

„Nie wiem, czym będziemy ludziom płacić za kilka miesięcy...”

„Nie powiedziałeś mi, jak wpływają podatki z majątków arystokracji i świątyń”.

„Świątynie przecież w ogóle nic nie płacą. Zaś majątki arystokracji są najczęściej od wieków zwolnione ze wszelakich danin. Oni za to służą na dworze swojego pana i na wojnie stoją obok niego”.

„Są wyższymi dowódcami i jak mogą, tak się kryją po magazynach intendentury – władca z goryczą pokiwał głową. – Pamiętam ich zachowanie, kiedy jeszcze byłem następcą tronu lub gdy rządziłem górnymi nomami. Rzadko widziałem ich w pierwszym szeregu na froncie. Więc co mi radzisz, jak wybrnąć z sytuacji?”

„Jedyna rzecz to natychmiast usunąć Ibis-Ra. Mianuj na jego miejsce Kemheseta. Jest młody, zdolny. On zaprowadzi porządek na budowie. Przyspieszy ją i zaoszczędzi wydatków. To nam pozwoli przetrwać do nowych zbiorów”.

„Kto to Kemheset? Nie przypominam go sobie”.

„Znasz go dobrze, panie. To syn księcia Herdzedefa”.

„Tej starej, zarozumiałej purchawki? A co dotychczas zbudował Kemheset?”

„Pięknie odnowił świątynię Ipet”.

„To doprawdy niewiele”.

„Ale to bardzo zdolny młody budowniczy, należy mu dać szansę, wykaże się”.

Chafre milczał zamyślony.

„Masz rację – powiedział po chwili – damy mu tę szansę”.

Księżę Seti rozpromienił się z radości. Nareszcie dopiął swego. Jednym pociągnięciem usunął znenawidzonego przez arystokrację Ibis-Ra i jednocześnie poparł swego krewnego.

„Mam polecić głównemu pisarzowi, aby wystosował nominację i przystawił najwyższą pieczęć?”

„Proszę cię o to. Niech główny pisarz napisze, że mianuję Kemheseta naczelnym budowniczym drogi w góry Bechen. Niech tam ułoży wygodny trakt, aby każdego dnia marszu konwoje trafiały do studni i miały zabezpieczony spokojny nocleg. Niech tam wybuduje odpowiednie magazyny na żywność i koszary dla wojsk zabezpieczających ten trakt. Nominację Kemheseta w drodze specjalnej łaski podpiszę własną ręką. Jutro budowniczy wyruszy na swoją placówkę. Ludzi do budowy i wojska dostarczy mu syn królewski z kraju Kusz. Tu przebywa wysłannik gubernatora. Przyjmę go jeszcze dzisiaj i wydam odpowiednie rozkazy”.

„Będzie, jak rozkazałeś, panie” – książę Seti skłonił się nisko, kryjąc zawód i gniew. Nie takiej nominacji spodziewał się dla krewniaka. Góry Bechen to daleki, pustylny i dziki obszar. Posyłano tam ludzi jak na zesłanie... Zrozumiał, że przegrał, ale nie ośmielił się protestować. Władca był dziś nie w humorze i mógłby jeszcze polecić, aby Pierwszy Dostojnik osobiście towarzyszył siostrzeńcowi w tej dalekiej podróży. Lepiej nie ryzykować. Zapytał przeto:

„Więc co zrobimy, Horusie, obys żył wiecznie?”

„Ze skarbem państwa?”

„O tym właśnie myślałem”.

„Wydadz polecenie pisarzom z Domu Życia<sup>\*</sup>. Niech sprawdzą w archiwach wszelkie zwolnienia majątków prywatnych z danin. Pamiętam, że mój ojciec nigdy nie dokonywał takich zwolnień bezterminowo, najwyżej na dziesięć lub na dwadzieścia lat. Z pewnością mój wielki dziad Snofru postępował podobnie.

Dom Życia – w okresie Starego Państwa archiwa państwowe i zbiory naukowe przy świątyni boga Ptaha w Memfis.

Niech pisarze sporządzą listę tych majątków, których przywileje wygasły. A że nie chcę nikogo gnębić, daruję właścicielom zaległości, ale pod warunkiem wpłacenia bieżących danin w ciągu trzydziestu dni. W przeciwnym razie, niech nomarchowie ściągają całość”.

„Straszny krzyk i płacz rozlegnie się w całej krainie Kemet!”

„Lud będzie oplakiwał nieszczęście swoich panów?” – zapytał szydycz Chafre.

Książę milczał. Stanowczo trafił na zły dzień władcy.

„Co do świątyń – ciągnął dalej Horus – nie godzi się ściągać od nich jakichkolwiek danin. Wiem jednak, że magazyny świątyń są tak pełne zboża, iż im grozi nawet katastrofa zawalenia się stropów. Sam to widziałem w tutejszej świątyni boga Ptaha. Żeby zapobiec nieszczęściu, syn boga Re przyjmie w imieniu swojego ojca do magazynów państwowych dziesiątą część tych zapasów”.

„Czy naprawdę tak postanowiłeś, Horusie, obyś żył wiecznie?”

„Naprawdę. Gdybyś jednak, mój najwierniejszy sługo, znalazł na tych listach także i swoje ziemie, wiedz, że zwalniam cię od zapłaty daniny. Właśnie jako nagrodę za szybkie i dokładne wykonanie mojego polecenia”.

„Dzięki ci, panie” – Pierwszy Dostojnik skłonił się rad, że z tej burzy, którą sam rozpętał, przynajmniej on i jego rodzina wyjdą bez szwanku.

„Wszystkie trzy dekrety niech będą gotowe za dwie godziny”.

„Będziesz je miał, Horusie, obyś żył wiecznie. Czy przyjmiesz teraz przełożonego policji?”

„Niech najpierw wejdzie kapłan” – zdecydował władca.

„Mój ojciec, bóg Re – powiedział Chafre, kiedy już stary kapłan oddał mu hołd – poradził mi, aby świątynie złożyły dziesiątą część zboża w spichrzach państwowych. Co myślisz o tym?”

„Wiesz, Horusie, obyś żył wiecznie, że jestem tylko prostym kapłanem. Mnie to specjalnie nie dotknie. Miskę stawy zawsze dostanę w pałacu. Ale obawiam się, że kapłani przyjmą taką decyzję z niezadowolaniem”.

„Przecież świątynie aż pękają od wszelkich skarbów, które otrzymywali ode mnie i od moich przodków”.

„Każdy lubi brać, nikt nie lubi dawać”.

„Dawniej świątynie płaciły daniny”.

„To prawda. Nawet musiały dawać ze swoich ziem czwartą część plonów. Tak było”.

„Ja dzisiaj żądam jednej dziesiątej, i to tylko jednorazowo”.

„Zrobisz, Horusie, obyś żył wiecznie, jak zechcesz. Twoja wola jest silniejsza niż tych, którzy rządzą w świątyniach. Czy to się jednak spodoba bogom?”

„Silni – uśmiechnął się Chafre z zadumą – zawsze są mili bogom. Bogowie gardzą słabymi”.

„Powiedziałeś, Horusie”.

„Właściciele prywatnych majątków także mają płacić, nie tylko lud. Poleciałem darować najbiedniejszym wszelkie zaległości”.

„Słusznie zrobiłeś, Horusie, obyś żył wiecznie. Lud będzie cię błogosławił i modlił się za ciebie”.

„A kapłani będą mi złorzeczyć. Prawda?”

Stary kapłan spuścił głowę. Milczał.

„Wolę – ciągnął dalej władca – błogosławieństwo ludu niż kapłanów”.

„Sam jesteś bogiem i cały Kemet do ciebie należy, Horusie”.

„Obawiam się jednak – zauważył Chafre – że jeśli władza i

majątki kapłanów będą rosły tak szybko jak dotychczas, moim potomkom pozostaną rządy tylko w pałacu”.

„Przecież – stary kapłan zniżył głos i rozejrzał się wokół podejrzliwie – kapłanów, nawet najwyższych, mianuje Horus. Może ich także odwołać, jeśli taka jest jego wola. Twoi wielcy przodkowie nieraz tak czynili”.

„Dobrze, że o tym pamiętasz. Na miejsce pierwszego najwyższego kapłana, którego odwołam, mianuję ciebie. Przrzekam ci to”.

„Zostaw mnie, Horusie, i pozwól jak dotychczas żyć w cieniu twego blasku. A gdy będziesz chciał mianować kogoś z proroków czy arcykapłanów, nie myśl, kto go rodził, lecz czy ten człowiek dużo umie i czy będzie ci wierny. Ubogi syn byle urzędnika może ci lepiej służyć niż dzieci nomarchów”.

„Mój ojciec bóg Re, ponieważ źle się czuję, zezwolił mi, abym dzisiaj nie składał osobiście ofiar bogom. Ty mnie zastąpisz”. – Chafre często uchylał się od swoich religijnych obowiązków, które go tyleż nudziły, co zabierały czas i wymagały nakładania ciężkiego ceremonialnego stroju.

„Dzięki ci, Horusie, obyś żył wiecznie. Odprawię wszystkie przepisane modły”.

„Jest tu Ibis-Ra. Porozmawiaj z nim o swoim grobowcu. Chciałbym i w Krainie Zachodniej korzystać z twoich cennych rad. Niech Ibis-Ra prace te włączy do robót publicznych”.

„Dzięki ci, wielki Horusie” – kapłan padł na kolana i ucałował ziemię.

Po chwili przed obliczem pana krainy Kemet stanął przełożony policji.

„Doniesiono Synowi Re...” – zaczął czytać raport wypisany na długim paśmie papirusu, ale Chafre przerwał:

„Mów krótko i o sprawach najważniejszych”.

„W ostatnich dniach dopuszczono się w krainie Kemet potwornych zbrodni. Oto na wielkiej budowie czterech robotnicy mówili, że trzeba się bardzo spieszyć z pracą, bo Horus, aby żył wiecznie, może odpłynąć na Zachód przed zakończeniem Domu Miliona Lat. Jeden z tych ludzi pochodzi z nomu Boski Cielec, dwaj z Byka Pustyni, a pozostały z Ziemi Wielkiego. Trzymam ich w zamknięciu, przyznali się do zbrodni. Zadecyduj, Horusie, jak mają być ukarani!”.

„Daj im dobrze jeść i tyle piwa, ile zechcą. Przykazać im, aby tym gorliwiej pracowali”.

„Powiedziałaś, Horusie, abyś żył wiecznie”.

„Co dalej?”

„Pewien oficer z garnizonu Hut w oberży chwalił się po pijanemu, że gdyby jego matka chciała, on zostałby Horusem. Chętnie się, że jego matka po urodzeniu syna miała wiele pokarmu i dlatego wzięto ją do pałacu Chufu, aby karmiła również syna władcy”.

„Tak było – zgodził się Chafre – przypominam sobie tę kobietę. Przez długi czas przychodziła do pałacu odwiedzać mnie. Bardzo ją lubiłem. Rzeczywiście mogła nas wtedy zamienić”.

„Zbrodniarz, który dopuścił się takiego bluźnierstwa, winien być żywcem rozerwany na placu przed świątynią, a jego członkami należy nakarmić krokodylę”.

„To mój mleczny brat. Dobrze, że mi o nim przypomniałeś. Każę mu posłać jaspisowy naszyjnik. Co dalej?”

„To były najważniejsze przestępstwa”.

„Ilu ludzi bandyci obrabowali na drogach? Ilu zostało okradzionych? Którzy kupcy oszukiwali biedaków przy sprzedaży chleba, mięsa i piwa?”

„Musiałbym poszukać tego w raporcie” – tłumaczył się przełożony policji.

„Możesz nie szukać. Ale polecam jak najszybciej ująć tych przestępców i postawić przed sądem. Darować można tylko temu, kto z głodu ukradł kawałek chleba i sam go zjadł lub dał swojemu dziecku”.

„Rozkazałeś, panie” – przełożony policji uznał, że władca jest dzisiaj w bardzo złym nastroju i lepiej jak najszybciej zejść mu z oczu.

Wszedł Seneb.

„Dostojny Ibis-Ra czeka w sąsiedniej komnacie” – zameldował.

„Niech natychmiast wejdzie”.

Ibis-Ra ubrał się w uroczysty strój. Nie czuł się w nim najlepiej. Nie wiedział, jakie przyjęcie go czeka. Ale na dworze Horusa wszelkie wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. Wszyscy już znali nowe zarządzenia władcy, a przede wszystkim to, że siostrzeniec potężnego księcia Seti, Kemheset, o którym mówiło się, że zostanie naczelnym budowniczym państwa i obejmie prowadzenie wielkiej budowy, popadł w niełaskę i wyjeżdża na pustynię. Każdy więc, kogo Ibis-Ra spotkał na drodze, klaniał mu się nisko, a kilku nawet padło na kolana i całowało skraj jego szaty.

Kiedy więc w drodze przez długie amfilady sal także i najwyżsi dygnitarze witali budowniczego Domu Miliona Lat uśmiechem i przystawali, aby się z nim przywitać i zamienić parę słów, Ibis-Ra nabrał otuchy. Wróżyło to pomyślne załatwienie spraw.

„Witaj, stary druhu – Chafre aż wstał na powitanie dawnego towarzysza broni, a kiedy inżynier chciał paść na ziemię, przytrzymał go i przycisnął do piersi. Zrobił to przy otwartych drzwiach do sąsiedniej sali, gdzie znajdowali się licznie zgromadzeni dworacy i dygnitarze państwowi. – I siadaj!”

„Postoję, Horusie, obys żył wiecznie”.



„Mówię: siadaj! Obaj mamy już nie te nogi, co wtedy, kiedy uciekaliśmy niczym kozice po skałach. Pamiętasz, jak bałem się, że nas złapia...” – pokiwał głową w zadumie.

„Ocaliłeś mi życie, Najdostojniejszy Panie. Własną tarczą zasłoniłeś mnie przed ciosem, Horusie, obys żył wiecznie”.

„Bo gdybyś zginął, byłoby nas o jednego mniej. Każda włócznia wtedy się liczyła i zwiększała szanse ocalenia. To były dobre czasy. Byliśmy piękni i młodzi. Dziewczęta oglądały się za nami. Nie to co teraz... dwóch kościanych dziadków. Ale siadaj i mów, co słyhać na wielkiej budowie?”

Ibis-Ra na tak wyraźne polecenie przysunął sobie taboret i siadł na jego brzeżku. Siedzieć w obecności pana krainy Kemet... taki zaszczyt nawet Pierwszego Dostojnika nieczęsto spotykał.

„Mam dla ciebie, Najdostojniejszy, same pomyślne wiadomości. Roboty postępują szybko naprzód. Na święta boga Atuma murarze ułożą jeszcze jedną, dodatkową warstwę budowy. Kamieniarze także wykonują sprawnie wyznaczone im zadania. Już obecnie szlifuje się granit na cztery górne warstwy okładzin. Tragarze wkrótce doprowadzą do porządku całe otoczenie Domu Miliona Lat. Obiecałem im, że za dodatkową pracę otrzymają dodatkową zapłatę”.\*

Na niektórych świątyniach znajdujemy napisy, że zostały zbudowane pręcej niż planowano, brak jednak historycznych źródeł, żeby już przy budowie piramid podejmowano zobowiązania produkcyjne.

„Dobrze zrobiłeś, ale pamiętaj, że skarb państwa jest pusty, a twój Horus biedny jak mysz świątynna – władca roześmiał się. – Chyba nawet jeszcze biedniejszy, bo myszy i szczury w świątyniach ostatnio musiały się bardzo spaść. Jak kapłani. Ale dobrałem się im trochę do skóry. Będą musieli w tym roku spłacić dziesięcinę”.

„Bardzo słusznie. Jeżeli lud musi płacić, niech płacą i najbogatsi”.

„Zapomniałem o najważniejszej rzeczy! Seneb!” – zawołał Chafre klaszcząc w dłonie.

Karzel stawił się natychmiast.

„Poproś tu przełożonego policji. Chyba jest jeszcze w pałacu”.

„Przed chwilą widziałem go, jak posilał się w sali jadalnej. Już biegnę po niego”.

Przełożony policji, wielce niespokojny, zjawił się ponownie przed obliczem władcy.

„Słuchaj – polecił Chafre – jeżeli dokładnie wypełnisz moje polecenia, dostaniesz dużą nagrodę”.

„Wiesz o tym, panie, że za ciebie gotów jestem oddać życie”.

„Na twoim życiu na razie – władca zaakcentował słowo: na razie – mi nie zależy. Wiesz o tym, że wydałem dwa ważne dekrety o podatkach?”

„Słyszałem, panie, pisarze kończą pisać stosowne rozporządzenia”.

„Niech piszą jak najszybciej. A ty masz się zająć tymi, którym by się to nie podobało i którzy zbyt głośno by narzekali. Rozumiesz?”

„Wykonam polecenia”.

„Chodzi mi nie tylko o wykaz tych, co się buntują przeciwko mojemu majestatowi, ale przede wszystkim o to, abyś się niby to przypadkiem wygadał, że masz taki wykaz sporządzić. Pojmujesz?”

„Zrobię, jak rozkazałeś, Horusie, obyś żył wiecznie. Oczywiście, pojmuję. Jeśli ludzie będą wiedzieli, że policja ma ich na oku, każdy zamknie twarz na kłódkę”.

„Możesz także dodać, że sam słyszałeś od Horusa, iż gotów jest opornym arystokratom konfiskować majątki i dzielić je pomiędzy służbę. Co zaś do kapłanów, to Chafre odgrażał się, że odwoła kilku najwyższych i mianuje na ich miejsce zwykłych urzędników. Jeśli

się sprytnie sprawisz, twoje dobra zostaną zwolnione na ten rok od daniny, a ponadto otrzymasz piękną szatę i naszyjniki”.

„Już widzę, Horusie, obyś żył wiecznie, jak zdobią mnie te naszyjniki”.

„Więc idź i spełniaj moje polecenia”.

„Jesteś największym władcą w historii Kemet” – stwierdził Ibis-Ra, gdy zostali sami.

„Na pewno nie największym, ale może nie najmniejszym – Chafre rad był z pochwały. – Sądzę, że zamknąłem wszystkim dostojnikom usta. Nie ośmielą się spiskować. Ale, mówiąc prawdę, obawiam się, że państwo chyli się ku upadkowi. Dawniej wszyscy liczyli się z władzą, dziś każdy pilnuje własnej korzyści. Zwłaszcza kler i arystokracja, chociaż właśnie oni powinni być podporami tronu. Zasoby krainy Kemet nie są nieprzebrane. A oni wszystko by rozdrapali pomiędzy siebie... No, ale mówmy o czymś przyjemniejszym. Opowiadaj dalej o budowie”.

„Ułożyliśmy prawie trzy czwarte warstw. Najdalej do końca przyszłego sezonu ustawimy kamień szczytowy”.

„Już go złocą w mojej pracowni jubilerskiej. Oglądałem i cieszyłem się nim niedawno”.

„Na przyszły sezon znacznie zmniejszę liczbę robotników. To poważnie zredukuje wydatki państwa”.

„Trzeba jednak zatrudnić tych ludzi gdzie indziej. Nie mogą przecież zostać bez pracy. Nie chcę też za darmo wydawać ludziom zboża z magazynów państwowych”.

„Może zatrudnić by ich się udało przy budowie zbiornika retencyjnego koło oazy Fajum?\* To zwiększyłyby poważnie obszar gruntów nawadnianych, a zatem wzrosłyby dochody skarbu. Ale wszystkich kamieniarzy zatrzymam”.

Niestety, za panowania Chefrena nie rozpoczęto tej budowy. Urzeczywistniono ją dopiero za Amenemhata I (1991-1961 p.n.e.) z dynastii XII.

„Po co: wszystkich?”

„To dobrzy fachowcy. Jeżeli ich zwolnię, rozejdą się po całym kraju i do następnych robót będziemy musieli szkolić innych. Lepiej więc, żeby byli na miejscu”.

„A czym ich zatrudnisz?”

„Przywieźli nam dużo czerwonego granitu, tyle, że starczy na okładziny i na górną świątynię. Ładunki kamienia nadchodzą ciągle i nadal będą nadchodzić. Wprawdzie poleciłem wstrzymać wyłamywanie bloków w kamieniołomie przy pierwszej katarakcie, ale co już jest przygotowane, trzeba stamtąd zabrać. Przyszło mi na myśl, aby na placu po dzisiejszym kamieniołomie zbudować drugą, większą świątynię. Tam się ustawi twoje posągi, Horusie, obyś żył wiecznie, z czarnego łupku. Mam go pod dostatkiem. A z tej skały, co sterczy pośrodku kamieniołomu, wykujemy wielkiego lwa z twoją głową. Jeszcze w tym roku przystąpimy do pracy. W ciągu czterech lat całość będzie skończona. Na rocznicę twojego, panie, wstąpienia na tron, wszystko będzie gotowe”.

„Główny skarbnik będzie się krzywił, jeśli wzrosną koszty budowy...”

„Wzrosną bardzo niewiele, bo odpadają wydatki związane z transportem i ze sprowadzaniem robotników. Mamy stałych. Przewiduję, że w przyszłym roku koszty budowy spadną o blisko połowę. Za dwa lata wystarczy nam jedna piąta tej kwoty”.

„Przyjacielu, wracasz mi zdrowie i siły. Takich wieści od dawna potrzebowałem. Tutaj każdy umie tylko krakać i wyciągać rękę po dobro państwowe. Kiedy ciebie słucham, czuję, jakbyś balsam wlewał w moje żyły... Pewno jesteś głodny, a ja też poczułem głód.

Zjemy coś razem. Zaraz każę podać. Hej, Seneb!”

Karzel zjawił się natychmiast, jak gdyby tylko na to czekał za drzwiami.

„Przynies nam coś do zjedzenia. I niech lekarz da mi to świństwo, które miał przyrządzić”.

Stary dworak niczym nie dał poznać po sobie, jak go zadziwił ten rozkaz. Władca od dawna, od śmierci królowej, zawsze sam spożywał posiłki. Czasami w towarzystwie syna, kiedy Menkaure przyjeżdżał do stolicy.

„Już podaję, wielki Horusie, obyś żył wiecznie”.

Wniesiono stolik i zastawę. Dworacy defilowali z półmiskami najwymyślniejszych potraw. Władca brał z nich po kawałku, ale goście kazał nakładać do pełna. Zażądał także wina dla nich obu.

„Wino może ci zaszkodzić, najdostojniejszy panie” – upominał lekarz podając władcy potrawkę z wątróbki.

„W towarzystwie przyjaciela nic mi nie zaszkodzi” – Chafre umoczył wargi w ciemnym płynie i dopilnował, aby inżynier także wypił.

„Horusie, obyś żył wiecznie – bronił się budowniczy – więcej naprawdę nie mogę”.

„Dajcie nam teraz dzban zimnego napoju z owoców, zabierzcie naczynia i zostawcie nas samych – rozkazał pan krainy Kemet. A kiedy pozostał sam na sam z przyjacielem, powiedział:

„Mam jedną troskę...”

„Jaką, najdostojniejszy panie?”

„Myślę o moim Domu Miliona Lat”.

„Przecież mówiłem, że roboty przebiegają sprawnie. Nawet bardzo sprawnie”.

„Nie chodzi mi o stan robót. Martwię się o przyszłość. Często żałuję, że rozpocząłem tę budowę”.

„Dlaczego!” – zdziwił się szczerze Ibis-Ra.

„Tę ogromną armię pracowników można by użyć z większym pożytkiem dla państwa. Niestety, Dom Miliona Lat nie daje gwarancji, że naprawdę moje *ba* i moje *ka* osiągną spokój i szczęście w Krainie Zachodniej. Obawiam się, że ktoś wtargnie do mojego domu i łaszcząc się na to, co tam zgromadziłem, zniszczy moje ciało”.

„To nigdy nie nastąpi! – zapewnił gorąco Ibis-Ra. – Kapłani w obu świątyniach będą czuwali, aby nic nie zakłóciło spokoju należnego wielkiemu Horusowi”.

„Zawsze będzie płynąć Hapi, Kemet jest wieczny. Ale jego władcy zmieniają się. Zmieniają się dynastie. Moja jest czwarta od momentu, kiedy wielki Horus Meni włożył na skronie podwójną koronę. A dziś nie wiadomo dokładnie, gdzie jest jego grób. Wielki Dżeser także przy swoim domu ufundował świątynię i hojnie obdarował kapłanów. Gdy pojechałem tam, zastałem ruiny i ani jednego strażnika. Kazałem odnowić świątynię i na nowo sprowadziłem kapłanów. Ale nie wiem, czy nikt nie zakłócił wiecznego spokoju tego władcy. To samo może się zdarzyć i z nami. Może nadejść dzień, kiedy opustoszeją świątynie, a na miejsce kapłanów przyjdą chciwi złota rabusie”.

„Nie znajdą niczego, zapewniam cię, Panie. Porobiłem tam wiele mylnych dróg i wybudowałem wiele zabezpieczeń. Musieliby rozebrać cały dom aż do podstaw, a nawet i głębiej”.

„Kto wie, czy i tego nie zrobią?”

„Gdyby świętokradcze ręce zdobyły się na to, nie ujdzie im bezkarnie. Zginą wszyscy. Zabije ich... ziemia śmierci”.

„Może zabije, ale oni przed tym zniszczą moje *ba* i moje *ka*. One to właśnie: dusza i rozum, istnieją bowiem tak długo, jak długo

istnieje ciało i imię człowieka. Musiałbym wtedy porzucić Krainę Zachodnią”.

„To nigdy nie nastąpi!”

„Ale właśnie tego obawiam się najbardziej. Może pamięć o mnie przetrwa wśród wnuków, lecz co się stanie za setki czy tysiące lat?”

Ibis-Ra milczał. Wiedział, że w tym, co mówi Chafre, jest wiele prawdy. Wzdłuż zachodniej skarpy rozciągają się miasta umarłych, a większość z nich jest opuszczona i splądrowana. Nie pomagają naj-surowsze kary orzekane przez sądy na rabusiów.

„Pomyślałem sobie – ciągnął dalej władca – że najbiedniejszy poddany jest szczęśliwszy od pana. Owinięty w lnianą płachtę, śpi spokojnie pod piaskami pustyni. Prócz hieny i szakala nikt na niego nie czyha. Ale przed hieną łatwiej się uchronić niż przed chciwym człowiekiem. A jednak nie mogę zostać tak pochowany, jak mój najbiedniejszy pastuch. Grób władcy Górnego i Dolnego Kemet to symbol wielkości i potęgi państwa. Musi być groźbą dla wrogów, świadectwem bogactwa dla ludu. Musi też być większy niż groby arystokracji i kapłanów, bo inaczej oni przestaliby słuchać swoich panów”.

„Lud cię miłuje, wielki Horusie, jak żadnego innego władcę Kemet. Dałeś państwu długie lata pokoju. Nie gnębisz ludzi. Za twojego panowania dobrowolnie zgłaszają się do wielkich robót”.

„Być może, że lud będzie mnie pamiętał dłużej niż moje dzieci i wnuki. Ale i pamięć ludu nie jest wieczna...”

„Czy masz jakiś plan, Horusie, obyś żył wiecznie?”

„Myślałem, żeby znaleźć człowieka tak dobrego i wiernego, jakiego nie było od czasu bogów. Żeby dać temu człowiekowi tyle wszelkiego dobra, aby starczyło dla niego, jego syna i jego wnuka, a także dziesięć i sto razy dłużej. Mówiłeś, że wykonałeś w moim

Domu Miliona Lat szereg najrozmaitszych zabezpieczeń. Trzeba by wtajemniczyć tego człowieka i nauczyć sposobów czuwania nad moim spokojem. Aby jedynie on, a później jego syn, wnuk i prawnuk znali tę tajemnicę. Aby w swoich potomkach mieszkał przy moim Domu nawet wtedy, kiedy już obie świątynie rozbije ręka czasu”.

„O Horusie, obyś żył wiecznie! – zawołał Ibis-Ra. – Bogowie którzy ciebie zrodzili, musieli ci poddać ten pomysł!”

„Cieszę się, że tak uważasz. Ale to nie koniec mojego zmartwienia. Bo czy masz takiego człowieka?”

Ibis-Ra zastanowił się.

„Nie mam” – odparł wreszcie.

„Ja też nie”.

„Twój ojciec, bóg Re, da ci znak, o panie”.

„Ten zamysł, o którym ci przed chwilą powiedziałem, nie jest nowy. Piastuję go w myślach od chwili, kiedy przystąpiłeś do budowy mojego Domu. I wciąż próżno czekam na znak, lecz...”

Władca nie dokończył zdania, bo niespodziewanie zjawił się przed nim wzburzony Seneb.

„Wielki Horusie, obyś żył wiecznie, stała się rzecz niesłychana! Złodziej wtargnął do twojego ogrodu! Właśnie prowadzą go tutaj...”



## ZŁODZIEJ I KSIĘŻNICZKA

„Zawsze – westchnął Chafre – ktoś musi mi zepsuć każdą przyjemność, jak teraz rozmowę z przyjacielem... Cóż mnie obchodzi jakiś złodziejasek? Od tego są sądy. Czy panujący ma osobiście zajmować się każdym przestępcą?”

„Ale to wyjątkowo bezczelny zbrodniarz – tłumaczył się karzeł Seneb. – Nigdy przecież nie ośmieliłbym się zakłócać spokoju wielkiego Horusa, gdyby bandyta nie dopuścił się tak haniebnej zbrodni...”

„Niech go tu przywiodą” – rozkazał krótko władca.

Po chwili aż czterech barczystych strażników wprowadziło do sali rosłego młodzieńca. Ręce i nogi miał spętane, a każdy strażnik trzymał jeden ze sznurów.

Spojrzał na więźnia Ibis-Ra i serce zamarło mu z przerażenia. Ależ to Nachti!

Młody siłacz ciekawie rozglądał się po sali.

„Na ziemię, psie, kiedy stajesz przed Najwyższym Majestatem!” – dowódca straży pchnął go silnie na ziemię.

Dopiero teraz siłacz zrozumiał, że ten starszy człowiek, siedzący przy jednym stoliku z głównym budowniczym Domu Miliona Lat, jest władcą krainy Kemet.

Pokornie ucałował ziemię.

„Mów” – zwrócił się Chafre do strażnika.

„Wielki Horusie, obyś żył wiecznie, złapaliśmy go w chwili, kiedy w altance ogrodowej, gdzie siedziała twoja, o wielki Horusie, dostojna wnuczka, porwał i trzymał w ręku srebrny kubek. Twoja wnuczka, Najdostojniejszy, była tak przerażona tym napadem, że bała się nawet krzyknąć. Nic dziwnego. Dziesięciu ludzi przez dłuższy czas walczyło z bandytą, zanim zdołaliśmy go obezwładnić. A potem lekarz musiał się nimi zająć, by opatrzyć ich rany”.

„W jaki sposób ten człowiek mógł przekroczyć bramy pałacu? – rozgniewał się władca. – Gdzieście wtedy byli? Niedługo dojdzie do tego, że będą mi kradli stawę, którą na łyżce niosę do ust”.

„Ten bandyta jest młody i nad podziw silny. Zapewne nocą udało mu się wdrapać przez mur, a później w krzakach czekał na sposobność rabunku” – tłumaczył oficer.

„Ty mów. Jak było?” – Chafre spojrzał na więźnia.

Ibis-Ra zdążył się już opanować. Chciał zabrać głos, wyjaśnić, że to jego szemsu, ale rozgniewany władca nie zwracał na niego uwagi.

Nachti, leżąc spętany na ziemi, uniósł głowę i śmiało odpowiedział:

„Najpotężniejszy Horusie, obyś żył wiecznie, ten policyjny skorpion łże! Wszedłem na dziedziniec pałacu najwyczajniej w świecie, jak inni. Nie miałem zamiaru i nic nie ukradłem. Ani teraz, ani nigdy w życiu. Przysięgam, że mówię prawdę. Jeśli skłamałem choć słówko, niech mnie Anubis, bóg zmarłych, zaraz tu na miejscu rozszarpie!”

„Po coś wszedł do pałacu?”

„Chciałem się zobaczyć z dziewczyną, która pracuje w kuchni. Długo czekałem, zanim mnie spostrzegła. Bardzo mi się ta dziewczyna podoba i chciałbym ją wziąć za żonę... Ona także zgadza się na to...”

„Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Jak się nazywasz?”

„Z nomu On. Tam mój ojciec ma ziemię, a także pracuje u pana... Na imię mi Nachti...”

„Mów dalej” – rozkazał władca niecierpliwie.

„Długo czekałem, stojąc w słońcu, zanim moja dziewczyna zobaczyła mnie, a potem zeszła na dół... Więc poprosiłem ją o łyk wody... Kazała mi czekać w ogrodzie... Piłem wodę, a oni napadli na mnie. Nie pytali o nic... Musiałem się przecież bronić... A oni przez zemstę robią ze mnie złodzieja i bandytę”.

„Ten pies łże, wielki Horusie, obyś żył wiecznie! Widzieliśmy w ogrodzie dostojną twoją stryjeczną wnuczkę. Trzymając srebrny kubek weszła do altanki. Tam na nią czatował, podły bandyta! W ogrodzie nie było żadnej dziewczyny pracującej w kuchni. Zresztą, w kuchni pracują tylko panny z najlepszych domów...”

„Nieprawda – przerwał gwałtownie Nachti – moja dziewczyna pracuje w kuchni! Jest sierotą przysługującą przez jakąś damę dworu...”

„Do tego dochodzi, że nie wiem, co dzieje się w moim pałacu? – Chafre spojrział groźnie na obecnych. – Jak się nazywa ta dziewczyna z kuchni?”

„Heknu, o wielki Horusie, obyś żył wiecznie” – wyszeptał Nachti.

Zapadła cisza. Nikt nie miał odwagi nawet odetchnąć. Widać było, jak twarz władcy ciemnieje z gniewu.

„Ty gadzie nikczemny! Wnuczkę mojego zmarłego brata śmiesz nazywać kuchenną dziewczką?”

„Najdostojniejszy panie, uspokój się” – podbiegł do niego lekarz podsuwając kubek z lekarstwem.

Ibis-Ra, który czekał na stosowną chwilę, by móc wstawić się za chłopakiem u władcy, osłupiał.

Chafre groźnie zmarszczył brwi:

„Zabierzcie to ścierwo. Dać mu pięćset kijów, a jeśli wyżyje, skierować do karnych robót” – rozkazał.

Nachti nie tyle ze strachu, co ze zdumienia nie mógł wymówić słowa. Dowódca straży szarpnął powrozem, trzej inni przyskoczyli do skazańca, by podnieść go z ziemi.

„Przeprowadzić śledztwo – mówił władca – i dać pięćdziesiąt kijów temu, który przepuścił złodzieja przez bramę. Nie wierzę, by wlaził przez mur. Jego przepaska i fartuszek są zupełnie czyste”.

„Stanie się, jak rozkazałeś, najdostojniejszy panie” – odrzekli strażnicy, ale Chafre zatrzymał ich, zmieniając poprzednią decyzję.

„Zamknąć go do lochu i jutro związanego wrzucić do Hapi. Ten wielki krokodyl, który zawsze wygrzewa się na łasze pod murami pałacu, wczoraj smutnie na mnie patrzył. Widocznie był głodny”.

„Jutro, Horusie, obys żył wiecznie, będzie najedzony” – zapewnił dowódca.

„Do czego to dochodzi? Moja rodzina już nawet w pałacu nie może się czuć bezpieczna” – w głosie władcy zabrzmiała gorycz.

„Wielki Horusie, obys żył wiecznie – Ibis-Ra padł na kolana – jestem gotowy. Każ zawołać sługę z kijem”.

„Co ty mówisz?” – władca nie zrozumiał.

„Przeznaczyłeś pięćdziesiąt kijów dla tego, kto wpuścił chłopaka do pałacu. Ja to zrobiłem...”

„Ty?”

„Tak. To mój szemsu, niósł do stolicy moje rzeczy”.

W tej chwili do pokoju weszła, a raczej wbiegła młoda dziewczyna i przed tronem padła na ziemię.

„Podnieś się, drogie dziecko – na widok nie rodzonej wprawdzie, ale bardzo kochanej wnuczki, gniew władcy rozwiął się jak dym z ogniska rozproszony podmuchem wiatru z pustyni. – Przestraszyłaś

się tego bandyty. Już ci więcej nie zagrozi. Jutro z nim porozmawia nasz stary przyjaciel krokodyl. Będzie nad nim płakał”.

Dziewczyna nie wstała, tylko przytuliła policzek do stopy Horusa. Ciałem jej wstrząsało łkanie.

„No, nie płacz, nie bój się”.

„Wielki Horusie, obyś żył wiecznie, przebacz mi!”

„Komu?”

„Temu chłopakowi. To Nachti...”

„Jakże mogę przebaczyć bandycie? Ośmielił się przecież podnieść na ciebie dłoń, a w twoich żyłach płynie krew władców Kemet. Za takie przestępstwo nie ma zbyt srogiej kary”.

„On jest niewinny!”

„Co ty pleciesz, dziewczyno?”

„To ja go zaprowadziłam do ogrodu i przyniosłam mu kubek wody... Sama mu powiedziałam, że pracuję w kuchni...” – mówiła szybko, przez łzy, Heknu.

Chafre, zaskoczony, pochylił się nad płaczącą dziewczyną.

„Ten szaleniec plótl, że się z tobą ma żenić i że ty się na to zgodziłaś...”

„Mówił prawdę, najdostojniejszy Horusie, obyś żył wiecznie...”

„Moja wnuczka miałaby poślubić chłopca?! Tym bardziej musi umrzeć”.

Dziewczyna zerwała się z ziemi. Z bladą twarzą, z rozwianymi włosami, wyglądała prześlicznie.

„Dziadku – rzuciła w twarz władcy – jeśli ten chłopiec zginie, ja też umrę! Skoczę z muru prosto w paszczę krokodyla!”

„Szalona, co mówisz? Jak ty się do mnie odzywasz?!”

Heknu padła znów na kolana.

„Przebacz mi, wielki Horusie, przebacz nam obojgu i pozwól

nam odejść... Choćby na kraj świata. Byle z nim...”

„To nie może być”.

„A więc... zginiemy razem!” – wykrzyknęła z desperacją.

Ibis-Ra, ryzykując całą swoją przyszłość, ośmielił się wtrącić do rozmowy dziadka z wnuczką:

„Największy władco krainy Kemet, obyś żył wiecznie. Czekales na znak Re... teraz go otrzymałeś”.

„O czym ty mówisz?”

„Pozwól mi wytłumaczyć”.

Chafre skinął przyzwalająco głową.

„Może jednak...” – Ibis-Ra wskazał gestem ręki na dziewczynę ciągle klęczącą przed tronem.

Chafre zrozumiał.

„Heknu – powiedział – wyjdź stąd. Czekaj za drzwiami”.

Dziewczyna spojrzała na inżyniera błagalnie, jakby prosząc o pomoc i nadzieję ostatniego ratunku, i wyszła.

„Mów” – zwrócił się Chafre do budowniczego.

„Horusie, obyś żył wiecznie, gdzie po raz drugi znajdziesz człowieka, który by tobie i twojej rodzinie zawdzięczał wszystko?”

„Masz na myśli tego chłopaka?”

„On może tobie zawdzięczać albo śmierć, albo życie, szczęście dla siebie, swoich wnuków i prawnuków. Dobrobyt, jakiego niewielu ludziom zdarza się doznać. Nieczęsto bowiem spotyka się dziewczynę, która by dobrowolnie chciała iść na śmierć za swoim ukochanym. Taki człowiek zwiąże się przysięgą na wszystkie pokolenia i tej przysięgi dotrzyma. Oto najlepszy strażnik twojego Domu Miliona Lat!”

„Przecież to zwykły chłop! Jakże moja wnuczka mogłaby poślubić chłopca z nomu On?!”

„Mogłaby poślubić księcia... Jedno skinienie twoich brwi uczyni

go księciem najwyższym w całym państwie”.

„Tego nigdy nie było”.

„Dlatego... że ja nie chciałem”.

„Ty?” – zdziwił się Chafre.

„Panie mój i władco, ja także jestem zwykłym chłopem, a jednak twoja łaska parę razy ofiarowywała mi ten tytuł. Prosiłem cię, panie, abyś tego nie robił”.

„Prawdę mówisz. Ale ty jesteś jednym z najwierniejszych. Powiedziałbym: najwierniejszym z wiernych. Moim starym przyjacielem”.

„Słowa twoje, Horusie, obys żył wiecznie, są dla mnie najwyższym zaszczytem. Ale i ten chłopiec pozostałby ci wierny przez pokolenia, w których przecież będzie płynęła i twoja krew...”

Chafre zamyślił się.

„Znam twoją uczciwość, cenię twoją mądrość. Ale co na to powiedziałbyś dwóm?”

„Wielki Horusie, obys żył wiecznie, przed paru godzinami rzuciłeś wyzwanie całej arystokracji i całemu klerowi, a teraz obawiasz się dworaków?”

„Nie boję się nikogo, prócz bogów”.

„Bogowie są łaskawi dla ciebie. W dowód tej łaski dali ci znak. Pozwól mi służyć ci jeszcze radą”.

„Zawsze cię wysłuchiwałem”.

„Okazesz chłopcu łaskę. Wróci ze mną na wielką budowę. Tam mianuję go kierownikiem robót przy dolnej świątyni. Zna się na tym. I umie rzeźbić w kamieniu. Nachti jest bardzo zdolny, silny, wytrwały, chętny. A przede wszystkim szczery. Pomogę mu. Da sobie radę. Tymczasem sporządzi się odpowiednie skrytki, jak to przewidywałeś, panie, a ja będę go zapoznawał z tajemnicami twojego Domu Miliona Lat. Mógłby dostać kawał gruntu w pobliżu, aby zbudował

tam odpowiednią siedzibę. Nie za dużą i niezbyt reprezentacyjną. Taką, na jaką stać dobrze zarabiającego inżyniera cieszącego się łaskami władcy. To nie wzbudzi niczyich podejrzeń ani plotek. A potem, kiedy przy ukończeniu budowy twojego Domu będziesz rozdzielał odznaczenia i nagrody, tak ci się na pewno spodoba dolna świątynia, że jej budowniczemu oddasz wnuczkę za żonę. W ten sposób uniknąłoby się wszelkich trudności...”

„Dziewczyna może się przez ten czas rozmyśli – zastanawiał się Chafre. – Bo obiecałem ją już komu innemu”.

„Jeśli mu dasz taki sam posag, najdostojniejszy panie, mógłby dostać jakąś inną dziewczynę z najdostojniejszej twojej rodziny. Na pewno bardziej chodzi mu o pieniądze i wpływy niż o Heknu”.

„Może i masz rację... W ogóle jej jeszcze nie widział”.

„Nie ma więc żartowania. A gdyby nawet twoja wnuczka się rozmyśliła, fakt ten w niczym nie zmniejszy wdzięczności tego chłopaka wobec ciebie, najdostojniejszy panie”.

„Masz rację – powtórzył Chafre. – Dobrze to wymyśliłeś”.

Ibis-Ra odetchnął z ulgą.

„Muszę jednak jeszcze porozmawiać z dziewczyną. Może oprzytomniała? Heknu!” – zawołał.

Dziewczyna stanęła w drzwiach.

„Zbliź się” – rozkazał Chafre.

Heknu podeszła i znowu uklękła.

„Uważaj dobrze, co mówię – zaczął poważnie władca. – Gotów byłbym przebaczyć temu młodemu człowiekowi pod warunkiem, że zostanie wygnany z krainy Kemet i nigdy go więcej nie zobaczysz”.

„Pójdę za nim albo umrę. Ale dzięki ci, Horusie, obyś żył wiecznie, za jego życie”.

Chafre uśmiechnął się lekko.

„Więc dobrze, zrobimy próbę, co warta jest twoja miłość. Nie



będę cię zmuszał, żebyś wyszła za kogokolwiek innego, ale na wasz związek pozwolę dopiero za cztery lata”.

„Będę czekała!”

„A jeżeli on nie będzie chciał czekać?”

„To umrę”.

„Aleś ty uparta! Ciągłe chcesz umierać, a nie pomyślałaś o starym dziadku? Idź i powiedz, żeby straż rozwiązała i przyprowadziła tutaj tego twojego osiłka”.

Heknu, zapominając o etykiecie, zaczęła całować najdosłojniejsze dłonie władcy Kemet. Chafre przytulił dziewczynę do piersi i pogłaskał po włosach.

„Wiedz jeszcze o jednym: jeżeli go poślubisz, będziesz żyła z dala od stolicy. Tam gdzie teraz buduje się mój Dom Miliona Lat”.

„Ale wolno mi będzie czasami tu przyjść, żeby ucałować twoje ręce i powiedzieć, jak jestem szczęśliwa? Mogę mieszkać nawet na Krokodylej Wyspie, byle z nim”.

„No, no, idź już” – powiedział łagodnie Chafre.

Kiedy Heknu przyprowadziła skazańca, władca pozwolił mu ucałować ziemię i powiedział, że tym razem przebacza mu nie tyle jego zuchwałość, co głupotę, i że ocalenie zawdzięcza tylko Heknu.

„Wolałbym, wielki Horusie, obyś żył wiecznie, żebyś mnie rzucił na pożarcie krokodylom, niż gdybym miał żyć bez Heknu...”

Chafre pokiwał głową.

„Teraz znów on grozi mi swoją śmiercią. Idź z Heknu, niech ci wyjaśni, co postanowiliśmy o waszych losach”.

„Dzięki ci, panie” – dziewczyna ucałowała jego ręce.

„Dzięki, wielki Horusie, obyś żył wiecznie!” – Nachti schylił się kornie do stóp władcy.

„No, mój drogi – pan krainy Kemet zwrócił się do swego gościa i przyjaciela – kiedy załatwiliśmy moje sprawy i sprawy tych dwojga szalonych, powiedz, co mógłbym zrobić dla ciebie? Potrzebne ci złoto, majątek? Proś, o co chcesz. A może chciałbyś zostać Najwyższym Dostojnikiem?”

„Niech mnie Re strzeże! Stykać się ciągle z tymi dworakami... to nie dla mnie. Wolę moich chłopów na budowie. A złota mi, panie, też nie trzeba”.

„Chciałbym jednak coś dla ciebie zrobić. Właśnie dzisiaj. Zdjąłeś mi z głowy wielki ciężar i uradowałeś serce dobrymi wieściami”.

„Kiedy nawet nie śmiem prosić...”

„Czyżby o pół krainy Kemet?”

„Nie, panie, moja prośba jest bardziej zuchwała”.

„Mów”.

„Pragnąłbym, abyś mnie zabrał ze sobą do Krainy Zachodniej. Żyj wiecznie, ale odpływając pozwól mi towarzyszyć ci na twojej łodzi. Może ci się i tam potrafię na coś przydać?”

„Jakże to? – zdziwił się władca. – Nie masz jeszcze swojego grobowca obok mojego Domu Miliona Lat?”

„Nigdy mi o tym, panie, nie wspominałeś”.

„Inny, na twoim miejscu, przede wszystkim wybudowałby swój grobowiec, a dopiero później zajął się moim Domem”.

„Nie śmiałem prosić. Nie wiedziałem, czy wyraziłbyś zgodę, Horusie”.

„Dobrze. Zaraz zawołam pisarza i podyktuję mu swoją wolę. Wybudujesz sobie tam największy i najpiękniejszy grobowiec w całym mieście umarłych. Weźmiesz ze skarbu państwa wszystko, czego będzie ci potrzeba. Złoto, srebro, drogie kamienie... A także przedmioty konieczne do odpowiedniej zastawy grobowej,

przynależnej twojemu stanowisku. Rad jesteś?”

Ibis-Ra padł na kolana i ucałował ziemię przed swoim władcą.

„Nie rób tego. Jesteśmy sami. Siadaj z powrotem”.

„Nie chodzi mi, Horusie, o byś żył wiecznie, o złoto czy drogie kamienie, lecz o pozwolenie pozostania na zawsze przy tobie. Mój grobowiec to będzie szyb w ziemi i jedna komora. Wystarczy mi prosta maska pośmiertna, parę pszennych chlebów i gliniane figurki kilku towarzyszy i sług. Żadnych kosztowności, na które mógłby się złakomić złodziej. Na ścianie sam wypiszę swoje imię i wyrysuję, jak stałem z włócznią koło ciebie i jak później budowałem twój Dom. Liczę, że nawet najpodlejszy rabuś nie zniszczy mojego *ba*, kiedy przekona się, że w grobowcu nie ma nic do zabrania”.

„Masz rację. Ale wybuduj swój grobowiec jak najbliżej mojego”.

„Jeszcze jedną łaskę mi wyrządzasz, Horusie, o byś żył wiecznie”.

„Mówili mi, że nocowałeś nie w pałacu, a u jakiegoś chłopca, czy to prawda?”

„Prawda, panie. Chłop najlepiej czuje się u chłopca. Pozwól mi tam odejść i dzisiaj. Jutro, skoro świt, wyruszę z powrotem na wielką budowę. Jeśli się chce, żeby roboty przebiegały szybko i sprawnie, trzeba nad tym czuwać osobiście. Chociaż przyjemnie grzać się w łaskach Horusa, czas już na mnie”.

„Nie zatrzymuję ciebie, bo rozumiem twoje powody. Jak tylko stan zdrowia mi pozwoli, sam przyjadę na twoją budowę, rozpatrzeć się w planach i projektach, o których wspominałeś. Może dać ci lekturę, żeby cię szybko zanieśli na miejsce?”

„Moje stare nogi szybciej mnie tam zaprowadzą. Zresztą nie będę szedł sam. Nachci w razie potrzeby zawsze mnie wesprze młodym ramieniem”.

„Więc żegnaj, przyjacielu” – władca wstał z tronu i objąwszy gościa, serdecznie go uściskał.

„Wiesz co? – dorzucił, gdy inżynier wychodził – każę, aby jutro z samego rana temu krokodylowi rzucono tłustego barana. Może to nie krokodyl, a Sobek, jedno z wcieleń mojego ojca, boga Re? Niech wie, że władca Kemet zawsze dotrzymuje danego słowa”.

## OJCIEC I SYN

Następca tronu i dowódca wojsk stacjonujących w Dolnym Kemet, wezwany do stolicy, nie spieszył się, aby stanąć przed Najwyższym Obliczem. Płynął na wielkim, wspaniałym statku, często dobijając do brzegu. Tam czekali nomarchowie, aby młodemu księciu Menkaure jak najbardziej umilić podróż. Polowania, zabawy i uczty ciągnęły się bez końca. Każdy z nomarchów, ja tylko mógł, tak starał się zdobyć dla siebie sympatię człowieka, który już niedługo ozdobi swe skronie podwójną koroną Górnego i Dolnego Kemet. Szeptano ciągle i powtarzano niepokojące wieści, że Horus, oby żył wiecznie, jest ciężko chory. Że z trudem opuszcza łóżce i nawet przestał osobiście składać ofiary bogom. Coraz bardziej pragnie odpłynąć na Zachód. Podobno, mówili wtajemniczeni, w związku z chorobą, Dom Miliona Lat jest budowany tak, by mógł w każdej chwili przyjąć Pana. Że prace prowadzi się nawet po nocach...

Ale najdłuższa nawet podróż musi się wreszcie skończyć. Nie można jej przedłużać w nieskończoność. Wreszcie zabrakło i nomarchów pragnących złożyć hołd następcy tronu, toteż pewnego popołudnia przystrojona flagami barka dobiła do przystani nie opodal pałacu władcy Kemet.

Tutaj czekali już między innymi Najwyższy Dostojnik i przełożony Domu Oręża. Obaj nisko skłonili się przed księciem.

„Jak się czuje mój ojciec, wielki Horus, oby żył wiecznie? Czy mogę się z nim przywitać?”

„Nie dzisiaj. Horus, oby żył wiecznie, wyjechał na polowanie na antylopy i wróci dopiero za dwa dni. Chyba, żebyś chciał, panie, spotkać go na pustyni”.

„Zaczekam, znużony jestem długą drogą”.

Obaj dostojnicy uśmiechnęli się lekko. Doskonale wiedzieli, że nie droga, ale długie uczty były przyczyną zmęczenia młodego człowieka. Nie odzywali się jednak słowem. Wprawdzie stan zdrowia panującego w cudowny sposób poprawiał się z dnia na dzień do tego stopnia, że władca spełniał teraz wszystkie obowiązki państwowe i religijne, a ponadto wybierał się w podróż inspekcyjną po kraju. Miał ją zacząć od wizyty na wielkiej budowie. Niemniej nikt nie znał godziny, kiedy pszent spocznie na głowie tego młodego człowieka, który stanie się panem krainy Kemet.

„Komnaty dla księcia – objaśnił przełożony Domu Oręża – są przygotowane. Ja zaś jestem na każdy rozkaz. Gdy książe odpocznie, proszę mnie zawołać”.

Menkaure skierował się do przeznaczonej dla niego części pałacu. Nie krył zdziwienia. Nomarchowie szeptali mu do ucha, że godzina odpłynięcia wielkiej łodzi na Zachód jest już bardzo bliska. A tymczasem ojciec najwidoczniej cieszył się doskonałym zdrowiem. Młody książe przeczuwał więc, że spotkanie z Horusem, oby żył wiecznie, będzie niezbyt przyjemne. Poczynał sobie przecież w Delcie dość samowolnie, z czego się będzie trzeba gęsto tłumaczyć.

Menkaure nie życzył ojcu śmierci, ale perspektywa zostania władcą Kemet nie była mu niemiła. Znał też dobrze żelazną rękę

władcy. Wolałby, aby spotkanie odbyło się raczej ze starcem nękanym chorobą niż z człowiekiem w pełni sił.

Rozmowa z przełożonym Domu Oręża także nie pocieszyła następcy tronu. Horus, oby żył wiecznie, osobiście interesował się sprawami dotyczącymi obronności kraju. Wiedział o przesuwaniu wojsk i powoływaniu pod broń... Minister nie krył, że szczególnie to ostatnie zarządzenie nie spotkało się z uznaniem władcy.

„Horus, oby żył wiecznie – mówił – rozkazał mi przygotować dekret zwalniający tych wszystkich ludzi do domu. Chciał jednak, aby to zarządzenie książę sam podpisał”.

„Podpiszę, cóż mam robić” – westchnął Menkaure, słusznie przewidując, że jego ambitne plany walą się w gruzy.

„Czy zaraz?”

„Lepiej od razu. Może ojciec będzie się mniej gniewał?”

„Wielki Horus, oby żył wiecznie, jest ostatnio w doskonałym humorze – minister usiłował pocieszyć księcia. – Bóg Re wyraźnie sprzyja mu i pomaga. Budowa Domu Miliona Lat idzie sprawnie. Znaleźli się na dworze i tacy, którzy chcieli utracić głównego budowniczego, ale jego pozycja nadal jest mocna”.

„Ibis-Ra jest doskonałym fachowcem i zdolnym organizatorem. Jeśli kiedykolwiek mojemu ojcu, oby żył wiecznie, będzie się podobało odejść na Zachód, ja także powierzę temu inżynierowi wykonanie mojego Domu Miliona Lat”.

Minister nic nie powiedział, ale dobrze sobie zanotował w pamięci te słowa. Mogą się w przyszłości przydać. Ten głupi książę Seti, który wciąż jeszcze intryguje przeciwko inżynierowi, a który od dawna nie powinien zajmować tak wysokiego stanowiska, znowu może dostać po uszach. Jak już raz to go spotkało. Oczywiście, przełożony Domu Oręża będzie odtąd gorącym zwolennikiem naczelnego inżyniera.

„Cieszę się, że zastałem ojca, oby żył wiecznie, w zdrowiu”.

„Było już niedobrze, nawet bardzo niedobrze, i nagle zło minęło, jak gdyby ręką odjął. Minęła także i główna troska. Skarb państwa zappełnił się wielką ilością zboża. Jak nigdy przedtem. Skończyły się kłopoty finansowe”.

„Wiem o tym. Ale ludzie narzekają”.

Przełożony Domu Oręża także został zwolniony z danin, więc odpowiedział:

„Horus, oby żył wiecznie, obszedł się z właścicielami majątków ziemskich wspaniałomyślnie. Przecież wielu z nich od dziesiątków lat po prostu okradało skarb państwa, gdyż nie płacili podatków powołując się na dawno wygasłe zwolnienia. Władca nie kazał im zwracać zaległości, niejednokrotnie wyższych niż wartość tych dóbr, lecz zadowolił się ściąganiem bieżących podatków”.

„A świątynie?” – Menkaure ciągle miał wątpliwości. W czasie podróży do stolicy nasłuchiwał się opowiadań o rozpaczliwym położeniu właścicieli majątków ziemskich i kapłanów.

„Świątynie! Tam siedzą na zbożu, a także na złocie i drogich kamieniach. Od czasu bogów nigdy kapłani nie byli tak bogaci. I potężni. Ale wszystkiego im jeszcze mało! Pan nasz zabrał im tylko dziesiątą część, chociaż dawniej płacili aż jedną czwartą. Wyraźnie mówią o tym dokumenty zgromadzone w Domu Życia”.

„No i zapłacili?”

„To jest właśnie najciekawsze, że wszyscy, kapłani i ziemiaństwo, zwozili zboże dzień i noc. Pracownicy magazynów państwowych i pisarze wprost nie nadążali z odbiorem. Najlepszy dowód, że te podatki nikogo naprawdę nie dotknęły. Ale arystokracja nie byłaby



arystokracją, gdyby nie narzekała, że jej się krzywda dzieje. To samo z kapłanami”.

„A wojsko?”

„My jesteśmy zadowoleni – stwierdził przełożony Domu Oręża. – Otrzymaliśmy dodatkowe kredyty. Przeprowadzamy zmianę uzbrojenia na nowe i lżejsze. Garnizony na Turkusowych Tarasach już dostały nową broń. Przyznano nam także środki na budowę studzien w pustyni i na rozbudowę fortyfikacji. Teraz sporządza się odpowiednie plany, a roboty ruszą w przyszłym sezonie”.

„Skąd weźmiecie ludzi?”

„Horus, oby żył wiecznie, postanowił, że część prac wykona wojsko, zaś resztę przy pomocy robotników przerzuconych z wielkiej budowy, która na przyszły sezon nie będzie potrzebowała tylu rąk”.

„Dobrze pomyślane. Czy przewidziane są jakieś roboty i w delcie Hapi?”

„Tak. Nawet poważne. Horus, oby żył wiecznie, pamięta, że książę już przed trzema laty składał w tych sprawach wnioski. Obecnie powołano specjalną komisję, która je rozpatrzy i zadecyduje, co ma być zrobione. Przewiduje się generalny remont i rekonstrukcję umocnień na granicy z Libią, wznoszenie twierdz i portów na wybrzeżu, a także budowę nowych statków zarówno handlowych, jak wojennych. Nasz Pan uważa, że właśnie od morza mogłoby nam grozić największe niebezpieczeństwo”.

Menkaure nie był tylko lekkomyślnie lubiącym się bawić młodzieńcem. Otrzymał staranne wykształcenie strategiczne i od razu zorientował się, że zarządzenia ojca podyktowane zostały troską o obronność państwa. Na wszystkich granicach Kemet panował spokój i jedynie wybrzeże narażone było na łupienie, napady sąsiadów z drugiej strony Wielkiego Zielonego<sup>\*</sup>. Następca tronu miał wprawdzie

inne plany, zorientował się jednak, że obecnie nie zdoła ich zrealizować. No cóż, kiedyś, w przyszłości, on będzie decydował o wszystkim w tym państwie.

Wielkie Zielone – staroegipska nazwa Morza Śródziemnego.

„Przewidziano również – ciągnął dalej minister – dodatki dla żołnierzy i oficerów za służbę na pustynnych terenach. A od nowego roku, jeśli zbiory dopiszą, wojsku i policji też będzie lepiej”.

Menkaure uśmiechnął się. Musiał przyznać, że ojciec, oby żył wiecznie, jest naprawdę wielkim władcą. Przycisnął możnych – kapłanów i ziemiaństwo – a faworyzuje wojsko. W razie jakichkolwiek buntów, będzie miał w rękę posłuszną sobie siłę, gotową na każde skinienie Horusa zgnieść wroga wewnętrznego. Najwidoczniej w pałacach arystokracji i w świątyniach dobrze to rozumiano. Stąd pośpiech w płaceniu podatku.

„A chłopci nie buntują się? Nie uciekają z robót publicznych?”

„W tym roku główny budowniczy nawet nie musiał wyznaczać nomom, ile rąk do pracy mają dostarczyć. Zgłosiło się tylu, że raczej był kłopot z przyjęciem ich wszystkich. Zbiory były słabsze niż w latach ubiegłych, bo bóg Hapi poskąpił wody i rzeka nie wystąpiła z brzegów tak wysoko, jak zwykle. A ludziom na wielkich budowach dają dobrze jeść, chłop nigdy tak nie je w domu. I po sezonie wraca do rodzinnej wsi w nowej szacie, z dobrym zbożem na siewy”.

„Ale kijów im też nie żalują – roześmiał się następca tronu – sam widziałem”.

„Do kijów jesteśmy wszyscy przyzwyczajeni od pierwszych dni życia. Pracujący na roli też dostają baty, jeśli nie od pana, to od wójta czy pisarza. Praca przy budowie Domu Miliona Lat lub innych

robotach publicznych nie jest gorsza niż gdzie indziej. Co dziesiąty dzień mają wolny, nie idą do roboty w święta, których przecież w okresie przyboru wód rzeki jest aż nadto. Niektóre trwają po dwa, trzy dni. Horus, oby żył wiecznie, bardzo tego przestrzega. Kapłani mogą narzekać, że im się zboże zabiera, ale byłoby jaskrawą nieprzyzwoitością, gdyby któryś z nich nawet pisał, iż władca nie dba, aby lud żył w pobożności i czcił bogów”.

Wbrew obawom młodego księcia ojciec powitał go nad wyraz łaskawie. Wyraźnie się ucieszył z przyjazdu syna. Nie pozwolił mu ucałować ziemi, lecz posadził tuż obok siebie, po prawej stronie tronu.

„Dobrze wyglądasz, Menkaure. Jesteś młody i silny, przyszłość przed tobą. Przypominasz mi moje młode lata. Mam nadzieję, że twoje panowanie będzie szczęśliwsze od mojego. Ludzie uczą się na swoich błędach, ty się ucz na moich”.

„Ojcie, oby żył wiecznie, ale i ty cieszysz się dobrym zdrowiem. Oglądam cię młodszym i silniejszym niż kiedykolwiek w ostatnich latach”.

Władca nieco przytył, twarz miał opaloną od słońca, znać, że często przebywa na świeżym powietrzu, a nie zamyka się już w swoich komnatach na pierwszym piętrze pałacu. Wzrok miał żywy, ruchy energiczne.

„Tak, lepiej się ostatnio czuję, ale czy to potrwa długo? Nadchodzi czas wielkiej podróży. Ozyrys czeka na mnie niecierpliwie”.

„Nie mów tak, ojcie. Będziesz żył wiecznie”.

„Dochodziły mnie słuchy – władca przeszedł do spraw konkretnych – o twoich wojskowych rządach. Jestem z nich na ogół zadowolony. Naturalnie popełniałeś duże błędy i małe głupstwa, ale

młodości dużo się wybacza”.

Księżę milczał. Nie był pewien, co ojciec ma na myśli.

„Dobrze, że dbasz o bojową sprawność żołnierzy – ciągnął Chafre. – Ale wielkich manewrów nie należy urządzać w innych porach, tylko po żniwach. Inaczej niszczy się pola uprawne i odciąga ludzi od pracy. A poza tym dbając o sprawność żołnierzy, zapominasz o oficerach. Cóż to za wojskowy, którego na manewry niosą w lektyce?”

Menkaure zarumienił się. To on i jego sztab tak podróżowali.

„To synowie pierwszych dygnitarzy w kraju”.

„Niech więc i oni nauczą się jeść chleb z czosnkiem i nosić wór z wyposażeniem na plecach. Paniczyków w armii nie potrzeba”.

„Będzie, jak rozkazałeś, ojcze”.

„Poza służbą, co innego, ale w czasie pełnienia swoich obowiązków wszyscy muszą być równi”.

Menkaure milczał. Wiedział, że zasłużył na tę naganę.

„Ale mniejsza o to. Natomiast dlaczego samowolnie powiększyłeś oddziały wojsk?”

Następca tronu próbował się bronić:

„Wiem, ojcze, że skarb jest pusty. Nawet ty musisz się liczyć z wydatkami! A tuż nad granicą pasą się ogromne stada bydła. Magazyny pełne są zboża. Składy zawierają wielkie ilości czerwonej miedzi i innych dobytków. Dlatego zwiększyłem liczbę żołnierzy i przesunąłem garnizony nad granicę. Wypadniemy na nich zniecka i w parę dni zakończymy tę błyskawiczną wojnę. Zdobędziemy nie tylko trzodę, lecz i dziesiątki tysięcy niewolników. Zapełnimy nimi majątki państwowe i świątyni”.

„Plan jest bardzo dobry – pochwalił władca – ale ma dwie wady”.

„Jakie?”

„Pierwsza: wiadomo, gdzie i kiedy rozpoczyna się wojna, ale tylko bogowie wiedzą, gdzie i kiedy się kończy. Znam z historii wiele takich wojen, które zamiast zwycięstwa przyniosły klęskę”.

„To się nie zdarzy”.

„Być może. Rzeczywiście, Libia od lat nie powiększa swojej armii i nie koncentruje jej na naszych granicach. Nie wiadomo jednak, jakie sojusze łączy ją z innymi naszymi sąsiadami. Czy napaść na Libię nie zmieni się w wielką wojnę?”

„Na pewno nie”.

„Przyjmijmy, że się nie mylisz. A wiesz dlaczego Libia nie spodziewa się naszego napadu i dlaczego nie trzyma armii na granicy?”

„Dlaczego?”

„Kiedy umarł mój brat Redzedef...”

„On był uzurpatorem” – przerwał Menkaure.

„To nie takie proste, jak o tym uczą kapłani w szkołach. Nasz ojciec, wielki Chufu, na starość często zmieniał zdanie. Swoich czterech synów kolejno chciał widzieć na tronie i potem ich z niego zdejmował. W Domu Życia znajdziesz co najmniej trzy czy cztery nominacje mianujące mnie następcą tronu i pisma odwołujące te zarządzenia. Redzedef miał także te dokumenty. Kiedy ja wstąpiłem na tron, jego syn, czyli mój bratanek, wziął w posiadanie Libię. Zjechaliśmy się na granicy i poprzysięgli wieczny pokój. Za naszą opiekę wojskową Libia zobowiązała się co roku składać nam niewielką zresztą daninę. Dziś w tym państwie panuje już prawnuk mojego ojca, ale danina płacona jest punktualnie. Nasze narody mówią zbliżonym językiem. Jak możesz wymagać, żebyśmy łamali przysięgę i napadali na dobrego sąsiada?”

„Libia nie raz i nie dziesięć razy łamała zawierane z nami przy-  
mierza. Pełno o tym wiadomości w Domu Życia”.

„To prawda. Zdarzali się tam władcy przeniewiercy. Ja jednak do  
nich nie będę należał. Żaden pisarz nie zanotuje, że Horus Chafre  
miał dwa języki”.

Menkaure zrozumiał, że przegrał.

„Będzie, ojcze, jak zechcesz. Kemet jest twój. Podpisałem zarzą-  
dzenie, by zwolnić powołanych przeze mnie żołnierzy”.

Ojciec łagodził sprawę.

„Wierz mi, robię dobrze. Nie chcę nic innego, jak zostawić ci  
Kemet wielki i silny. A dwie są rzeczy, które rujną państwo: wojna  
i budowa Domu Miliona Lat. Tej budowy nie można uniknąć, bo  
bogowie tego wymagają. Zrobiłem jednak głupstwo tworząc ją pra-  
wie tak wielką, jak Achet Chufu. Trzeba było zadowolić się przy-  
najmniej o połowę mniejszą. Wtedy starczyłoby rąk do pracy przy  
kanałach, zbiornikach i powiększaniu terenów uprawnych”.

„Zwycięska wojna daje niewolników i wtedy oni wykonują pra-  
cę”.

„Nawet najwspanialsze zwycięstwo drogo kosztuje. Leniwi i ma-  
rzący o zemście niewolnicy nigdy nie zastąpią naszych ludzi, którzy  
zginęliby na wojnie. Cena zwycięstwa jest równa cenie klęski. Na  
wojnie zyskują wyłącznie kapłani, nomarchowie i arystokracja”.

„Dlaczego?”

„Bo władza Horusa upada, a oni stają się silniejsi. Mój ojciec  
Chufu myślał podobnie jak ty. Prowadził wiele wojen, wszystkie  
zwycięskie. Podbił całą Libię. Swojego syna osadził na tamtejszym  
tronie. Przygnał setki tysięcy niewolników. Co mu zostało z tych  
zwycięstw? Nawet Domu Miliona Lat nie mógł pokryć wykładziną,  
bo skarb był zupełnie pusty, a wielkiego władcy byle nomarcha nie

chciał słuchać. Po jego śmierci jeszcze przez cztery lata wykańczano Dom. Świątynie zabierały większość majątków państwowych pod zastaw. Zbiory nie pokrywały procentów od zaciągniętych pożyczek. Oto cena zwycięstw Horusa Chufu...”

Menkaure milczał. Uczono go historii, ale w ten sposób o jego wielkim dziadku nikt nie mówił.

„Kiedy Radzedef – ciągnął dalej Chafre – po wstąpieniu czy też, jak chcą inni, po zagarnięciu tronu mianował mnie zarządcą Górnego Kemet, żaden nomarcha nie uznawał władzy syna królewskiego. Wielu z nich wysłało pisma, że nie otworzy bram swojego miasta. Nie lepiej się działo i z moim młodszym bratem, synem królewskim z kraju Kusz. Z trudem zdobywał środki na opłacenie małego przeciwieź garnizonu wojskowego, jedynej podpory jego władzy. Można nie mówić dobrze o moim poprzedniku, jednak udało mu się do tego stopnia opanować sytuację, że nasza dynastia utrzymała się na tronie. Zresztą właśnie przy pomocy wojsk libijskich. Bo gdyby Radzedef ich nie posiadał, rozzuchwaleni możnowładcy i kler szybko by się z nami załatwili. Tak jak się to stało z Horusem Huni z trzeciej dynastii, któremu nawet nie pozwolono dokończyć budowy Domu Miliona Lat”.

„A nasza dynastia?” – zapytał Menkaure.

„Pochodzi z bocznej linii tamtych władców. Horus Snofru musiał długo i ciężko walczyć, zanim znowu zjednoczył cały Kemet pod swoją władzę. Ja, kiedy już włożyłem pszent na skronie, byłem biedniejszy niż arcykapłan boga Ptaha w mojej stolicy. Przez dziesięć lat płaciłem długi, wykupywałem zastawione majątki i dopiero wtedy mogłem rozpocząć wielką budowę. A dałem sobie z tym radę dzięki temu, że na naszych granicach panował spokój. Wrogów najpierw

staralem się poróżnić między sobą, a później podporządkować mojej władzy. Naprawdę, synu, to były bardzo ciężkie lata. Dzisiaj kraina Kemet jest potężniejsza niż była kiedykolwiek. Taką ci ją zostawię i chcę, abys taką przekazał swojemu następcy”.

„Zrobię wszystko, żeby była jeszcze potężniejsza”.

„A co mówią ludzie w Delcie?”

„Płaczą, że gnębią ich podatkami”.

„Lud?”

„Tak. Właściciele majątków i kapłani”.

„To nie lud. To często wrogowie ludu i wrogowie państwa”.

„Zbyt surowo ich sądzisz, ojcze”.

„Być może – zgodził się Chafre. – Jeśli jednak państwo ma być silne, a jego władca potężny, ci ludzie muszą być słabi i posłuszni. Im nie zależy na potędze państwa, lecz na powiększeniu swoich majątków. Ile razy władza Horusa słabła, Kemet rozlatywał się natychmiast nie tylko na dwa państwa: górne i dolne, ale każdy nom stawał się państwem. Naturalnie bywają wyjątki. Są ludzie oddani władcy, nawet wśród arcykapłanów i wśród nomarchów. Snofru, kiedy ponownie jednoczył nasz kraj, miał przy swoim boku takich kapłanów i takich nomarchów, ale to są, niestety, jedynie wyjątki. Jeśli Kemet kiedykolwiek upadnie i podbiją go obcy, stanie się to za sprawą kapłanów i arystokracji”.

„Zmęczyłeś się, ojcze. Odpocznij, może dokończymy rozmowę innym razem”.

„Już ją kończymy. Chciałbym, abys mnie zrozumiał i zapamiętał moje rady. Rządzeniem wielkim państwem to ogromnie trudna sztuka, wierz mi”.

„Czy można jednak, ojcze, patrzeć, jak wróg zbroi się i spokojnie czekać, aż na nas napadnie?”



„Dlatego nie wolno żałować zboża na wywiad. Musimy zawsze wiedzieć, co się dzieje u sąsiadów. Jeśliby się okazało, że wojna jest nieuchronna, musielibyśmy pierwsi uderzyć. Ale jestem zwolennikiem pokoju. Dobrze znam okropności wojny. Sam byłem o włos od śmierci. Jednakże nie redukuję wojsk. Nie zrobiłem tego również w czasie najgorszych trudności finansowych. Teraz także przystępujemy do wzmocnienia naszej armii, lecz to zupełnie co innego niż łupieski napad na sąsiada”.

„Dziękuję ci, ojcze, za te rady. Będzie, jak zechcesz”.

„Jeszcze jedna sprawa – Chafre zatrzymał syna – narobiłeś długów”.

Młody książę zmieszał się. A więc nie da uniknąć się rozmowy na ten niemiły temat, którego obawiał się najbardziej.

„Musiałem przecież żyć na odpowiedniej stopie. Nie niższej niż pierwszy lepszy nomarcha”.

„Dobrze, że mi mówisz o tym, jak żyją nomarchowie. Trzeba będzie dobrać się i do nich. Prawie każdy nom zalega w opłatach. Tłumaczą się, że im ledwie na chleb z czosnkiem starcza. Mnie jednak chodzi o twoją nadmierną hojność. Zbyt szeroką dłonią rozdawałeś złoto i naszyjniki. Fałszywi przyjaciele chętnie brali, a za plecami śmieli się z twojej głupoty. Gdybyś się znalazł w potrzebie, żaden z nich nie dałby ci jednego ziarnka jęczmienia. Znacznie gorzej, że pożyczasz w świątyniach. Stajesz się przez to zależny od pierwszego lepszego kapłana”.

Menkaure zaczerwienił się. On także słyszał, że niektórzy, korzystając z hojności następcy tronu, odwdzięczali mu się prześmiewkami.

„Trudno, ojcze, znaleźć prawdziwych przyjaciół...”

„Bo nie należy ich szukać wśród rozpróżnionych synów nomarchów czy bogatych ziemian, których dzieci nie wiedzą, co robić

ze zbożem, lub jeszcze bogatszych arcykapłanów. Tym razem zapłać twoje długi, ale to już po raz ostatni”.

„Dziękuję ci, ojczy, obyś żył wiecznie. Czy wolno mi spytać o jedno?”

„Pytaj”.

„Dlaczego zesłałeś na wygnanie młodego Kemheseta?”

„Więc tak przedstawiono ci tę sprawę! Wcale go nie wygnałem. Najwyższy Dostojnik gorąco zachwalał mi tego młodego człowieka. Podobno niesłychanie zdolny. Mógłby w tym wieku zostać głównym budowniczym. Pomyślałem sobie, że trzeba go wypróbować, aby mój syn miał kogoś, kto mu zbuduje Dom Miliona Lat. Posłałem więc Kemheseta w góry Bechen, aby tam przerzucił drogę łączącą Hapi z kopalniami i wybudował studnie. Mianowałem go głównym inżynierem tych robót. Stanowisko, o jakim trudno nawet marzyć początkującemu technikowi. Od niego samego teraz zależy dalszy rozwój jego kariery. A ty, synu, nie słuchaj ludzi szepczących po cichu do ucha. Jeżeli masz jakie wątpliwości, przyjdź do mnie, pytaj. Ja ci wyjaśnię. Ale teraz wypocznij, ustal wszystko, co trzeba z przełożonym Domu Oręża, a za dziesięć dni wracaj do swoich pułków. Tylko nie na statku z flecistkami, lecz szybką łodzią lub na grzbiecie osła. I zaprowadź większą karność wśród oficerów”.

„Będzie, jak postanowiłeś” – Menkaure ucałował ręce władcy.

## PUŁAPKA ŚMIERCI

Achmed Hosni umilkł. Milczałem i ja. Przyznaję, że – z pewnością pod wpływem wina – straciłem niemal poczucie czasu. Gospodarz upił łyk ze srebrnego pucharka i po chwili ciągnął dalej swą opowieść.

– Wtedy obudziłem się. Chciałem wstać z sofy, ale ten dziwny sen tak mnie zmęczył, że nie miałem siły. Więc znowu zapadłem w drzemkę. I znowu znalazłem się pod wysoką skarpą u stóp piramid. Podniosłem głowę.

Ujrzałem je. Wszystkie trzy, wyniosłe na szczycie skarpy Nilu. Ich piękne okładziny lśniły w słońcu. Zauważyłem jednak, że czubek piramidy Cheopsa już się nie złoci, a jedna z kolumn świątyni grobowej leży strzaskana na ziemi. Miasto umarłych, rozciągające się u stóp piramid, było puste i zasypane piaskiem. Wiele grobowców rozrzucono. Prawie każdy nosił ślady podkopu i włamania.

Zębowi czasu nie oparł się i wielki sfinks. Piasek zasypał jego łapy. Jedyne głowa Chefrena sterczała widoczna z daleka. Choć symbol jego władzy, ureusz, też został obdarty ze złota.

Nawet dolina Nilu opustoszała w pobliżu piramid. Jeden jedyne, prawie rozwalony dom przycupnął nie opodal drogi wiodącej pod górę, daleko widać było słup ognia i pióropusze dymu.

Na progu zrujnowanego domu wysoki mężczyzna wpatrywał się w daleki pożar. Obok niego stał chłopak, może dwunastoletni, może trochę starszy.

„To chyba miasto On płonie”.

„Nie, to nie On – odpowiedział ojciec. – On leży bardziej na południe. Chyba Tura? Osada dla pracujących w kamieniołomach”.

„Czy oni tu znowu przyjdą?”

„Nie wiem, synu. Może i przyjdą”.

„Znowu będą rabować i grabić?”

„Takie czasy nastały”.

„Dlaczego Horus im nie zabroni?”

„Nie wiem – ojciec nawet nie usiłował wytłumaczyć dziecku, że wielkie i potężne niegdyś państwo Kemet wstrząsane jest stałymi rozruchami. Że miasto, którego nazwa brzmiała Niezmienna jest Piękność\*, wielokrotnie złupiły rozmaite bandy. Każdy, kto zdołał wokoło siebie skupić garstkę ludzi, ogłaszał się Horusem i kładł na swoje skronie biało-czerwona koronę, aby po paru dniach utracić ją wraz z głową w walce z podobnym samozwańcem.

Niezmienna jest Piękność – staroegipskie Men Nefer, z greckiego Memfis; początkowo była to nazwa kompleksu grobowego faraona Pepe I (VI dyn.), później zaczęto nazywać tak dawne miasto Inbu-Hedz (co znaczy: Białe Mury).

Może w którymś z miast: Men Nefer czy Waset lub w którejś oazie ocaleli jeszcze potomkowie dawnych władców krainy Kemet? Jednakże dzisiaj ich władza ograniczała się najwyżej do granic miasta. Nomarchowie nie słuchali niczyich rozkazów, skłócenii ze sobą. Także świątynie prowadziły walki o zdobycie jak największych ilości ziem uprawnych, których wciąż ubywało, bo nie było komu pilnować oczyszczania kanałów.

Sąsiedzi nie pozostawali bierni i nie przyglądali się beczynnemu

upadkowi państwa. Kraj Kusz już dawno przegnał gubernatora i jego wojska. Libia zagarnęła całą zachodnią część delty. Nomarchowie, walczący o powiększanie swoich państewek, nie mieli ani siły, ani ochoty przeciwstawiać się tym najazdom. Przeciwnie, wielu z nich zabiegało o względy wroga, usiłując uzyskać od niego pomoc przeciwko swoim współrodakom.

Chłopi i rzemieślnicy, zwykły lud, który za czasów Chafre i Menkaure cieszył się względną swobodą i pewnym dobrobytem, obecnie – gnębiony przez posiadaczy wielkich majątków, świątynie i nomarchów nakładających stale nowe, coraz większe daniny – nie mógł znaleźć obrony i sprawiedliwości, aż wreszcie, zrozpaczony, zaczął go szukać w ostrzach sierpów przekuwanych na miecze.

Nastał więc czas, o którym później śpiewano pieśni i pisano w słowach pełnych przerażenia:

„...biedni stali się posiadaczami dóbr; ten, którego nie stać było dawniej na parę sandałów, jest obecnie posiadaczem skarbów, wśród bogaczy rozlega się lament, podczas kiedy biedni radują się. Ludzie powiadają: zabierzemy się do bogaczy, którzy są wśród nas... pałac, kolumnady ogarniają płomienie, budowle na prowincjach są zniszczone. Złoto, srebro i drogie kamienie ozdabiają dziś szyje niewolnic, podczas gdy szlachetne damy wzdychają: ach, gdybyśmy tylko miały coś do zjedzenia... Chodzą one smutne z powodu łachmanów, którymi się okrywają”<sup>\*</sup>.

Wg prof. Kazimierza Michałowskiego „Nie tylko piramidy”.

Niestety, wśród biednych, podobnie jak i wśród bogatych, nie było jedności. Anarchia rządziła wielkim do niedawna państwem.

O tym wszystkim wiedział Iczi, ale czy mógł to zrozumieć jego

mały syn Chechi? Dziecko widziało tylko pożary, grabieże. A czuło tylko głód.

„Gdyby oni przyszli, synku, ty ukryj się tam, gdzie ci mówiłem. Zapamiętaj sobie także wszystko to, co ci pokazywałem i tłumaczyłem. Może się zdarzyć, że będziesz musiał mnie zastąpić”.

„Pamiętam, ojcze. Mam zresztą papirus, który zapisałeś”.

„Musisz nauczyć się jego treści na pamięć. A papirus zniszczyć. By nigdy nie dostał się w obce ręce”.

„Ja już umiem wszystko. Mogę go od razu podrzeć na drobniutkie kawałki”.

„Jeszcze nie teraz. Teraz go schowaj. Przyjdą może takie chwile, że ze strachu zapomnisz nie tylko słów świętego tekstu, ale nawet własnego imienia”.

Zjawili się o świcie. Tak nagle, że Iczy nie zdążył się skryć. Zdołał jedynie wyprawić z domu syna. Dowodził nimi wysoki mężczyzna z czarną brodą, przyciętą w kwadrat. Jakby chciał się upodobnić do twarzy Chafre wykutej w skale. Najwidoczniej ten człowiek nie wiedział, że dawni władcy byli zawsze gładko wygoleni, zaś ich brody na posągach to część oficjalnego, rytualnego stroju. Nie wiedział także, że dawni władcy nosili pszent w czasie uroczystości, a gdy dowodzili wojskiem, przywdziewali żółty hełm, cheperesz. Jego głowę zdobiła spiczasta czapka, która miała przypominać białoczerwona koronę krainy Kemet.

Iczy stał w progu domu patrząc na przybyszów.

„Dlaczego nie padasz na twarz przed moim majestatem?! – zawołał mężczyzna. – Czy nie widzisz, że przed tobą stoi Horus?”

Iczy padł na kolana i ucałował ziemię.

„Obyś żył wiecznie, Horusie – powiedział. – Wybacz mi, nie wiedziałem, że jesteś władcą Kemet. Znałem cię przecież jako handlarza bydła z On”.

„Moi ludzie wytłumaczyli mi, że powinienem ozdobić swoją głowę koroną. Mój ojciec, wielki Re, dał mi znak”.

Iczi milczał. Wszyscy, którzy się tutaj zjawiali, aby grabić i rabować grobowce, byli bez wyjątku synami Re. Każdy z nich otrzymał znak.

„Horusie, żyj wiecznie, ale wybacz swojemu słudze, że nie mogę cię niczym ugościć. Nawet pszennego placka nie mam z czego upiec. Żywimy się korzeniami papirusów”.

„Nie chodzi mi o jedzenie. Mam dosyć dla siebie i mego wojska, starczy jeszcze i dla ciebie”.

„Czego więc szukasz, panie?”

„Złota. Potrzebne mi złoto, dużo złota. Kiedy je zdobędę, zwyciężę tego fałszywego Horusa z nomu Biały Mur i zdobędę Men Nefer”.

„O panie, tu złota nie znajdziesz. Twój poprzednik zdarł je do ostatniego listka, nawet na szczytach Domów wielkich władców nic nie zostało”.

„Nie będę go szukał na szczytach, lecz wewnątrz”.

„Tam także nic nie ma. Grobowce stoją rozbite. Bardzo wiele *ka* przepadło, bo złodzieje nie uszanowali nawet ciała. Nie zadowolili się zastawą grobową czy maską pośmiertną. Kapłani świątyn grobowych dawno uciekli. Jeśli mieli jakieś skarby, zabrali je ze sobą. Teraz temu, kto umrze w tych stronach, nie ma kto otworzyć ust<sup>2</sup>\*”.

Otwarcie ust – najważniejsza ceremonia pogrzebowa, przy' wracająca nieboszczykowi życie wieczne.

„Jeśli będziesz tak bezczelnie kłamał, to ja tobie zamknę usta, i to raz na zawsze. W tej chwili” – były handlarz byłym sięgnął po miecz.

„Nie kłamię, panie. Wejdź na górę, sam zobaczysz, jak wygląda miasto umarłych. Stąd także widać Domy Miliona Lat odarte ze złota”.

„Łżesz! Ja wiem wszystko. Mój ojciec, bóg Re, wszystko mi powiedział. Wskazał na Wer Chafre i rzekł: Idź tam, synu, a znajdziesz złoto, które uczyni cię panem całej krainy Kemet. Strażnik tego domu, Iczu, wskaże ci drogę”.

„Strażnikami byli kapłani. Uciekli przed laty”.

„Nie nadużywaj cierpliwości mojego majestatu. W Domu Życia w Men Nefer wyraźnie zapisano, że Chafre twoim przodkom powierzył tajemnicę i kazał im strzec skarbów. A są one nieprzebrane. Kiedy jeszcze handlowałem bydłem, pewien kapłan z Domu Życia sprzedał mi stary papirus. Sam główny pisarz wykaligrafował to starannie”.

„O panie, być może, że tak było. Ale odkąd Chafre spoczął w swoim Domu, minęło przeszło pięćset lat. Moi przodkowie podobno dawniej byli bogaci. Wywodziли się od jakiegoś inżyniera, który budował świątynię, a ja dzisiaj jestem zwykłym chłopem. Wiem, że twoi poprzednicy wchodzili do środka wszystkich Domów Miliona Lat, ale i ich musiał ktoś uprzedzić, bo u Chufu znaleźli pusty sarkofag. Nawet pokrywy nie było. A u Chafre odnaleziono jakieś ciało, także bez maski i bez zastawy grobowej. Chcesz, panie, pokażę ci wejście do korytarza wiodącego w głąb Domu Miliona Lat. Jest ono zasypane piaskiem, lecz bez wielkiego trudu można się tam przecisnąć”.

„Papirus, który mam, mówi, że to jest fałszywe wejście. Prawdziwe jest zupełnie gdzie indziej”.

„Szukaj więc go, panie. A kiedy znajdziesz złoto, daj mi chociaż jednego debena\* lub choćby parę kite”.

Deben – ok. 20 g jakiegoś metalu (złota, srebra, miedzi) dzielił się na 10 kite.



„Ty mi pokażesz to wejście”.

„Nie znam go”.

„Więc zginiesz!”

„Masz, panie, miecz u boku i oddział zbrojnych ludzi. Możesz spełnić swoją groźbę, ale co ci z tego przyjdzie? Złota i tak nie znajdziesz, bo go nie ma!”

„Złoto jest i znajdę je, choćbym miał cały Dom Chafre rozebrać!”

„To trwałoby bardzo długo... Chafre podobno budował go przez szesnaście lat, mając do pomocy aż cztery tysiące murarzy i kamieniarzy oraz wiele tysięcy robotników”.

„Budować trudniej niż rozwalić” – roześmiał się samozwańczy władca.

„Na pewno – zgodził się Iczy – ale i rozbieranie takiego kolosa to też praca na lata. Do samego usunięcia gruzu i kamieni potrzeba tysięcy rąk. Twojego wojska za mało na to, a nikogo innego tak łatwo nie znajdziesz”.

„Nie udawaj głupszego niż jesteś. Nie muszę rozbierać całego Domu. Wystarczy, jeżeli w miękkim kamieniu będę bił szyb na ukos, od dołu do środka. Gdybym nawet nie trafił na korytarz, to, robiąc przejście na boki i w dół lub w górę, znalazłbym wreszcie to, czego szukam. A przebicie takich korytarzy nie przedstawia większych trudności, ludzi mam dosyć. Tym bardziej że obiecałem im połowę tego, co znajdziemy. Będą pracować dniem i nocą. Ale ty tego nie zobaczysz, bo ciebie zabiję. Umrzesz bez pogrzebu, chyba że jakaś hiena zlituje się nad tobą”.

Iczy milczał przerażony. Ten człowiek gotów spełnić swą groźbę. I rzeczywiście, obmyślona przez niego metoda szukania skarbów mogłaby doprowadzić do pozytywnych rezultatów. Wprawdzie skarby te były znacznie mniejsze, niż to sobie fałszywy Horus wyobrażał.

Iczi wiedział jednak, że nie chodzi o stratę złota czy srebra, lecz o spokój wielkiego władcy Kemet, który przed wiekami zaufał któremuś z jego pradziadów, i że dotychczas nikt z jego rodziny tego zaufania nie zawiódł.

Jak każdy człowiek, Iczi chciał żyć – instynkt życia jest przecież silniejszy ze wszystkich. Każe się ludzi śmiertelnie chorym aż do ostatniej minuty. Toteż daleki potomek inżyniera, który wznosił świątynię, i pięknej księżniczki Heknu, gorączkowo myślał, w jaki sposób zapobiec nieszczęściu.

„Pokaż mi drogę do skarbów, a dam ci tyle złota, ile zdołasz unieść – kusił był handlarz bydłem. – Dobrze wiem, że znasz do niego drogę. A twojego Chafre w ogóle się nie dotknę. Po co mi on? Zostawię mu nawet maskę na twarzy, chociaż pewno też jest ze złotej blachy”.

„Naprawdę, panie, dasz mi złoto?”

„Daję ci słowo syna Re”.

„Przypominam sobie, panie – ożywił się Iczi – jak mój dziad opowiadał, że w Domu Miliona Lat Chafre znajduje się sala pełna złota. Prowadzi do niej korytarz z zewnątrz zakryty wielką płytą prostokątną, gdy tymczasem inne płyty okładzin są dużo mniejsze i bardziej kwadratowe. Jeszcze jako dziecko bawiąc się u stóp tego Domu Miliona Lat, odnalazłem taką płytę. Kiedy byłem dorastającym chłopakiem, próbowałem ją odsunąć. Ale chociaż pomagali mi rówieśnicy, kamień nie drgnął. Widocznie było nas za mało, aby go poruszyć”.

„Pokaż mi ten kamień! Już my sobie z nim poradzimy”.

„Jestem głodny, panie. Osłabłem tak, że ledwie mogę ustać na nogach”.

„Hej, dajcie coś zjeść temu człowiekowi – polecił dowódca. – A

pilnować dobrze, żeby nie uciekł. Najlepiej założyć mu sznur na nogę i niech dwóch ludzi go trzyma”.

Przyniesiono chleb, mięso, fasolę i piwo. Iczi jadł łapczywie, był naprawdę bardzo głodny. Niestety, jego plan zyskania na czasie, aby uciec przy pierwszej nadarzącej się okoliczności, zawiodł. Były handlarz doskonale wiedział, jak się zabezpieczyć, aby mu żadna krowa nie uciekła. Teraz użył tego chwytu wobec więźnia.

„Długo będziesz się obzerał?” – popędzali go strażnicy.

„Już skończyłem. A wy, panowie, zaopatrźcie się w wodę, bo na górze nie ma ani jednej studni. Podobno dawniej była w świątyni Chufu, lecz teraz nie znajdziemy jej pod gruzami. Pewnie kapłani zasypali ją uciekając”.

„O wodę się nie martw, tylko prowadź” – upominał samozwań- czy Horus.

„Miej też, panie, cierpliwość, jeśli od razu nie odnajdę płyty. Wiele już lat minęło od czasów, kiedy bawiłem się w poszukiwacza skarbów”.

„Mój kij ma tę zaletę, że odświeża pamięć. Nie zapominaj o tym ani przez chwilę!”

Popędzono Iczi na górę. Trzykrotnie obszedł Dom Miliona Lat Chafre udając, że szuka wejścia do ukrytych skarbów. Strażnicy i wojsko fałszywego władcy także wypatrywali prostokątnej płyty, Wreszcie były handlarz bydlęm stracił cierpliwość. Wydobył miecz.

„Gdzie ta płyta? Pokaż albo zginiesz!”

„Pozwól mi, panie, powtórnie obejść Dom. Powinniśmy ją wresz- cie spostrzec”.

„Jeśli nas zwodzisz... Pamiętaj, że to ostatni raz!”

Iczi znów oglądał płyty wykładziny. Czasami wracał kilka kro- ków lub obchodził, aby popatrzeć na czerwony granit z większej

odległości, powoli, z namysłem. Wreszcie wskazał:

„Widzicie ten kamień w siódmym rzędzie u góry? To nie są dwie kwadratowe płyty, lecz jedna z wyłobionym przez środek rowkiem. W ten sposób podobno budowniczości zamaskowali wejście do złotej sali. Inaczej każdy mógłby się domyślić, że taki wielki kamień położono tu nie bez powodu”.

„Jest płyta! – ucieszyli się strażnicy. – Teraz dokładnie widać, że to nie szpara pomiędzy dwoma głazami, lecz bruzda w kamieniu!”

„Twoje szczęście” – dowódca schował miecz do pochwy.

„Jak się tam dostać?” – zastanawiali się żołnierze.

Kilku z nich próbowało wdrapać się po granitowej ścianie. Udało się to tylko jednemu, który wprawdzie dotarł do płyty, ale kiedy usiłował ją poruszyć, obsunął się po gładkim kamieniu w dół.

„Trzeba zbudować rusztowanie” – zarządził fałszywy Horus.

„Ale z czego?”

„Mało to płyt piaskowca w mieście umarłych? Znajdzie się tam zapewne i trochę drewna. A piasku nie brak na miejscu”.

Przez dwa dni żołnierze budowali odpowiednią rampę. Przez cały ten czas Iczy był pieczołowicie pilnowany: nie zdejmowano mu sznura z nogi, który na zmianę trzymali strażnicy. Wreszcie nasyp zbudowano. Zakończono go małym pomostem, na którym mogło stanąć kilkunastu ludzi.

„Wejź na górę i otwórz to wejście” – rozkazał dowódca.

Iczy posłusznie wspiął się na pomost. Ale na próżno zarówno on, jak i dwóch jego strażników usiłowali usunąć czy podważyć płytę. Nawet kiedy tej sztuki chcieli dokonać inni żołnierze, w znacznie większej liczbie – stawiała opór i wtedy, gdy cała gromada żołnierzy

zaczęła się z nią mocować.

„A może znów sobie z nas zakpiłeś?” – dowódca sięgnął do pasa po broń.

„Panie, sam posłuchaj. Za tym kamieniem dudni pustka. Uderz dla porównania w inne płyty. Od razu wyczujesz różnicę”.

Horus wysłał na górę któregoś z generałów. Ten uderzył mieczem w kamień. Zadudniło. Powtórzył cios w innym miejscu, odpowiedzią był jedynie głuchy odgłos.

„On mówi prawdę – generał usiłował wsadzić miecz w szparę, aby podważyć uparte płytę. Bez skutku. – Widocznie maszynieria zacięła się w ciągu tylu wieków, które minęły od jej sporządzenia, albo w ogóle otwór został zamurowany”.

„Trzeba tę płytę rozłupać!” – krzyknął fałszywy Horus.

Być tak blisko skarbów i nie móc się do nich dostać? To by i prawdziwego władcę mogło wyprowadzić z równowagi.

„Musimy zbudować taran” – zdecydował generał.

Znowu upłynęło kilka dni. Zbudowano wysokie rusztowanie, składające się z dwóch słupów wbitych w ziemię i połączonych na wierzchołkach trzecim. Do tej poprzeczki przymocowano liny podtrzymujące długi, ciężki blok kamienia, zaostroszony w szpic. Rusztowanie wzniesiono w takiej odległości od tajemniczej płyty, aby można było blok wprawić w ruch wahadłowy.

Żołnierze rozbujali blok. Ostрым końcem uderzył w granit. Pierwsze uderzenie nie mogło być zbyt mocne, jednak płyta od razu ustąpiła odsłaniając długi, wąski korytarz, stromo opadający w dół.

„Stać! – krzyknął dowódca widząc, że żołnierze rzucili się do środka. – Stać! To może być pułapka!”

Grupa zatrzymała się.

„Idźcie wy – samozwańczy władca wskazał dwóch strażników i Iczii. – Weźcie pochodnie”.

Wdrapali się na górę. Potem, schyleni, zaczęli opuszczać się w dół. Po kilku minutach jeden ze strażników wrócił, trzymając w ręce złoty łańcuch.

„Złoto! Złoto! – krzyczał jak pijany. – Ogromna sala pełna złota. Nieprzebrane skarby! Aż się w oczach mieni!”

Na te słowa tłum żołnierzy za przykładem władcy i generała runął w głąb korytarza. Popychali się i bili przy wejściu, aż połała się krew. Wreszcie zniknęli w ciemnym wnętrzu.

A granitowa płyta bez najmniejszego szmeru przesunęła się na dawne miejsce.

Garstka żołnierzy stojąca zbyt daleko, by wejść do środka razem z innymi, rzuciła się na ratunek. Rozbujano taran. Uderzył w płytę raz, drugi... setki razy. I w końcu pękła. Jeszcze kilkanaście uderzeń i wykruszył się spory otwór. A poza nim ukazał się następny blok granitu.

„Przekleństwo boga Chafre! – odezwały się przerażone głosy. – Uciekajmy, bo i my zginiemy jak tamci! Chafre nie daruje tym, którzy zakłócają jego spokój!”

I żołnierze rozbiegli się w popłochu.

Zła sława tego zdarzenia szeroko rozeszła się po całej ziemi Kemet. A chociaż w tych niespokojnych czasach, gdy „w ciągu siedemdziesięciu dni panowało siedemdziesiąt faraonów” – jak to z drwiną i przesadą napisał w języku greckim w dwa tysiące lat później egipski kapłan Manethon – żaden z tych władców nie odważył się naruszyć spokoju wielkiego Chafre.

Achmed Hosni skończył swoją opowieść. Zapadła cisza. A ja poczułem się już zupełnie trzeźwy – z pewnością to było jednak mocne wino.

– Spełniłem twoją prośbę, panie – odezwał się po chwili Arab. – Tylko tyle wiem o Wer Chafre, co mi się wyśniło tamtego popołudnia.

– I tylko dlatego – roześmiałem się – że kiedyś pana zmorzył upał i miał pan dziwny sen, tak pana obecnie zaintrygował przybysz z Polski interesujący się piramidą Chefrena?

Zauważyłem, że mimo smagłej, prawie brązowej cery, ciemny rumieniec występuje na twarzy Araba.

– Panie – powiedział – poza mną i moim synem jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który zna historię tej piramidy. Uczeni tego nie wiedzą.

– I to wszystko wyśniło się panu?

– Już powiedziałem – bronił się Hosni – że są tajemnice, które przechodzą tylko z ojca na syna. Proszę nie pytać więcej.

Nie chciałem przeciągać struny. W moim pucharku zostało jeszcze trochę wina.

– Wypijmy więc za naszą przyjaźń – zaproponowałem – ale jak kaže polska tradycja, do dna. I zapomnijmy o wszystkim, o czym tu była mowa.

– Za naszą przyjaźń – poważnie powtórzył Arab. – Niech pan zawsze mile wspomina piękny Egipt i swoich przyjaciół nad Nilem. Niech pan do nich jeszcze niejeden raz wróci.

Wypiliśmy do dna.

– Niech pan też pamięta, że wszystko, co powiedziałem, to był tylko sen.

– Mówił pan jednak tak sugestywnie, że zdawało mi się, jak gdybym sam to widział na własne oczy...

– Allah jest wielki. Czyta w sercach ludzkich i pozwala widzieć zamkniętym oczom.

Przed dom podjechał samochód. Domyśliłem się, że po mnie. Wstałem i zacząłem się żegnać z gospodarzem.



## ZNAJOMY Z HOTELU „SKARABEUSZ

Wyjechałem z Kairu i nie było mnie w stolicy przeszło tydzień. Kiedy wróciłem, hotel „Skarabeusz” był wypełniony do ostatniego miejsca. Marzec to jeszcze pełnia wielkiego sezonu turystycznego. Nawet ciemne chmury, które zbierały się na horyzoncie politycznym państw Bliskiego Wschodu w tym 1967 roku, nie odstraszyły tysięcy Europejczyków i Amerykanów spragnionych ciepła i słońca.

Nazajutrz, kiedy jadłem śniadanie, ktoś zapytał mnie po angielsku.

– Pozwoli pan, że się przysiędę?

Spojrzałem. Przedemną stał wysoki mężczyzna w wieku około trzydziestki. Włosy rudawe, twarz, jak to nazywają, „indycze jajo”, tyle na niej piegów.

– Proszę bardzo.

Kiedy siedzi się przy jednym stoliku i czeka na kelnera, łatwo nawiązać rozmowę. Toteż wkrótce wiedziałem, że mój znajomy przybył do Egiptu po raz pierwszy. Nazywa się Harry Walrence, pochodzi z Nowego Jorku i jest archeologiem.

– Ooo? – uprzejmym tonem wyraziłem moje zdziwienie.

– Czyżbym spotkał kolegę?

– Nie – zaprzeczyłem – będąc w Egipcie, trudno jednak nie

zainteresować się archeologią. Zwłaszcza piramidami położonymi tak blisko Kairu.

– Inne zabytki także są godne obejrzenia – Amerykanin podtrzymał rozmowę.

– Naturalnie – przytaknąłem – Luksor, Karnak, Dolina Królów i Dolina Królowych. Świątynie Królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari. Właśnie stamtąd wróciłem. Niestety, aby choć tylko pobieżnie obejrzeć te wszystkie cuda, trzeba byłoby siedzieć w Egipcie całymi latami.

– I wrócić – roześmiał się Walrence – z zamętem w głowie. Zbyt dużo wrażeń jak na paroletni pobyt. Dlatego archeologowie koncentrują się zazwyczaj na jednym zagadnieniu czy na jednej epoce.

– Dla mnie najciekawsze są jednak piramidy. Zwłaszcza ta Chefrena.

Archeolog spojrzał na mnie zdziwiony, aż upuścił widelec.

– Chefrena? – powtórzył z ożywieniem. – To ciekawe...

– Nie wiem dlaczego, ale ta piramida najbardziej mnie zainteresowała. Jest w niej jakiś swoisty czar. Może dlatego, że zachowała się część granitowej okładziny. Może jej proporcje mniejsze o te osiem czy ileś metrów od piramidy Cheopsa, dość że pociąga mnie swoim urokiem.

– A właśnie my przybyliśmy tu jedynie po to, aby złożyć wizytę temu starszemu panu. Mam nadzieję, że przyjmie nas gościnnie, jak przystało na wielkiego faraona.

Widząc z kolei moje zdziwienie pan Walrence uzupełnił:

– Jestem członkiem ekspedycji archeologicznej – spojrzał na mnie i widać stwierdził, że zasługuję na zaufanie, bo dodał: – Naszym zadaniem jest zbadanie właśnie piramidy Chefrena.

– Przecież to już dawno zrobiono przed wami. Pierwszym był, o

ile się nie mylę, były cyrkowiec, Giovanni Baptista Belzoni. On to odkrył wejście do piramidy, wszedł do środka i w komorze królewskiej znalazł pusty sarkofag. Obrabowany przed tysiącami lat.

Amerykanin znów spojrzał na mnie, tym razem baczniej. Jakby się zastanawiał, czy warto z ignorantem poruszać pasjonujące go, lecz uczone tematy. I znów widać ocena wypadła pomyślnie dla mnie.

– Czy pana jednak nie uderzyło – zapytał – że jest to jedyne prawdziwe wejście do piramidy, jakie kiedykolwiek odkryto? Drogi do wszelkich innych szukano przy pomocy dynamitu i drażenia szybów w kamieniu. Weźmy na przykład sąsiednią piramidę Cheopsa. Właściwe wejście do niej nadal pozostało nie otwarte. Wchodzi się szybem wybitym przez któregoś z kalifów.

– Sądzę, że wykrycie wejścia do piramidy Cheopsa nie przedstawia dziś żadnej trudności. Wchodzi się szybem kalifa Al Maamun dlatego, że jest wygodniejszy i wyższy.

– Zgoda. Kalif Al Maamun nie miał pojęcia o archeologii i szukał złota, ale archeolodzy z prawdziwego zdarzenia także mieli trudności ze znalezieniem wjazdu do wszystkich siedemdziesięciu paru piramid, które dotychczas odkryto w Egipcie. A tu nie tylko „amator”, ale i złodzieje, na wiele wieków przed nim, nie mieli najmniejszych trudności. Co więcej – mówił szybko Amerykanin – Chafre był tak gościnny, że dla wygody wizytujących go sporządził aż dwa wejścia. Jedno przed piramidą poniżej jej poziomu, drugie zaś parę metrów wyżej. Jak gdyby przewidywał, że dół może być zasypany piaskiem, więc trzeba kochanym gościom umożliwić inną drogę.

– To górne wejście było chyba szybem wentylacyjnym?

– Być może, ale to bardzo dziwny szyb. Ma identyczne wymiary, co dolny korytarz. W innych piramidach szyby wentylacyjne są

takich rozmiarów, że człowiek się nimi nie przecisnie.

– Jaki stąd pana wniosek?

– Nie tylko mój. Mądrzejsi ode mnie długo się nad tym biedzili.

Po prostu korytarz i komora grobowa z sarkofagiem są atrapami sporządzonymi na użytek złodziei. Mądry faraon przewidywał, że przyjdzie czas, kiedy piramidy będą opuszczone przez kapłanów. Postanowił ułatwić rabusiom dotarcie do miejsca, do którego chciał, żeby dotarli. A ukryć to, co powinno być ukryte.

– Innymi słowy, uważa pan, że piramida zawiera poza tym właściwe komory grobowe? – zapytałem.

– Jestem tego pewien! Jak również i tego, że tamtych właściwych nikt jeszcze nie odkrył. Wszyscy dali się nabrać na podstęp starszego pana.

– Odważna hipoteza.

– Ale prawdziwa. I są jeszcze inne dowody – zapalał się Amerykanin. – Czy pan zna konstrukcję piramidy Cheopsa?

– Naturalnie. Każdy, kto przyjeżdża do Gizy, zwiedza przecież tę piramidę.

– Konstrukcja budowli Cheopsa jest bardzo skomplikowana. Korytarze, wielkie galerie, szyby wentylacyjne, aż trzy komory. Wiadomo również, że istniały specjalne urządzenia zwalniające całe bloki kamienne, blokujące dostęp do komór grobowych, a nawet do Wielkiej Galerii. Po złożeniu trumny w sarkofagu wybito kliny i potężne głazy zsunęły się zamykając szczelnie wejście. Ślady tej inżynierii są widoczne po dziś dzień.

– Tak, wiem o tym.

– Pomimo to piramida została splądrowana, i to już przed kalifem, który podobno znalazł tam jedynie mumię i na jej twarzy złotą maskę. Widocznie starożytni złodzieje byli dość wierzący czy

przyzwoici, że nie zbeczcześcili zwłok. Nie pomogła skomplikowana budowa i aż trzy komory grobowe. Nie wiemy nawet dobrze, w której z nich Al Maamun znalazł mumię faraona.

– W dolnej – odpowiedziałem.

– Taki pan pewien? Co do tego zdania są podzielone.

– Znam legendę o klaustrofobii tego króla – ja też miałem co nieco do powiedzenia. – Już po ukończeniu budowy kazał wykuwać sobie komory coraz wyżej. Ale ta hipoteza została obalona przez polskiego uczonego, Wiesława Kozińskiego. Piramida według pierwotnych planów wcale nie miała mieć tak skomplikowanej konstrukcji, a jedynie komorę górną. Zmiany nastąpiły, gdyż na skutek usytuowania komory nie symetrycznie w linii szczytu, a nieco z boku, nastąpiło pęknięcie stropu.

Amerykanin roześmiał się.

– Znam pracę Kozińskiego „The Investment Process Organization of the Cheops Pyramid”. Dzieło to przynosi zaszczyt polskiej archeologii i rozwiązuje wiele podstawowych, dotychczas nie znanych zagadnień. Ale nie musi być trafne we wszystkich szczegółach, zwłaszcza z tą górną komorą.

– Jak to?

– Nie ma żadnych dowodów na to, by wielki blok granitu, stanowiący sufit górnej komory, pękł właśnie w czasie budowy, a nie na przykład o dwa tysiące lat później. Żeby to udowodnić, trzeba byłoby przeprowadzić odpowiednie badanie i zmierzyć zarówno naprężenia piramidy, jak wytrzymałość granitu. Co jest niemożliwe.

– A pokrywa sarkofagu?

– To także żaden argument. Pokrywę mógł rozbić Al Maamun i następnie usunąć jej szczątki. Na wewnętrznej stronie pokrywy

sarkofagu mógł być wymalowany złotem wizerunek jakiegoś bóstwa. W starożytnym Egipcie robiono to bardzo często, więc kalif rozkazał wynieść wszystkie części pokrywy na powierzchnię, aby wydrapać szczątki szlachetnego metalu. Przecież w innych komorach, nawet w dolnej, także nic nie znaleziono. Nic też nie tłumaczy przyczyny budowy Wielkiej Galerii.

– Jednakże hipoteza Kozińskiego o pęknięciu stropu jest bardziej prawdopodobna niż ta o klaustrofobii króla.

– Naturalnie. Ale my uważamy, że obie są fałszywe. Piramidę od razu zaplanowano z trzema komorami, aby złodziejom utrudnić dostęp do właściwego grobowca lub zmylić ich. Nie wykluczamy, że w każdej z tych komór umieszczono jakąś mumię i zastawę grobową, ale tylko w jednej spoczywał Cheops. W tej najtrudniej dostępnej. Niestety, nie wiemy i nigdy nie dowiemy się, w której. Osobiście podzielam pogląd Kozińskiego, że w dolnej. Wprawdzie nie z tych powodów, które on wyłuszcza, lecz dlatego, że tę dolną można było najlepiej zablokować. Co zresztą, jak wiemy, nie zapobiegło rabunkowi.

– Nie wiem – przyznałem szczerze. – Nie jestem archeologiem, lecz zwykłym turystą. Te problemy bardzo mnie jednak interesują.

Amerikanin rzucił mi pełne życzliwości, choć nieco roztargnione spojrzenie i mówił dalej, z coraz większą pasją:

– Piramidę Chefrena budowali ci sami ludzie, którzy kończyli tę poprzednią, Cheopsa. Mamy na to nieskończenie wiele dowodów. Ten sam budulec, z tych samych kamieniołomów, ta sama konstrukcja, identyczna organizacja pracy. Jedyna różnica, że Chefren kazał obłożyć bloki piaskowca granitem spod Asuanu, a Cheops zadowolił się białym wapieniem z pobliskiej miejscowości Tura. Ale różnica

powstała jedynie dlatego, że piramidę Cheopsa wykańczali już po śmierci tego władcy i jego następcę chciał tego dokonać jak najmniejszym kosztem i jak najprędzej, aby przystąpić do budowy własnego grobu.

– Być może – zgodziłem się.

– Najmądrzejsi ludzie w państwie, a za takich na pewno można uważać konstruktorów wielkich piramid, znający doskonale plany budowli Cheopsa, wiernie się na nich wzorują. Tylko wewnątrz piramidy projektują tak prymitywnie, jakby to robiło pięcioletnie dziecko? Przecież faraon, człowiek także niegłupi, którego największą troską było zabezpieczenie swoich zwłok, nigdy nie zgodziłby się na to. Głupiec zrozumiałby, że tak zbudowana piramida będzie natychmiast okradziona. Choćby przez pilnujących ją kapłanów. W dodatku korytarze budowli Chefrena nie noszą najmniejszych śladów urządzeń blokujących. W najlepszym razie były wypełnione piaskiem i gruzami. Przecież poprzednik Cheopsa, jego ojciec Snofru, żeby zabezpieczyć się przed rabusiami, wybudował aż dwie piramidy, także o bardzo skomplikowanym wnętrzu. Jedna z nich ma nawet dwa wejścia, północne i zachodnie, oraz wiele fałszywych przejść i komór. Obie piramidy stoją w Dahszur.

– Gruz zastosowano również w grobowcu Tutankhamona.

– To był mały, nic nie znaczący władca – machnął lekceważąco ręką mój niespodziewany rozmówca – panujący o tysiąc czterysta lat później. Nie można go porównywać z Chefrenem, za którego władzy potęga Starego Państwa osiągnęła swój szczytowy okres. Najlepiej wytłumaczę to panu na rysunku.

I Harry Walrence, wyraźnie podekscytowany, wyjął z leżącej na sąsiednim krześle aktówki arkusz papieru, na którym paroma

wprawnymi ruchami naszkicował obie piramidy w przekroju.

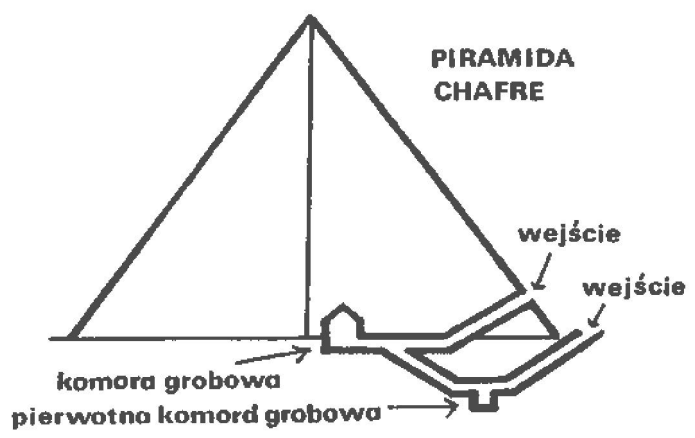
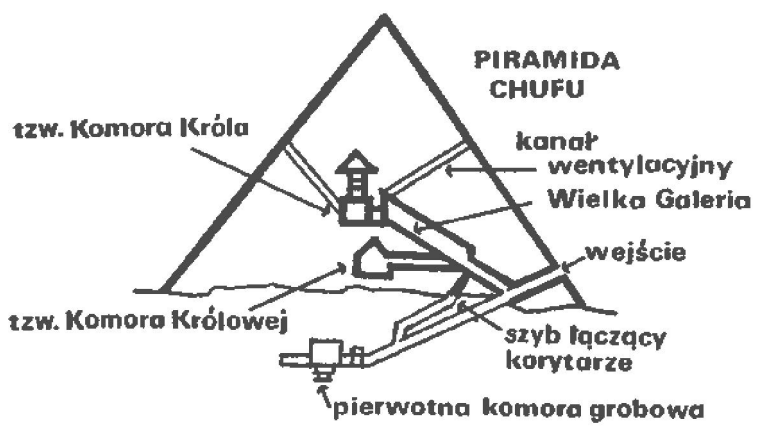
– Naturalnie jest to bardzo uproszczony szkic – powiedział podsuwając mi kartkę – ale już i on daje pojęcie, jakim prymitywem jest wnętrze budowli Chefrena w porównaniu z piramidą jego ojca. Co więcej, Didufri, czyli Radzedef, który objął panowanie po Cheopsie i rozpoczął budowę swojej piramidy w Abu Roasz, osiem kilometrów na północ od Wielkich Piramid, zaplanował tę budowlę w wymiarach identycznych jak ta, Chefrena, który prawdopodobnie skorzystał z istniejących gotowych planów, ale przeniósł plac budowy piramid koło piramidy ojca. Otóż to, co pozostało w Abu Roasz, wyraźnie wskazuje, że tamta nigdy nie skończona piramida miała mieć wewnątrz jeszcze bardziej skomplikowane niż piramida Cheopsa.

– To bardzo ciekawe, ale w jaki sposób sprawdzicie swoją hipotezę? Mam nadzieję, że rząd egipski nie pozwoli na rozbieranie piramidy.

Amerykanin zaczął się śmiać.

- Nie musimy tego robić. Mamy lepsze i szybsze metody.
- Jakie? Nie bardzo wierzę w cuda.
- Promienie gamma, działające jak promienie Roentgena.
- Przecież nie prześwietlicie piramidy?
- A dlaczego nie? – oburzył się szczerze Amerykanin.
- W jaki sposób?
- Całą operację – mówił szybko, podnieconym głosem – opracowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach. Nasze ekspedycją kieruje doktor Luis Alvarez, fizyk o światowej sławie, laureat nagrody Nobla. Jeśli zaś chodzi o dziedzinę archeologii, to poza uczonymi amerykańskimi pracuje nad tym także wybitny specjalista, doktor





Amer Gohed, profesor uniwersytetu w Kairze. Jest on gorącym zwolennikiem naszej hipotezy, a jednocześnie jednym z największych znawców epoki Starego Państwa.

– Jak można prześwietlić piramidę? Przecież nawet prześwietlenia człowieka często nie dają pożądaných rezultatów.

– Łatwiej piramidę niż człowieka. Naturalnie dużo drożej. Nasza aparatura waży przeszło dziesięć ton, a koszt tej operacji wyniesie z milion dolarów. Ale to się z punktu widzenia nauki sownie opłaci. Odkryjemy nie naruszony grobowiec króla z czwartej dynastii. Ileż to zagadek historii zostanie dzięki temu wyjaśnionych!

– Nie jestem fizykiem, więc nadal niewiele z tego rozumiem. Nie wyobrażam sobie takiej operacji.

– To bardzo proste. Naturalnie w pobieżnym opisie, bo w rzeczywistości doświadczenie jest niezwykle skomplikowane. Był pan we wnętrzu piramidy Chefrena?

– Byłem.

– Widział pan tam sarkofag. On zresztą także nie ma całej pokrywy, rzucam ten kamuszek do ogródka pańskiego rodaka, profesora Kozińskiego.

– Widziałem i byłem w komorze grobowej. Pokrywa tam jest co prawda potłuczona i chyba niecała.

– Otóż, jak panu wiadomo – tłumaczył mi z ferworem – komora ta znajduje się w pionie pod szczytem. Nie ma najmniejszych trudności, żeby obliczyć odległość od środka komory do każdego punktu na zewnątrz piramidy. Znamy bowiem dokładne wymiary tej budowli.

– Przypuszczam, że nawet ja bym to potrafił, chociaż nigdy nie byłem zbyt mocny w matematyce.

– Jak panu wiadomo – powtórzył Walrence – promienie gamma

w próżni mają jednakową prędkość. Przechodząc zaś przez różne ciała, napotykają opór zwalniający tę szybkość. Inna jest prędkość promienia przechodzącego przez atmosferę, inna przez blok piaskowca. Obie te szybkości znamy. Wylczyliśmy je teoretycznie i sprawdziliśmy laboratoryjnie.

- Cóż z tego?
- Znając grubość kamiennej ściany piramidy od komory, gdzie zainstalujemy iskrownik, do dowolnego punktu na zewnątrz, łatwo obliczyć czas, w jakim nasz promień powinien go przebyć.
- To są jakieś tysięczne odłamki sekundy.
- Nawet milionowe, ale nauka dzisiaj może je zmierzyć.
- Ciągle jeszcze nie rozumiem waszego doświadczenia. Cóż z tego, że zmierzycie drogę promienia i czas, w jakim została przebyta?
- Jeżeli promień będzie przechodził tylko przez warstwy piaskowca, doświadczenie potwierdzi obliczenia teoretyczne. Jeżeli jednak na swojej drodze spotka próżnię, promienie gamma przebędą tę samą drogę w czasie krótszym niż teoretyczne wyliczenia.
- Przecież w piramidzie nie może być próżni.
- Absolutnej próżni tam nie ma na pewno, ale może być na przykład ukryta komora czy korytarz. Iskrownik będzie wysyłał promienie, aparaty odbiorcze na powierzchni piramidy zarejestrują je i dokonają pomiaru czasu. Później wszystkie te dane przeanalizuje komputer i otrzymamy dokładny przekrój wnętrza całej budowli. Dokładny plan, w którym nie ukryje się pusta przestrzeń większa niż pół metra kwadratowego!
- Fantastyczne!
- Oczywiście, wykonanie tej pracy nie jest takie proste, jak panu w ogromnym skrócie opowiedziałem. Doświadczenia będą trwały co

najmniej przez kilka miesięcy. Wchodzi tam w grę jeszcze i stosunek natężenia promieni padających na daną warstwę do natężenia promieni warstwę tę opuszczających. Te wszystkie obliczenia są mozolne, ale możliwe dzięki zastosowaniu komputerów. Analiza otrzymanych wyników potrwa do dwóch lat. A wówczas ogłosimy sensację na skalę światową: odkrycie nie naruszonego grobu faraona Starego Państwa!

– Cała wasza aparatura musi być niesłychanie precyzyjna. Najmniejszy błąd i wieloletni wysiłek pójdzie na marne. Nie mówiąc już o kosztach...

– Koszta w porównaniu z zyskiem, jaki osiągnie nauka, i nie tylko nauka, są zupełnym drobiazgiem. Pokrywa je jedna z amerykańskich fundacji, która zresztą zastrzegła sobie pierwszeństwo publikacji materiałów naukowych i popularnych, więc także nic na tym nie traci. Egipt zyska nową atrakcję turystyczną. I zarobi najwięcej. A każdy z uczonych pracujących przy tych doświadczeniach również wyda bądź dzieło naukowe, bądź pamiątki. W sumie zarobi każdy zainteresowany, i to zarobi dobrze – praktyczny Amerykanin przeliczył zyski naukowe od razu na zielone papierki.

– Pod warunkiem, że całe przedsięwzięcie nie zrobi kłapy – powtórzyłem z przekorą.

– Co też pan mówi! – oburzył się Walrence.

– Najmniejszy błąd w aparaturze...

– Wykluczone! – zaperzył się. – Zanim tu przyjechaliśmy, wykonaliśmy sporo doświadczeń w Stanach Zjednoczonych. W różnych starych fortach i w górach. Aparatura dokładnie rejestrowała każdą pieczarę czy jaskinię. My, Amerykanie, jeżeli coś robimy, idziemy na pewniaka. Każdy, kto na to dał choć jednego dolara, musiał przed tym sprawdzić, że nie wyrzuci pieniędzy w błoto.

– Jest pan bardzo pewny siebie.

– Nie tylko ja. Ostatecznie, ja jestem początkującym egiptologiem, pionkiem w tej ekspedycji. Ale moją pewność dzielą najwięksi specjaliści. Wymieniłem nazwisko profesora Luisa Alvareza, który opracował całą aparaturę i metodę badań. Nad dokładnością doświadczeń będzie czuwał profesor Lauren Yazolino. Nie ma chyba większego specja w dziedzinie promieniowania. Analizy otrzymanych wyników podjął się profesor Amer Gohed z całym sztabem znawców. Wszyscy są przekonani o sukcesie.

– Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak tylko życzyć ekspedycji powodzenia.

– Dziękuję bardzo. Jadę właśnie do Gizy. Może zabrać pana ze sobą? Mam samochód.

– Chętnie skorzystałbym z propozycji, ale mam już inne plany na dzisiaj.

– Czy pan przypadkiem nie jest dziennikarzem? – zaniepokoił się nagle Harry Walrence, jakby dopiero w tym momencie spostrzegł się, że zbyt wiele powiedział nieznanemu. – Obawiam się, że miałem nieco za długi język. Ładnie bym wyglądał, gdyby prasa przedwcześnie roztrąbiła wiadomości o naszych doświadczeniach!

– Tajemnicy przecież nie da się uchronić. Nie nakryjecie piramidy kapeluszem.

Amerykanin roześmiał się:

– To musiałby być gigantyczny kapelusz, nawet w USA takich nie robią.

– Mogę pana uspokoić, nie mam nic wspólnego z dziennikarstwem. Jestem turystą.

– Kamień spadł mi z serca. Wiem, że prasa i tak dowie się o wszystkim. Nie mamy zresztą zamiaru ukrywać się. Reklama jest dźwignią interesu, dlatego i nam zależy na reklamie, byle nie przedwczesnej. Żebyśmy mogli spokojnie się rozpakować, rozmieścić aparaturę, wykonać parę próbnych doświadczeń. Kiedy z tym się

uporamy, zaprosimy dziennikarzy. W przeciwnym razie nie mielibyśmy życia. Pan sobie wyobraża te tabuny reporterów kręcących się wszędzie, zaglądających do każdej dziury i przeszkadzających?

– Oni także chcą zarobić.

– Rozumiem. Na ich miejscu na pewno byłbym nie lepszy, ale teraz musimy mieć spokój.

– A swoją drogą czy panu nie... przykro? – zapytałem.

– Dlaczego? – zdumiał się Amerykanin.

– Nie przykro panu, że zakłóćcie spokój starego króla? Ponad cztery tysiące sześćset lat nikt mu tego spokoju nie mącił. Dopiero wy.

– Och, wy, Europejczycy, zawsze jesteście sentymentalni! – zaśmiał się Harry. – No, ale na mnie czas. Do widzenia panu. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Amerykanin wyszedł, ja spokojnie dopiłem swoją herbatę. Kiedy wstałem, spostrzegłem leżącą na sąsiednim stoliku kartkę papieru. Podniosłem ją. Był to ten szkic wykonany przez Walrence'a. Schowałem go postanawiając oddać przy okazji właścicielowi. Ale potem zapomniałem i znalazłem w kieszeni ubrania dopiero po powrocie do Polski.

Leży do dziś dnia w moim biurku.

Kiedy wieczorem wróciłem do hotelu, portier, wydając mi klucz, powiedział:

– O pana codziennie dowiadywał się pański znajomy.

– Który?

– Nie wiem, nie wymieniał nazwiska, ale płynnie mówił po arabsku, zapewne Egipcjanin. Dzisiaj także telefonował i ucieszył się, że pan wrócił z Luksoru.

To mógł być tylko Achmed Hosni.

Nie upłynęło dwadzieścia minut, kiedy posłyszałem pukanie do drzwi i mój egipski przyjaciel stanął w progu. Ubrany był po europejsku.

– Czy można? – zapytał.

– Proszę bardzo – przywitałem się z Achmedem i zaproponowałem przejście do hotelowej restauracji. Odmówił.

– Jeśli pan pozwoli, wolałbym zostać tutaj. Nie zabiorę panu zbyt wiele czasu.

– Nigdzie się nie spieszę i nigdzie się nie wybieram. Proszę, niech pan siada. Co pana do mnie sprowadza?

– Był pan dziś w Gizie?

– Nie. Nie byłem. Wybierałem się tam jutro lub pojutrze. To ostatnie dni mojego pobytu w Kairze, a jeszcze tylu rzeczy nie widziałem. Muszę zrezygnować nawet z opalania się w kotlinie za piramidą Mykerinosa.

– Od pięciu dni wejście do piramidy Chefrena jest zamknięte – mówił Hosni starając się ukryć zdenerwowanie. – Na placu stawiają baraki z falistej blachy. Samochody zwożą jakieś ładunki. Koło tego kręcą się cudzoziemcy. Anglicy albo Amerykanie. Jest tam i paru Egipcjan. Jednego przypominam sobie, to archeolog.

– Profesor Uniwersytetu Kairskiego – odpowiedziałem – doktor Amer Gohed.

– Co ci ludzie tam robią?

– Po prostu przyjechali, aby znaleźć grobowiec Chefrena.

– Niemożliwe!

– Twierdzą – wyjaśniłem – że to, co się pokazuje turystom, to fałszywa komora grobowa. Sarkofag, który się w niej znajduje, był od samego początku pusty. Trumnę faraona i całą jego zastawę grobową ukryto gdzie indziej we wnętrzu piramidy. W ten sposób Chefren nabrał wszystkich. Zarówno złodziei, jak archeologów.

– Skąd oni się o tym dowiedzieli?  
– Porównując piramidę Chefrena z piramidą Cheopsa i z nie skończoną piramidą drugiego jego syna w Abu Roasz lub choćby z piramidami Snofru.

– A ta maszyna?

– Wiadomo. Służy do prześwietlania promieniami...

– Co im to da? Cóż z tego, że promienie gamma przejdą przez konstrukcję piramidy?

– Amerykanie sądzą, że można obliczyć, jaki powinien być spadek napięcia tych promieni i opóźnienie ich szybkości. Będzie ono różne przy przechodzeniu przez kamienne bloki i przez pustą przestrzeń.

– To ciekawe – przyznał Achmed Hosni.

– Rozmawiałem z jednym z nich. Mieszka w tym samym hotelu. Są zupełnie pewni, że uda się im odnaleźć nie naruszony przez nikogo sarkofag.

Hosni uśmiechnął się lekko:

– Amerykanie są bardzo pewnym i zarozumiałym narodem.

– Uczni egipscy podzielają ich zdanie.

– Nie znajdą nic, bo nic tam nie ma.

– Zobaczymy za parę lat.

– Tak długo?

– Doświadczenia potrważą kilka miesięcy, a odczytanie wyników i sporządzenie dokładnych planów wnętrza piramidy zajmie co najmniej dwa lata. Potem już wystarczy otworzyć zamaskowane wejście i wkroczyć do środka.

– Pan też tak uważa?

– Nie znam się na tym. Nie jestem archeologiem. Pożyjemy, zobaczymy.

Hosni podniósł się z fotela.



– Serdecznie panu dziękuję za te informacje. Oddał mi pan ogromną przysługę. Niech będzie chwała Allachowi, że natchnął pana myślą przyjazdu do Egiptu.

Dobrze by było, gdyby wszechmocny Allach, bez wielkiej przecieź szkody dla siebie, mógł także sfinansować moją podróż... Jednak nie zrobił tego. A szkoda – pomyślałem sobie w duchu. A głośno powiedziałem:

– Nie ma za co. I tak prędzej czy później dowiedziałby się pan o tym.

– Ale dzięki panu znam prawdę już teraz. To bardzo dla mnie ważne. Dziękuję i do widzenia.

## ZŁOTY SKARABEUSZ FARAONA CHEFRENA

Dopiero na trzeci dzień wybrałem się do Gizy. Na próżno szukałem Achmeda Hosni i jego wielbłąda w zwykłym miejscu koło hotelu „Mena”. Przewodnicy, wielbłądnicy, sprzedawcy „starożytności” sporządzanych w warsztatach Kairu czy nawet dalekiej Japonii oraz cała banda najrozmaitszych wydrwigroszy, kręcących się wokoło piramid, znała mnie z widzenia. Dość spokojnie więc, nie nagabywany tak bezczelnie jak inni turyści, ruszyłem pod górę.

Ruch był tu normalny, jak w każdy dzień powszedni. Zwracały jednak uwagę wielkie samochody ciężarowe, wiozące drewniane skrzynie. Domyślałem się, że to wyposażenie ekspedycji mającej badać Dom Miliona Lat Chafre. Amerykanie zdążyli już postawić po północnej stronie piramidy kilka baraków i magazyny z falistej blachy. Wynajęci na miejscu ludzie, pilnowani przez członków wyprawy, ostrożnie rozładowywali ciężarówki i przenosili paki do magazynów. Niektóre mniejsze ładunki sami Amerykanie zabierali od razu do baraku. Tam najprawdopodobniej urządzono laboratoria i warsztat montażu.

Ponieważ podstawa piramidy znajduje się niżej niż otaczająca ją piaskowa skała, coraz liczniejsze grupy Arabów z ogromnym

zainteresowaniem przyglądały się temu, co działo się w dole. Nie zabrakło również turystów.

Wystarczy, aby choć jeden dziennikarz zaplątał się przypadkowo w Gizie, a obawy Harry Walrence'a okażą się uzasadnione – pomyślałem sobie. Amerykanów obiegłyby nie tylko tłumy ciekawskich, lecz i przedstawiciele prasy. Przecież tak wielkiej akcji, na dodatek prowadzonej w miejscu uczęszczanym przez tysiące turystów, nie da się długo utrzymać w tajemnicy.

Jak gdybym przeczuwał. Właśnie w tym momencie pod baraki podjechało osobowe auto z napisem „Al Ahram”. Reporterzy największego egipskiego dziennika zdołali już wyniuchać, że pod piramidami dzieje się coś niezwykłego.

Z góry doskonale widać było, że wejście do piramidy jest zamknięte na potężną kłódkę, a ponadto zabezpieczone łańcuchami.

Rozglądałem się wśród ciekawskich, czy nie dostrzegę gdzieś moich Arabów.

Na próżno. Pogapiłem się chwilę na krzątanie, ale nie interesowało mnie to zbyt, dzięki mojemu gadatliwemu znajomemu z hotelu wiedziałem, co się tam dzieje. Wycofałem się więc z tłumu i obchodząc piramidę Chefrena skierowałem się do piramidy Mykerinosa. Ma ona dobrze zachowaną rampę z czarnego kamienia oraz stosunkowo lepiej od innych zachowaną świątynię grobową. Postanowiłem przyjrzeć się jej bliżej, bo dotychczas najwięcej uwagi poświęcałem „starszemu panu”, jak Amerykanin nazywał Chefrena.

Jak już wspominałem, wejścia do piramid znajdują się od strony północnej, w samym środku ściany. Jedynie w sposobie ich maskowania oraz wysokości w stosunku do całej piramidy zachodzą różnice. Piramida Chefrena stanowi jeden z nielicznych wyjątków: wchodzi się do niej z tunelu wykutego w skale przed samą budowlą. Inne mają wejścia bezpośrednio w ścianie, najczęściej u podnóża

budowli. Może inżynierom starego Egiptu zabrakło fantazji, by wejścia umieszczać w innej części ściany lub po innej stronie? A może obowiązywały ich jakieś przepisy religijne?

Kiedy obchodząc kamienny kopiec, który Bernard Shaw nie bez pewnej słuszności nazwał „najbardziej zabawną budowlą”, znalazłem się po południowej stronie piramidy, z daleka ujrzałem wielbłąda z dziwnie białą szyją. To musiało być zwierzę mojego Araba. A gdzie wielbłąd, tam i jego pan. Gamel – taka jest jego arabska nazwa – wygodnie ułożył się na piasku, myślałem, że Hosni śpi w jego cieniu.

Idąc w stronę wielbłąda, rozglądałem się dokoła. Nie widać było żywego ducha. Wszyscy, którzy przybyli pod piramidy, najwidoczniej zebrali się koło obozu amerykańskiej ekspedycji.

Mimo woli spojrzałem na piramidę. Jakiś ruch przykuł moją uwagę. Przyjrzałem się dokładniej. Nie ulegało wątpliwości – człowiek wspinał się ku wierzchołkowi. Nie jest to w zasadzie zbyt trudne przedsięwzięcie, bo na piramidę, pozbawioną zewnętrznej okładziny, wdrapywać się można jak gdyby po schodach o bardzo wysokich stopniach. I zawsze znalazł się jakiś cudzoziemiec, najczęściej Niemiec lub Amerykanin, który próbował dokazać tej sztuki. Taka wspinaczka była jednak surowo zabroniona. A że na całym terenie kręciło się sporo policji w czarnych mundurach, walczyła ona skutecznie z tego rodzaju alpinistami. Bardziej upartych, którzy nie zwracali na pierwszy rozkaz, karano mandatami. Dzisiaj śmiałem mógł się czuć zupełnie bezkarnie – policja także gapiała się na skrzynie wyładowywane z samochodów.

Mam zwyczaj nosić w kieszeni małą, ale bardzo dobrą lornetkę. Przyłożyłem ją do oczu. Ku mojemu zdziwieniu poznałem, że wspinaczem jest Jasin, syn Achmeda.

Chłopak szybko i zręcznie wdrapywał się na kolejne warstwy piramidy. Dotarł już do trzech czwartych jej wysokości. Jeszcze kilkanaście metrów i zaczną się resztki okładziny granitowej, zachowanej pod szczytem. Wprawdzie jej gładka, doskonale wypolerowana powierzchnia uległa w ciągu tysięcy lat niszczącemu działaniu wiatrów, słońca i deszczy, które w okresie naszej zimy wcale nie są taką rzadkością, jak to się Europejczykom wydaje, niemniej wdrapywanie się po tej okładzinie, i to bez żadnego zabezpieczenia, stanowi pewne ryzyko.

Ale Jasin najwidoczniej nie zamierzał osiągnąć wierzchołka. Zatrzymał się na jednym z górnych podestów i przesuwał się po nich, dokładnie badał bloki piaskowca: nachylał się, wsuwał rękę w szpary.

Czego, u diabła, ten chłopak może tam szukać? Przecież nie gniazd ptasich, bo ich tam nie znajdzie.

Wreszcie Jasin zatrzymał się. Przez lornetkę dokładnie widziałem, jak oczyszcza podstawę wielkiego bloku z nagromadzonego tam gruzu. Odpryski spadały na niższy stopień. W pewnej chwili – chyba mi się nie zdawało – zauważyłem jakiś otwór, jak gdyby wylot rury. Czyżby „starszy pan” zbudował w piramidzie wodociągi i kanalizację?

I zaraz zobaczyłem, że młody Arab kładzie rękę w ten otwór. Widocznie coś tam znalazł, wykonywał takie ruchy, jak gdyby coś usiłował stamtąd wyciągnąć. Szarpnął parę razy. Zapomniałem dodać, że Jasin był jedynie w slipkach. Opalony na brąz chłopak był prawie niewidoczny na tle szarych bloków wapienia. Zauważyłem to tylko przez czysty przypadek.

Byłem tak zaciekawiony zachowaniem się chłopaka, że cały czas

miałem wzrok skierowany ku górze i nie zwracałem uwagi, co dzieje się wokół mnie.

Nagle otrzymałem uderzenie w prawą rękę. Tak silne, że lornetka wyleciała mi z dłoni, padając na ziemię. Przedemną, w niebieskiej galabiji, stał Achmed Hosni, purpurowy z gniewu. Nigdy go takim nie widziałem. Ten grzeczny i zawsze uśmiechnięty człowiek groził mi teraz pięściami i wykrzykiwał coś po arabsku. Nie musiałem znać tego języka, aby się domyślić, że są to najstraszliwsze przekleństwa.

Cofnąłem się o krok i przybrałem postawę obronną. Hosni sprawiał wrażenie, że zaraz rzuci się na mnie.

– Pan zwariował! – powiedziałem ostro.

Arab nadal obrzucał mnie obelgami.

– Uspokój się! – zawołałem. – Co to wszystko ma znaczyć?!

Tym razem mój ostry ton poskutkował. Hosni zamilkł, starał się opanować gniew, schylił się po leżącą na ziemi lornetkę. Obejrzał. Na szczęście nie została uszkodzona. Podał mi ją.

– Bardzo pana przepraszam – wykrztusił.

Nie odpowiedziałem. Ja także byłem wściekły na niego za tę dziwną napaść. Bez słowa odwróciłem się i odszedłem.

Szybkim krokiem pomaszerowałem w stronę piramidy Mykerinosa. Kątem oka widziałem, że Hosni posuwa się za mną o kilka metrów. Udawałem, że tego nie dostrzegam. Zbliżyłem się do ruin dawnej świątyni. Tu jednak znalazło się jeszcze kilku turystów. Czyba teraz Hosni nie napadnie na mnie? Nie jestem tchórzem, lecz bójka z poganiaczem wielbłądów wcale mi się nie uśmiechała, tym bardziej że jemu w każdej chwili mógł przyjść z pomocą syn lub jakiś inny pobratymiec. Nawet w razie interwencji policjanta nie mógłbym mu wytłumaczyć genezy zajścia, bo tutejsi przedstawiciele władzy znali najwyżej kilka podstawowych wyrazów angielskich. W tej sytuacji

zawsze uwierzyliby swojemu rodakowi.

Na szczęście Arab nie zdradzał wojowniczych zamiarów. Najwi-  
doczniej uspokoił się i wrócił do równowagi. Niemniej ciągle podą-  
żał moim śladem. Dopiero kiedy wszedłem między ruiny świątyni,  
straciłem go z oczu.

Pogoda była przepiękna. Wprawdzie słońce wędrowało po niebie  
nie przesłoniętym żadną chmurką, ale wiatr chłodził przyjemnie. Jak  
dobrze byłoby rozciągnąć się na gorącym piasku w pobliskiej kotlin-  
ce! Czy jednak zapalczywy właściciel wielbłąda pozostawi mnie w  
spokoju?

Postanowiłem nie ryzykować.

Usadoviłem się wygodnie na jakimś głazie, znalazłem oparcie na  
innym kamieniu i w ten sposób zażywałem kąpieli słonecznej. Usi-  
łowałem sobie wyobrazić, jak właściwie wyglądała ta świątynia.  
Podobnie jak piramida, była ona dużo mniejsza od pobliskich sąsia-  
dów. Także i rampa, która w przeszłości musiała być obudowana i  
kryta dachem z pni i liści palmowych, a stanowiąca chodnik prowa-  
dzący pod górę, była dużo krótsza i kończyła się nie w dolinie, jak  
obie pozostałe, lecz gdzieś w połowie skarpy. Dalej leży cmentarz  
muzułmański, więc reszty rampy nie można odkopać.

Chciałem sobie wyobrazić pogrzeb tego króla. Statek wiozący  
sarkofag nie mógł podpłynąć do chodnika – wylewy Nilu nie docho-  
dziły nigdy tak wysoko. Musiał zatem przybić do prowizorycznej  
przystani i stamtąd orszak z trumną powoli posuwał się pod górę.  
Orszak pogrzebowy osoby tak potężnej, jak faraon, z daleka musiał  
bardziej przypominać przeprowadzkę niż ceremonię żałobną. Naj-  
pierw niesiono tace z żywnością: mięsem, rybami, ptactwem, ze  
słodkimi ciastami. Nie brakło też dzbanów pełnych wina, piwa

i owocowych soków. Dalej służba i co pomniejsi urzędnicy dworu dźwigali na nosidłach inkrustowane i rzeźbione skrzynie z ubraniem, narzędziami, przyborami toaletowymi, tak niezbędnymi królowi w państwie Ozyrysa. Z kolei następną grupą ludzi, zapewne stojących wyżej w hierarchii państwowej, niosła nieprzebraną ilość najrozmaitszych mebli: trony, fotele, taborety, łóżka, stoły, a nawet lektyki i wozy, a najwyżsi dostojnicy państwa – tace z klejnotami, laski, berła, posągi, barwnie malowane parasole. Żeby każdy mógł zobaczyć, jak potężny i bogaty był faraon i jakie to dobra zabiera ze sobą do Krainy Zachodniej. Tam także, jak i na tym świecie, nigdy mu niczego nie zabraknie.

Ozdobną, złożoną trumnę antropoidalną, w kształcie postaci ludzkiej, złożono na katafalku w kształcie łodzi, spoczywającym na saniach. Jak każda tradycja, ciągnęły je dwie krowy. Nie spracują się zbyt, bo każdy z uczestników konduktu, nie mający innej ściśle określonej funkcji, za najwyższy zaszczyt uważa sobie choć przez chwilę pomóc przy pchaniu sań. Dokoła tłumy kobiet. Ludzie biedniejsi wynajmują w tym celu zawodowe płaczki, ale gdy faraon wyrusza w ostatnią drogę, ich rolę spełniają damy dworu. Na ten dzień porzuciły swoje wytworne stroje. Idą w rozdartych szatach, z twarzami umazanymi mułem nilowym, z piersią odkrytą. Zawodzą i płaczą.

Po obu stronach trumny kroczą dwaj najwyżsi kapłani najpotężniejszych bogów: boga Re, którego synem jest zmarły faraon, i boga Ptah, władającego Memfisem, czyli pradawnym Men Nefer. Obaj kapłani, trzymając w jednej ręce bogato złożone kropidło, a w drugiej alabastrowy dzban ze świętą wodą zaczerpniętą ze studni świętyni, stale skrapiają trumnę.

Właśnie płaczki intonują żałobną pieśń:



*...idźcie prędko na zachód, do krainy prawdy. Kobiety płaczą, bardzo, bardzo. W pokoju, w pokoju, ku zachodowi, o chwalebny, odejść w spokoju. Jeżeli tak chce bóg, gdy dzień zmieni się w wieczność ujrzymy ciebie, który zdążasz do tej ziemi, która miesza ludzi\*.*

Teksty wg Pierre'a Monteta.

Płaczkom odpowiada chór kapłanów:

*O królu, ty nie opuszczasz nas martwy, odchodzisz żywy. Ty, który wzniosłeś się pomiędzy gwiazdy nie dające się policzyć. Ty nie znikniesz nigdy.*

Za katafalkiem szła królowa-wdowa, a za nią synowie i cała rodzina królewska. Dalej najwyżsi dygnitarze dworscy i państwowi oraz nomarchowie. Tu już nie manifestowano ostentacyjnie swego żalu. Idąc w orszaku należało rozmawiać o zmarłym faraonie i wychwalać jego czyny, jego wielką mądrość i troskę, jaką okazywał poddanym. W dobrym tonie było również zaznaczać, jak bardzo ucieszył się Ozyrys i inni bogowie witając w swoim gronie syna Re, także boga.

Orszak zbliża się do świątyni grobowej. Królowa-wdowa jeszcze raz zwraca się do zmarłego:

*O mój bracie, o mój małżonku, o mój przyjacielu, pozostań na swoim miejscu, nie oddalaj się od miejsca, gdzie przebywasz. Niestety, odchodzisz... Nie spieszcie się, pozostawcie go. Wy powrócicie do swoich domów, ale on odchodzi do kraju wieczności...*

Kondukt dotarł już do świątyni. Tutaj w wielkiej sali układa się zastawę grobową. Trumnę wnoszą do wnętrza i umieszczają przed

posągami boga-króla, który wykuty został przedtem w czarnym kamieniu z gór Bechen. Niewielka świątynia z trudem może pomieścić kapłanów, rodzinę i najwyższych dygnitarzy. Żona obejmuje trumnę ustawioną w pozycji pionowej. Znosi modły:

*Jestem twoją żoną, o wielki, nie opuszczaj mnie! Czyż jest twoim zamiarem, żebym oddaliła się od ciebie? Jeżeli odejdę, zostaniesz sam. Będzie ktoś, kto będzie ci towarzyszył. Ty, który lubiłeś żartować ze mną, milczysz, nie mówisz nic...*

Królowej wtórują kobiety:

*...biada, biada! Lamentujcie, lamentujcie, lamentujcie, lamentujcie bez końca. Dobry pasterz odszedł do kraju wieczności. Tłum ludzi oddalił się od ciebie. Jesteś teraz w kraju, który miłuje samotność. Ty, który lubiłeś poruszać nogami, aby chodzić, teraz, jesteś uwięziony, obwiązany, otulony. Ty, który miałeś dużo delikatnych tkanin, śpisz we wczorajszej pościeli...*

Teraz następuje najważniejszy moment uroczystości żałobnych: przed trumną staje najstarszy arcykapłan boga Re. W rękę trzyma złoty anch, czyli zakrzywione na końcu berło królewskie. Zaczyna się ceremonia otwarcia ust. Kapłan podnosi anch do ust rzeźby króla wyrytej na pokrywie sarkofagu. Udaje, że podważa i otwiera usta. A jednocześnie wypowiada zaklęcie:

*Ty żyjesz znowu. Ty będziesz stale budził się do owego życia. Ty będziesz znowu młody. Ty jesteś już młody, młody po wsze czasy.*

Teraz *ba* i *ka*, dusza zmarłego faraona, mogą z powrotem wrócić do ciała. Z tą chwilą zmarły rozpoczynał żywot wieczny. Przebywał w swoim grobowcu, a jednocześnie w szczęśliwej Krainie Zachodniej podążał do Ozyrysa. Sam się stawał Ozyrysem, panem i władcą tej krainy.

Tymczasem, kiedy trwały modły i śpiewy, służba na dziedzińcu świątyni ustawiała stoły i kończyła ostatnie przygotowania do uczty. Żalobni goście od wielu już godzin nie mieli nic w ustach. Byli zmęczeni, głodni i spragnieni. Naturalnie na dziedzińcu świątyni mogli się znaleźć tylko wybrani. Wśród ludu, który aż do tego miejsca towarzyszył „ukochanemu” władcy, przed świątynią rozdawano chleby, ciasto i piwo. Wszystko to zgromadzono w wystarczających ilościach już w dniu poprzednim. Jedząc i popijając – zarówno ci w świątyni, jak i ci na dworze – znowu chwalili zmarłego króla, a zwłaszcza jego hojność.

Tym wewnątrz przygrywali harfiści śpiewając do wtóru swoich instrumentów:

*...Zwróciłeś się z wezwaniem do Re\* i Cherpi cię wysłucha, a Atum ci odpowiada. Pan świata czyni, co się tobie podoba... Wiatr z zachodu płynie wprost na ciebie, do twojego nosa. Wiatr południowy zmienia się dla ciebie w wiatr północny. Kierują twoje usta do wymion krowy Haset. Stajesz się czysty, aby patrzeć w słońce. Czynisz ablucje w boskiej misie. Wszystkie twoje członki są w doskonałym stanie. Jesteś usprawiedliwiony przez Re. Jesteś trwały przy Ozyrysie. Otrzymujesz ofiary w dobrym stanie. Żywisz się jak na ziemi. Serce twoje jest w Domu Miliona Lat. Obejmujesz swoją siedzibę w spokoju...*

Re albo Ra – bóg słońca pod koniec Starego Państwa główny bóg panteonu egipskiego; Chepri – bóg słońca porannego, utożsamiany z Re; Atum – bóg zachodzącego słońca, utożsamiany z Re; Hathor (Haset) – bogini miłości, przedstawiana w postaci krowy; Ozyrys – sędzia i władca krainy zmarłych, wyobrażany z berłem i biczem.

Dopiero nocą, kiedy wszyscy się rozeszli, najbardziej zaufani kapłani otwierali zamaskowane wejście do piramidy i przynosili tam sarkofag z trumną w środku. Umieszczali go w drugim, kamiennym, i przykrywali wielką płytą tak, aby czopy weszły w przygotowane poprzednio zagłębienia. Następnie w komorze grobowej i w przyległym pomieszczeniu rozkładali całą zastawę grobową. Wiele przedmiotów, jak na przykład wozy i łóżka, trzeba było demontować, gdyż nie zmieściłyby się w ciasnych korytarzach. Bardzo ważną rzeczą było, aby nie zapominać o zapasach żywności. Bez nich zmarły faraon cierpiałby głód na tamym świecie. A koło piramidy, w wykutych w skale niszach, umieszczano wielkie łodzie, żeby władca mógł pływać po Krainie Zachodniej tak, jak pływał po Nilu.

Kiedy wszystko przeniesiono w głąb piramidy i odpowiednio rozmieszczono, wtajemniczony w konstrukcję budowli kapłan wybił ciężkim młotem kliny wzmacniające kamienne bloki sufitu. Ciężkie głazy zsuwały się z góry, szczelnie zamykając wejście. Pozostało tylko założyć płyty okładziny i nikt nawet nie domyślał się, że przed paru godzinami działo się tu coś niezwykłego.

Zmarły faraon nie był jednak zamknięty na wieczność w swoim sarkofagu i w komorze grobowej. Świątynia miała przecież „ślepe wrota” przylegające do ściany piramidy. Tędy władca Kemet mógł bez trudu wychodzić i wracać do swojego Domu Miliona Lat.

Mogło tak być, jak to sobie wyobrażałem, a mogło być zupełnie inaczej. Nie ma żadnych zapisów, w jaki sposób odbywały się ceremonie żałobne władców z pierwszych dynastii. „Teksty Piramid”, będące najstarszym tego rodzaju dokumentem, powstały dopiero za faraona Unisa, czyli Wennisa, panującego ponad dwieście lat później.

– Dzień dobry panu – usłyszałem tuż obok siebie. Moja wyobraźnia dokonała skoku przez tysiące lat i wylądowała w dwudziestym wieku. Wróciłem do rzeczywistości. Przede mną stał Jasin Honsi. Uśmiechał się, ale bardzo niepewnie.

– Niech się pan nie gniewa na ojca... Ojciec jest porywczy i nie umie się opanować. Bardzo, bardzo żałuje swojego postępku.

– Nigdy się po nim tego nie spodziewałem.

– On bardzo pana przeprasza. Ja także przepraszam.

– Co ty robiłeś na piramidzie? Po co tam wlałeś?

– Pan przecież wie. Pan widział – chłopiec zniżył głos do szeptu. – Musiałem pociągnąć za łańcuch zwalniający zamek pojemnika...

Przypomniało mi się niedawne opowiadanie Ahmeda. Sanie wiozące z taką ostrożnością tajemniczą skrzynię. Pojemnik wpuszczany w szczelinę między blokami. Główny inżynier Ibis-Ra i jego pomocnicy zakładający skomplikowaną maszynę...

– Ziemia śmierci?... – szepnąłem.

– Tak – poważnie przytaknął Jasin. – Pan zapewne czytał o tym. Grupa francuskich uczonych, badając wygasłe wulkany w Gabonie, odkryła na dnie jednego z nich ślady po naturalnym, samoczynnym stosie atomowym. Tajemnicę tego wulkanu znali ludzie przed tysiącami lat. Budowniczy piramidy, Ibis-Ra, sprowadził promieniotwórczą ziemię, aby i ona strzegła spokoju Chafre.

– Więc jednak Amerykanie mają rację?

- Ja nic nie wiem.
- To po co pociągnąłeś za łańcuszek?
- Ja nic nie wiem.

Zrozumiałem, że więcej niczego nie dowiem się od tego chłopaka. I tak pewnie zdradził mi zbyt wiele.

- Ale pan się już nie gniewa na ojca?

Cóż miałem powiedzieć?

- Nie, nie gniewam się.

– Dziękuję panu – chłopak znikł za głazem, o który opierałem się plecami.

Nie upłynęły dwie minuty, kiedy zjawił się Achmed Hosni. Kłaniał się nisko i rozplątywał w przeprosinach. Chyba naprawdę żałował swojej porywczosci.

– No, to zgoda między nami. Nie ma o czym mówić – wyciągnąłem rękę do Egipcjanina.

Achmed skwapliwie ją uścisnął.

– Żegnam się z piramidami – trzeba jakoś rozładować ciągle jeszcze napiętą i dość głupią sytuację.

– Dlaczego?

– Za trzy dni wyjeżdżam. Wracam do Polski.

– Niech pan przedłuży swój pobyt. O tej porze roku Egipt jest najpiękniejszy.

– Chciałbym. Ale i pieniądze się kończą, i czas wracać do pracy.

– O pieniądze niech pan się nie martwi – Hosni powiedział to tonem nie właściciela jednego wielbłąda, ale człowieka, do którego dyspozycji stoi zasobny rachunek bankowy. – Niech się pan nie krępuje. Proszę być moim gościem. Ile panu potrzeba?

– Pieniądze nie rozwiązują wszystkiego. Czekam na mnie praca i różne obowiązki. I tak mój pobyt w Kairze trwa dłużej, niż to pierwotnie zaplanowałem.

– Szkoda! – i tym razem zdawało mi się, że Arab powiedział to szczerze.

– Ale jeszcze pan odwiedzi piramidy?

– Postaram się, nie jestem jednak tego pewien.

Hosni sięgnął do kieszeni galabiji.

– Proszę, niech pan to weźmie na pamiątkę naszej znajomości i tych chwil spędzonych w cieniu Domu Miliona Lat Chafre.

To mówiąc Achmed wyciągnął rękę ze złotą blaszką. Poznałem od razu: na złotej płytce wklęśła rzeźba skarabeusza, żuka dość pospolitego i na pustyni, i w dolinie Nilu, a przed wiekami czczonego jako jeden z symboli boga Re. Na płytce wyryte zaklęcia i karteusz Chefrena. Skarabeusze z epoki Starego Państwa stanowią unikat. Takim skarbem mogą się poszczycić tylko nieliczne muzea świata. Nawet w przebogatym muzeum egipskim w Kairze widziałem zaledwie parę okazów, i to z szóstej dynastii.

Przyznaję, pokusa była bardzo silna. Złota blaszka ciągle leżała na wyciągniętej dłoni Araba. Wystarczyło po nią sięgnąć. Przewyciężyłem się jednak.

– Dziękuję, Achmedzie, bardzo panu dziękuję.

– Proszę, niech pan weźmie. To nie imitacja. Zapewniam pana.

– Dziękuję – skarabeusz mienił się w słońcu na opalanej brunatnej dłoni – widzi pan, Achmedzie, u nas w Polsce jest zwyczaj, że za przyjaźń nie płaci się. Nie mogę przyjąć od pana tego daru.

– Rozumiem – skarabeusz zniknął w kieszeni galabiji – niestety, nadal muszę pozostawać pańskim dłużnikiem.

– Tak chce widocznie Allah – użyłem jedyne go argumentu skutecznego nad Nilem.

– Allah jest wielki. On zawsze wie, co czyni, i nigdy się nie myli – poważnie odparł Hosni.

Zaryzykowałem pytanie:

– Jest pan głęboko wierzącym muzułmaninem. A jednocześnie czuwa pan nad spokojem króla sprzed tysięcy lat. Przecież według pańskiej wiary mumia, jeżeli jeszcze się przechowała pod tymi blokami kamienia, nie ma żadnej wartości. Od jej trwania czy niebytu wcale nie zależy wieczność duszy.

– Gdybym był ateistą, także robiłbym to samo.

– Dlaczego?

– To przecież proste. Mój daleki, bardzo daleki przodek złożył przysięgę, że będzie czuwał nad spokojem tego, któremu zawdzięczał wszystko. Życie, najdroższą istotę, bogactwo, stanowisko. Syn tego człowieka także przysięgał. A potem znowu jego syn. Każdy w długim szeregu moich przodków składał taką przysięgę. Mój dziad, mój ojciec i ja. A również i mój syn. Jakże mógłbym nie dotrzymać danego słowa?

– Faraonowi sprzed czterdziestu sześciu wieków?

– Nie. Moim przodkom, mojemu ojcu. Pana może to dziwi, wy Europejczycy nie rozumiecie ludzi Wschodu, jakimi i my Arabowie jesteśmy, bez względu na to, gdzie mieszkamy. Nie rozumiecie, co to wierność. Wierność przysiędze i sobie samym.

Uścisnąłem rękę Egipcjanina.

– Doskonale pana rozumiem – powiedziałem – sam pochodzę z kraju i narodu, który zawsze dotrzymywał swoich zobowiązań... choć nieraz na tym fatalnie wychodził.

– Pana to zapewne bardzo interesuje, ale daję panu słowo honoru, że zarówno ja, jak i wszyscy moi przodkowie nie znamy tajemnicy Domu Miliona Lat Chafre. Wprawdzie powierzono nam pieczę nad niektórymi urządzeniami zabezpieczającymi, lecz nic ponad to. Czy grobowiec faraona znajduje się ciągle jeszcze nie odkryty w środku piramidy? Tego nie wiem. Może go tam nigdy nie było?

– Jak to?



– Może budowa tej gigantycznej budowli była tylko mistyfikacją mającą na celu wprowadzenie w błąd zarówno współczesnych, jak i przyszłych złodziei grobów? Może wielkiego faraona po kryjomu pochowano zupełnie gdzie indziej? Choćby w jakimś szybie wykutym pod sfinksem. Albo nawet w pobliżu, pod świątynią grobową.

– Tego nigdy nie robiono.

– To nie dowód, że Chafre tego nie uczynił. A może nie ma żadnej tajemnicy faraona, a jego ciało spoczęło w komnacie grobowej odkrytej w ubiegłym wieku przez Giovanni Belzonię?

– Przecież sarkofag był pusty, a w sali Belzoni nic nie znalazł.

– Bo mógł zostać okradziony przed setkami czy tysiącami lat. W długiej historii moich przodków bywały na pewno miesiące, a nawet lata, kiedy nie mogli oni czuwać w pobliżu piramidy. Ja sam cały okres ostatniej wojny światowej spędziłem wbrew swojej woli daleko stąd. To się mogło zdarzyć wielokrotnie i w przeszłości.

– A pan, jak pan myśli? – zadałem ostatnie pytanie.

– Nie wiem – Achmed Hosni rozłożył ręce. – Nie potrafię na to odpowiedzieć. Co do mnie, zrobiłem wszystko, do czego mnie przeszłość zobowiązała.

Pożegnałem się z przyjacielem. Miałem nadzieję, że jeszcze się zobaczymy przed moim wyjazdem. Niestety, tak się złożyło, że było to wtedy nasze ostatnie spotkanie.

## ZŁODZIEJ W PIRAMIDZIE

Miałem jak najszczerze chęci, żeby raz jeszcze wybrać się do Gizy. Pożegnać się z piramidami, znów spojrzeć na te gigantyczne kopce kamienia stojące w słońcu pustyni. A potem zejść na dół aż do sfinksa i stamtąd rzucić ostatnie spojrzenie na świat jakby zastygły w swym kształcie sprzed tysięcy lat. A także zobaczyć Achmeda i jego syna Jasina, z którymi kapryśny przypadek losu tak mnie związał.

Ale przed wyjazdem z Kairu było wiele spraw do załatwienia, tyle rzeczy do obejrzenia, że doprawdy, choć z żalem, nie znalazłem nawet paru godzin, aby odbyć tę ostatnią pielgrzymkę na pustynię.

Kiedy w dwa dni później, na dwadzieścia cztery godziny przed odlotem do kraju, zszedłem na śniadanie, przy jednym ze stolików siedział samotnie Harry Walrence. Bez wielkiego entuzjazmu zajadał omlet pływający w oliwie. Ja także próbowałem już tego dania i zapewniam, że nie jest godne stołu Lukullusa.

Podszedłem do Amerykanina i zająłem miejsce naprzeciw niego.

- Jak tam idą sprawy ekspedycji? – zapytałem po powitaniach.
- Mieliliśmy sądne dni. Tabuny dziennikarzy. Skąd się oni mogli dowiedzieć? – Amerykanin spojrzał na mnie jakby z wyrzutem. Czyżby był aż tak naiwny, by mnie podejrzewać o zdradę sekretu?
- Na pewno nie ode mnie – roześmiałem się. – Przecież każdej

waszej czynności asystowały setki, a może i tysiące osób. Byłby cud, gdyby prasa nie dowiedziała się o dziwnych sprawach pod piramidami.

– No tak, ma pan rację. Zjechało się ich bez liku. Najgorsi ci egipcycy, tych było najwięcej, a i najlepiej się orientowali. Nie można ich zbyć byle czym. No, ale na szczęście mamy to za sobą. Także tłum gapiów już zmaleł. Ludzie powoli przyzwyczajają się do naszej obecności.

– Aparatura dojechała w dobrym stanie?

– W doskonałym, ale na miejscu niewiele brakowało, aby doszło do tragedii.

– Co się stało?

– Jakiś głupi Egipcjanin byłby nam zniszczył najcenniejszy aparat.

– Robotnik zatrudniony przez was?

– Nie. Prasa tyle trąbiła o cennych urządzeniach, jakie przywieźliśmy ze Stanów Zjednoczonych, że to zwabiło jakiegoś miejscowego złodziejaska.

– Nie słyszałem.

– Ogrodziliśmy teren koło dawnych baraków robotniczych i magazynów, ale to nie na wiele pomaga, bo i ten parkan jest przecież prowizoryczny i od biedy, bez większych trudności można zejść tam po skałach.

– W miejscu gdzie zachowały się ślady baraków i magazynów z epoki Chefrena?

– Właśnie.

– A kiedy spostrzeżliście kradzież?

– Na szczęście nie doszło do włamania. Usiłowaliśmy wynająć godnych zaufania dozorców, miał ich nam dostarczyć dyrektor muzeum, ale sprawa się paskudnie przeciąga. Więc sami pilnujemy

magazynów. Codziennie dwóch z nas ma dyżur. Wszystkie pomieszczenia zamykamy na noc, ale co znaczy kłódka dla dobrego złodzieja? Tego dnia, a było to przedwczoraj, dyżur pełnili dwaj koledzy. Po zapadnięciu mroku, kiedy cały teren wokół piramid wyludnił się z turystów i przechodniów, usłyszeli oni jakieś dziwne szmery dochodzące z magazynu położonego najbliżej baraku. Złodziej myślał, że może grasować tam bez obawy, gdyż nasi wartownicy nie zapalili światła w baraku i siedzieli tam po ciemku.

– To był ten błąd – roześmiałem się.

– Na szczęście! – przytaknął Amerykanin. – Koledzy, dwaj młodzi i wysportowani chłopcy, którzy dopiero w ubiegłym roku skończyli studia, aby nie płoszyć rabusia, cichutko podkradli się pod magazyn. Zastali kłódkę ukreconą i drzwi przymknięte. W środku jakiś Arab przy pomocy łomu usiłował dostać się do wnętrza jednej ze skrzyń.

– Czyżby szukał złota?

– Wiele naszych urządzeń jest cenniejszych niż złoto. Ale naturalnie w całym magazynie nie było nic, na co złodziej mógłby się połasić. Mieliliśmy szczęście w nieszczęściu, że tak prędko usłyszeliśmy tego opryszka. Albowiem przypadek sprawił, że skrzynia, do której się dobierał, zawierała najcenniejsze przyrządy pomiarowe. Unikaty wyprodukowane specjalnie dla naszego doświadczenia. Gdyby je rabuś uszkodził, a wystarczyłoby rzucić je na ziemię, to... żegnaj pieśni! Trzeba by było wracać do Ameryki i zaczynać wszystko od początku. A samo sprawdzanie dokładności przyrządów pomiarowych wymaga miesięcy pracy. A zsynchronizowanie ich z całą aparaturą? Złodziejaszek w swojej nieświadomości nic by nie zyskał, a naraziłby nas na niepowetowane straty. W ostatniej chwili zażegnaliśmy niebezpieczeństwo.

– Jak się to stało?

– Złodziej, kiedy znalazł się w środku magazynu, ogarnięty chciwością, nic nie widział i nie słyszał. Zachowywał się jak tokujący głuszc. Wartownicy po cichutku podeszli do niego i kompletnie go zaskoczyli.

– I co było dalej? – dopytywałem się, bo bardzo mnie zainteresowała ta historia.

– Nie można było dogadać się ze złapanym. Poza arabskim nie mówił żadnym innym językiem. A nasi chłopcy od biedy może by się i porozumieli z kimś władającym staroegipskim, ale po arabsku ani w ząb. Arab nie miał przy sobie żadnych dokumentów, w ogóle poza łomem, który przyniósł ze sobą, nic przy nim nie znaleziono. Więc wartownicy postanowili czekać do rana.

– Przecież mogli zawiadomić policję. Posterunek znajduje się naprzeciwko hotelu „Mena”. Mogli także zaalarmować służbę hotelową.

– Nastąpiło jakieś uszkodzenie linii telefonicznej. Do policji czy do hotelu jest dobry kawałek drogi. Musiałby tam iść jeden z nich. Diabli wiedzą, co mogłoby się wtedy zdarzyć. We dwóch byli silniejsi. Sam na sam siły by się wyrównały. A poza tym... czy Arab nie miał współników? Nie dziwię się, że chłopcy nie chcieli ryzykować.

– I co zrobili?

– Przyszedł im do głowy pomysł, aby faceta zamknąć w piramidzie.

– W piramidzie? – zdziwiłem się.

– Właśnie. Starszy pan nigdy by tego nie przypuszczał! Pomysł był dobry, bo kraty solidne, dodatkowo zabezpieczone przez nas łańcuchami. Arab nie stawiał oporu, zresztą nie miał na to najmniejszych szans i chciał nie chciał musiał powędrować w podziemia.

– No i jak to się skończyło?

– Niestety, pomyślnie dla złodzieja.

- Co takiego?
- Kiedy o świcie zaalarmowaliśmy policję, która zjawiała się dla przeprowadzenia śledztwa, w piramidzie nie znaleźliśmy nikogo. Nasz Arab jakby się rozpułnął albo zamienił w jeden z tamtejszych głazów.
- Jak to?! – zdumiałem się. – Ukrył się może w jakimś zakamarku?
- Tam przecież nie ma żadnych zakamarków. Już panu mówiłem, że konstrukcja piramidy jest arcyprymitywna.
- Więc co mogło się stać z tym człowiekiem?
- Otóż to! Dół zabezpieczyliśmy potężnymi łańcuchami, które trzeba by zdobywać przy pomocy dynamitu. Ale w górze, wysoko, jest drugie wyjście. Nie pomyśleliśmy...
- Przecież i tam jest krata.
- Jest, ale zamknięta na kłódkę. Złodziej ukurcił
- Czym?
- Deski ułożone dla turystów są w wielu miejscach zniszczone. Mocowano je nie oszczędzając żelaznych prętów. Złodziejaszek widocznie zaopatrzył się w taki pręt. I poradził sobie z kłódką. Zrobił to tak cicho, że wartownicy nic nie usłyszeli. W sumie jednak to nieudane włamanie wyszło nam na dobre.
- Dlaczego?
- Otrzymaliśmy nareszcie stałą ochronę policyjną. Bo w tutejszym bałaganie nie można było się doprosić. Teraz nocą po terenie piramid krążą patrole. Zjawili się w ciągu paru godzin po włamaniu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.
- A co mówiła policja?
- Że szybko złapie tego złodzieja. Bo co innego mogła powiedzieć?
- Może jednak złapie?

- Trzymam zakład – wszyscy Amerykanie kochają zakładanie się! – że nigdy nikogo nie znajdą. Szukaj wiatru w polu.
- Widzę, że pan realnie podchodzi do sprawy.
- Tak szczerze mówiąc, nawet się cieszymy z takiego zakończenia.
- Nie rozumiem.
- No, widzi pan, naszej ekspedycji nie zależy na zatargach z miejscową ludnością. Chcielibyśmy żyć z nią w jak najlepszej zgodzie. Złodziej na pewno pochodził z szeregów tych licznych wydrwigroszy, kręcących się koło piramid i czekających na oskubanie naiwnego turysty. Nam to nie przeszkadza, byle tylko nam nie zawadzali. Niewątpliwie jest to klan dość dobrze zorganizowany i rządzący się swoimi prawami. A także mający różne powiązania z policją.
- Pan sądzi?
- Sądzę, że policja pozwala im egzystować pod warunkiem, że jedyną formą ich zarobkowania jest naciąganie turystów na drobne usługi i sprzedaż pseudostarożytności. W przeciwnym razie, ile to musiałoby się tutaj kręcić policjantów, aby na tak wielkim i pełnym najrozmaitszych kryjówek terenie zapewnić cudzoziemcom bezpieczeństwo życia i mienia.
- Chyba ma pan rację. Nigdy nie słyszałem, aby pod piramidami kogoś okradziono. Wasz przypadek jest wyjątkiem.
- To, że złodzieja ujęliśmy, jest ostrzeżeniem dla innych, że umiemy pilnować. A to, że on jednak w końcu uciekł, chroni nas od zemsty całego klanu. Warunkiem powodzenia naszego eksperymentu jest przede wszystkim spokój. Wystarczyłoby, dajmy na to, złośliwe uszkodzenie kabla doprowadzającego prąd do piramidy, żeby spowodować niepotrzebną stratę czasu.
- Tak – przytaknąłem – pańskie rozumowanie nie jest pozbawione słuszności.

Amerykanin spojrział na zegarek.

– Ale się znów zagadałem z panem! – wykrzyknął. – Może podrzucić pana do Gizy?

– Dziękuję, już pożegnałem się z piramidami. Jutro wracam do kraju.

– Dobrze pan robi – zgodził się Harry Walrence – trochę panu zazdroszczę. Obawiam się, że my tu w Egipcie przeżyjemy gorące chwile. Słuchał pan ostatnich wiadomości?

– Nie.

– Są coraz gorsze. Wojna wisi na włosku.

– Czy pan nie przesadza?

– To nie ulega wątpliwości. Obawiam się, że nasi genialni politycy zrobią wszystko, żeby narazić się nie tylko Egipcjom, ale całemu arabskiemu światu. Im dobrze w Waszyngtonie, a my, archeolodzy, będziemy cierpieć za nie popełnione grzechy. Czy będziemy mogli prowadzić nasze doświadczenia? Czy nas po prostu nie odstawią ciupasem do granicy?

– Chyba nie będzie tak źle.

– Nie wiem, nie wiem... W każdym razie jesteśmy naprawdę zaniepokojeni. – Harry Walrence nie krył niepokoju. Ponownie spojrział na zegarek. – Już późno! Czuję, że przez pana oberwę od moich przełożonych. Pan mnie zawsze wyciągnie na zbyt długą pogawędkę. Do widzenia, szczęśliwej drogi!

– Sukcesów w pracy! – pożegnał archeologa.

Kiedy wyszedłem z hotelu i skręciłem w kierunku ulicy Kasr el-Nil, żeby w kairskim oddziale „Lotu” sprawdzić, czy z moją rezerwacją miejsca jest wszystko w porządku, nagle usłyszałem:

– Dzień dobry panu.

Odwrociłem się. Przede mną stał Jasin Hosni.



– Ogromnie się cieszę – powiedziałem szczerze – jutro odlatuję do Polski i nie miałem czasu, aby pojechać do Gizy i pożegnać się z wami. Co za szczęśliwy przypadek, że spotkaliśmy się.

– Czekałem na pana i widziałem, jak pan wychodził z hotelu. Cały czas szedłem za panem.

– Trzeba było podejść od razu.

– Bałem się, czy pan nie jest śledzony, czy nikt za panem nie idzie.

– Ja, śledzony, dlaczego? Nic nie rozumiem.

– Przecież widywano pana bardzo często z nami.

– Cóż z tego?

– My musimy uciekać. Szukają nas.

Nagle domyśliłem się wszystkiego.

– To włamanie do magazynu amerykańskiej ekspedycji?

– Tak, to był błąd. I tylko pan o tym wie... Ale oni domyślają się, że to ojciec...

– Cóż za pomysł?!

– Tak chciało przeznaczenie – Jasin, jak wszyscy Arabowie, był fatalista.

Doszliśmy milcząc do biura „Lotu”.

– Muszę iść. Do widzenia panu. Ojciec kazał pana serdecznie pożegnać. Nigdy ani ojciec, ani tym bardziej ja nie zapomnimy, co pan dla nas zrobił. Tagrid tak samo. Ojciec prosił, żeby pan nas nigdy nie szukał. Jeśli Allah zechce i tak się spotkamy.

I szybko odszedł skracając w pierwszą boczną ulicę. Następnego dnia byłem już w Warszawie.

\*

Pesymistyczne przewidywania Harry'ego Walrence'a sprawdziły

się niesłuchanie szybko i co do joty. Do Polski wróciłem pod koniec marca 1967 roku, a w niecałe trzy miesiące później Izrael zaatakował sąsiadujące z nim państwa arabskie. Między innymi Egipt. Dzięki pomocy militarnej Stanów Zjednoczonych sześciodniowa wojna skończyła się zwycięstwem napastnika. Egipt przeżył okropne chwile wojny, a później ponizenia i klęski.

Jednakże władze Egiptu okazały się szlachetne i wielkoduszne. Nie tylko nie wysiedliły amerykańskich uczonych, ale uczyniły wszystko, aby im zapewnić spokój i możliwości dalszego prowadzenia badań.

Komora iskrowa zainstalowana w sali z sarkofagiem zaczęła działać. Emitowała wiązki bogatych w energię cząsteczek. Rozmieszczona na powierzchni piramidy aparatura rejestrowała spadek natężenia metr po metrze. Wykonano tysiące doświadczeń.

Pierwsze wyniki okazały się wręcz rewelacyjne. Amerykańscy badacze ogłosili, że stoją w obliczu największego odkrycia, jakiego kiedykolwiek dokonano w egipskiej archeologii. Zanosilo się na sensację o światowym znaczeniu.

Wszystkie pomiary przekazano uniwersytetowi w Kairze, gdzie cały sztab uczonych – pod wodzą profesora Amera Goheda, przy pomocy komputera 1130 – rozpoczął analizowanie wyników.

Z dnia na dzień spodziewano się rewelacji. Czas mijał. Aż rozeszła się sensacyjna wiadomość: Amerykanie zdemontowali założone wewnątrz piramidy urządzenia i odesłali je do Stanów Zjednoczonych. A także i sami zaczęli opuszczać Egipt. Pierwszy wyjechał laureat nagrody Nobla, profesor Luis Alvarez.

Czuwający nad tą sprawą dziennikarze dopadli Amerykanina prawie w ostatnim momencie przed jego wyjazdem z Kairu. Zorganizowano naprędce konferencję prasową. Uczony okazał się jednak

wyjatkowo małowówny. Jego poprzednia elokwencja, zapał i entuzjazm minęły bez śladu. Reporterzy zdołali z niego wyciągnąć jedynie oświadczenie zredagowane stylem komunikatów sportowych, że w pierwszej rundzie zmagañ o odkrycie tajemnicy piramidy zwyciężył Chefren i jego budownicowie.

Dopiero w 1969 roku, po prawie dwuletnich badaniach i analizach wyników doświadczenia, opinia publiczna zdołała się dowiedzieć czegoś więcej. Okazało się, że zdjęcia tych samych warstw piramidy, robione z tego samego miejsca w stosunkowo krótkim odstępie czasu, wykazują znaczne różnice. Mało tego. Punkty orientacyjne, specjalnie założone dla kontroli pracy aparatury, na jednych zdjęciach występują zupełnie wyraźnie, na innych są niemal niedostrzegalne.

Profesor Amer Gohed był bardziej szczery od swojego amerykańskiego kolegi. Z kwaśną miną oświadczył przedstawicielowi wielkiego angielskiego dziennika „Times”, redaktorowi Johnowi Tunstallowi: „Z naukowego punktu widzenia otrzymanie takich wyników prześwietlenia w ogóle nie jest możliwe. Albo struktura piramidy, strzeżonej przez sfinksa o ciele lwa z twarzą faraona Chefrena, stanowi jakąś zagadkę, albo inne nie znane nam zjawiska wpływają na różnorodność zdjęć, które powinny być, muszą być identyczne. Na razie nic o tym nie wiemy. Nazwijcie to magią, czarami lub – jeśli chcecie – tajemnicą faraona”.

## EMIR IBRACHIM CHALID

I znowu, z nie mniejszą niż przed siedmiu laty emocją, oglądałem urzekający widok pustyni. Z dala zielona wstęga doliny Nilu. Na stromej skarpie jasnobure stożki piramid...

Kair zastałem odmieniony. Może biedniejszy. Ale ludzie, chociaż skromnie odziani, jak gdyby nabrali godności. Na ulicach widziało się dużo wojska. Wszyscy okazywali żołnierzom sympatię. Nie brakowało także „niebieskich hełmów” – międzynarodowych oddziałów ONZ, zabezpieczających spokój na granicy rozejmu. Polacy, Senegalczyki, żołnierze z dalekiego Peru czy Kolumbii i z innych państw. Jednakowo umundurowani, jedynie z plaketką na ramieniu pozwalającą odczytać nazwę kraju, skąd pochodzili. Ich także ulica kairska darzyła uśmiechem.

Mój arabski przyjaciel, Mahomed Sharkawy, krótko określił te wszystkie zmiany: „Chyba od czasów faraona Ramzesa III Egipcjanie po raz pierwszy zobaczyli plecy uciekającego wroga. To nie mogło nie odbić się na psychice całego narodu”.

Zwycięstwo okupiono ogromnymi ofiarami, a jego moralne skutki widoczne były na każdym kroku, na pierwszy rzut oka.

W hotelu „Skarabeusz” powitano mnie jak starego znajomego.

Portier poinformował, że choć ruch turystyczny znów się ożywił, znajdzie się jakiś pokój dla... stałego klienta.

Nazajutrz rano znowu wybrałem się do Gizy. Słońce świeciło jak wtedy, przed siedmioma laty. I jak wtedy pod piramidami nic się nie zmieniło. Już od hotelu „Mena” wielbłądnicy czekali na cudzoziemców, przewodnicy natrętnie proponowali swoje usługi. Tylko daremnie rozglądałem się za wielbłądem o dziwnie białej szyi i za jego właścicielem. Zapytałem pewnego starego Araba, którego sobie przypomniałem z dawnych czasów i o którym wiedziałem, że doskonale znał mojego przyjaciela, gdzie może być Hosni.

Arab długo milczał.

– Hosni? Pamiętam – powiedział wreszcie – miał białego wielbłąda. Ale on tu teraz nie pracuje. Od dawna.

– A gdzie go można spotkać?

– Nie wiem. Wyjechał, daleko wyjechał. Musiał wyjechać.

– A jego syn, Jasin?

– Także go nie ma w Kairze. Wyjechali razem.

– Co się dzieje z Tagrid, taką ładną dziewczyną, która nosiła im zawsze jedzenie?

Arab uśmiechnął się. Jego nieufność wobec zbyt ciekawego cudzoziemca wyraźnie zmalała.

– Słyszałem, że Jasin ożenił się z tą dziewczyną. Ojciec wyraził na to zgodę. Kiedy wyjechali, ona jeszcze przez pewien czas tu mieszkała, ale potem i ona, i jej matka też wyjechały.

– Nie wie pan dokąd?

– Ludzie mówili, że do Arabii Saudyjskiej czy do Kuwejtu. Ale tylko jeden Allah zna prawdę.

Podziękowałem mojemu informatorowi i powędrowałem w górę do piramid. Tutaj od siedmiu lat nic się nie zmieniło, tak jak niewiele zmieniło się przez czterdzieści siedem wieków. Piramida Chefrena

była dostępna dla turystów. Po amerykańskiej ekspedycji nie pozostał najmniejszy nawet ślad. Wprawdzie wyjeżdżając z Egiptu profesor Luis Alvarez zapowiedział, że doświadczenia zostaną ponowione, jednakże „druga runda” nie nastąpiła. Najwidoczniej ci, którzy finansowali całą imprezę, obawiali się, że i ta runda przyniesie zwycięstwo „staremu panu”.

Obszedłem piramidy dookoła, żałowałem, że ostatniej zdobyczy archeologów, łodzi pogrzebowej Cheopsa, jeszcze nie udostępniono zwiedzającym. Obejrzałem tylko dziurę w ziemi, gdzie ją odkryto. Aż dziw, że trzeba było czekać na to tyle wieków – przecież znajdowała się zaledwie kilkadziesiąt metrów od piramidy, przysypana niewielką warstwą ziemi. Druga, przy której dopiero teraz rozpoczęto prace badawcze, była jeszcze bliżej. Z tą różnicą, że po stronie południowej, a nie północnej, tak dokładnie penetrowanej przez złodziei i uczonych. Szukać na południu nikomu nigdy nie przyszło do głowy, bo wszelkie nekropole, a także wejścia do grobowców królewskich zawsze się znajdowały po stronie północnej. Stary Chufu wywiódł w pole wszystkich.

W mojej ulubionej kotlinie panowała cisza i spokój. Położyłem się na gorącym piasku i poświęciłem rozmyślaniami. Przypomniałem sobie to wszystko, co mi się przytrafiło za moim poprzednim pobyt w Kairze. Zacząłem wątpić, czy to mogło być rzeczywistością. A może wszystko, od a do z, po prostu mi się przyśniło pewnej nocy na hotelowym łóżku? Może Achmed Hosni nigdy nie istniał?

Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że Sokrates ze swoim słynnym „wiem, że nic nie wiem” miał jednak rację. Bo naprawdę nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Aż wreszcie uciałem sobie przyjemną drzemkę. A że sen podobno przynosi dobre rady, obudziłem się z mocnym

postanowieniem, żeby więcej się tymi sprawami nie przejmować i jak najszybciej o nich zapomnieć.

Tym razem mój pobyt w Kairze trwał dużo krócej, ale był bardziej pracowity niż poprzednio. Nie miałem czasu na opalanie się pod piramidami.

W przeddzień powrotu do Warszawy jeden z moich egipskich przyjaciół, wspomniany już poprzednio Mahomed Sharkawy, zaprosił mnie na pożełgalny obiad. Do restauracji hotelu „Nile-Hilton”, najbardziej bodaj ekskluzywnego i najdroższego lokalu w Kairze.

Mój towarzysz był błyskotliwym rozmówcą, znającym doskonale miejscowe społeczne i polityczne, tak nieraz zawikłane, stosunki. Czas mi upłynął przyjemnie. A lokal i obiad? Masa kelnerów kręcących się wokół gości, ale na potrawy trzeba było dość długo czekać, a kuchnia nie odpowiadała jakością cenom. Te ostatnie były naprawdę... pierwszorzędne.

Kiedy wychodziliśmy z hotelu, przed podjazdem zatrzymał się wielki samochód. Jeden z tych wykonywanych na specjalne zamówienie wschodnich milionerów. Pikolacy rzucili się otwierać drzwi. Portier, zgięty w ukłonach, witał dostojnych gości.

Z auta wysiadł starszy, dość tęgawy mężczyzna. W nienagannie skrojonym czarnym garniturze. Śnieżnobiała koszula, srebrnopopielaty krawat. Z wyniosłą miną, nie zwracając na nikogo uwagi, wszedł do gmachu. Koło mnie przeszedł, jakbym był powietrzem. Jak przystało na prawowiernego muzułmanina, który odbył nakazaną przez proroka trzykrotną hadżadż, pielgrzymkę do Mekki, jego turban ozdobiony był zielonymi wypustkami.

Pomimo upływu lat i innego stroju poznałem go natychmiast. Nie mogłem się mylić!

Tymczasem z samochodu wysiadł młody człowiek. Przechodząc koło mnie lekko skinął głową i przymrużył porozumiewawczo oko. Zaraz za nim ukazała się kobieta uderzającej urody. Jej skromny, ale wytworny strój na pewno pochodził z jednego z najelegantszych domów mody w Paryżu. Dziewczyna na mój widok skłoniła się tak nisko, jak gdybym był księciem z bajki.

- Kto to jest, ten w turbanie? – zapytałem pana Sharkawy.
- Przecież kłaniali się panu. Zarówno ten młody, jak i jego żona.
- Chyba nie mnie, myślałem, że panu.
- Ja ich nie znam, ale to pewnie jakiś bogaty szejik naftowy. Zaraz się dowiem – z uczynnością tak właściwą Egipcjanom mój towarzysz poszedł zasięgnąć języka. Po chwili wrócił ożywiony.
- To emir Chalid. Emir Ibrahim Chalid. Prawie legendarna postać. Słyszałem o nim wiele, chociaż nie miałem szczęścia go spotkać.
- Emir Chalid? To pachnie baśniami z tysiąca i jednej nocy.
- Przede wszystkim pachnie naftą. I to wielką ropą. Kto go tam wie, jak on się przedtem naprawdę nazywał i kim był? Podobno pochodzi z Dubaju. Zapewne przed niewielu laty miał ze trzy kozy i parę owiec albo pasał konie.
- Raczej wielbłąda – wtrąciłem.
- Może i wielbłąda – zgodził się pan Muhamed – chociaż na Półwyspie Arabskim kochają się w koniach. Nagle wybuchła tam wielka ropa i te wszystkie pustynne pastuchy obudziły się pewnego dnia milionerami czy nawet multimilionerami. Jednym z nich jest właśnie dzisiejszy emir Chalid.
- A dlaczego pan go nazwał „legendarną postacią”?



– Nasz naftowy nabab zjawił się w Kairze gdzieś przed półtora rokiem i z miejsca zakochał się w starożytnym Egipcie. Bardzo szybko zaczął się uważać za znakomitego archeologa. A że ma ogromne pieniądze i może wynajmować zarówno robotników, jak i najznakomitszych fachowców, więc osiągnął w tej dziedzinie już poważne sukcesy.

– I cóż na to wasi uczeni?

– Może po cichu śmieją się z niego, ale muszą się liczyć z jego kasą. Gdyby nie hojność tego człowieka, zarówno uniwersytet, jak muzeum kairskie nie stać byłoby na prowadzenie wielu akcji wykopaliskowych.

– To jednak pozytywna postać?

– Niewątpliwie. I dość sympatyczna, pomimo swojego nieprzyzwoitego wprost bogactwa. Zajmuje w „Hiltonie” kilka apartamentów i przez miesiąc płaci więcej niż my obaj zarobimy przez całe życie. Buduje sobie piękny pałacyk.

– Koło piramid?

– Pan już słyszał o tym? – doktor Sharkawy zdziwił się nieco.

– Nie. Tylko gdybym ja sobie budował willę, właśnie tam bym ją umiejscowił.

– Emir Chalid też tak zrobił. O jego pałacu, stawianym w pobliżu wielkiego sfinksa, krążą całe legendy. Piramidy to specjalny konik nowo upieczonego archeologa.

– Czyżby znowu tajemnica faraona Chefrena?

– Nie, Chalid najbardziej interesuje się wykopaliskami w Dahszur, w Kaddab i w Medum. Usiłuje dowieść, że piramida w Medum jest pierwszą właściwą piramidą egipską, starszą od tych dwóch zbudowanych przez faraona Snorfu, i że jej twórcą był faraon Hewny z poprzedniej, trzeciej dynastii.

– To chyba znana hipoteza. A piramidami w Gizie nie interesuje się?

– Jeszcze nie, ale czy wiadomo, co takiemu bogaczowi jutro strzeli do głowy?

– Ciekawą historię pan mi opowiedział.

– Co ciekawsze – dodał pan Sharkawy – są tacy, którzy twierdzą, że Emir Chalid jest Egipcjaninem, urodzonym w Kairze lub na jednym z jego przedmieść. Że miał jakieś zatargi z prawem i uciekł do Arabii Saudyjskiej. Później zaś wylądował w emiratach arabskich. Szybko zorientował się w koniunkturze i na spekulacjach roponośnymi terenami zbił ogromny majątek. Kto go tam zresztą wie, jak było naprawdę? Natomiast faktem jest jego ogromne bogactwo.

Podziękowałem doktorowi Sharkawy za przyjęcie, jakim mnie uraczył, i za udzielone mi informacje o naftowym emirze.

– Nikogo do mnie nie było? – zapytałem portiera, kiedy wieczorem wróciłem do hotelu „Skarabeusz”.

– Nie, proszę pana.

– Żadnych telefonów? – ciągle miałem nadzieję.

Portier sprawdził u dyżurującej telefonistki.

– Niestety, nie.

Podziękowałem recepcjoniście, poczęstowałem go carmenem (polskie papierosy cieszą się bardzo dobrą opinią nad Nilem), zabrałem klucz i poszedłem na górę. Idąc pomyślałem sobie, że zapewnienia o przyjaźni są monetą, która niezmiernie łatwo się dewaluuje.

Otworzyłem drzwi pokoju. Zapaliłem światło. Coś się zażółciło na nocnym stoliku przy łóżku.

Podszedłem bliżej. Na marmurowym blacie leżała mała złota blaszka. Kto ją tu położył? Wiedziałem, że na próżno bym o to dopytywał służbę hotelową. Odpowiedziałyby mi tylko milczeniem.

Trzymałem w ręku złotego skarabeusza ze znakami wielkiego Horusa Chafre. Prawdziwy czy zręczna imitacja? Nigdy tego nie sprawdzałem.

Gdyby był prawdziwy, może miałbym pokusę sprzedania go. Byłby to przecież bezcenny klejnot. Jeśli to imitacja, po co sprawdzać i tracić złudzenie?

A tajemnica wielkiego faraona Chefrena?

Czy ciągle czeka na swoje rozwiązanie?

A może w ogóle jej nie ma?

Tylko przyszłość rozwiąże tę zagadkę.

## DRODZY CZYTELNICY

*uwagam, że winien Wam jestem parę słów objaśnienia, jak powstała ta książka i co w niej jest prawdą, a co tylko fikcją literacką, do której każdy autor ma przecież prawo, nawet przy pisaniu powieści historycznej.*

*Akcja „Strażnika piramidy” toczy się w starożytnym Egipcie (którego nazwa w języku staroegipskim brzmi Kemet), w epoce Starego Państwa, a więc prawie cztery i pół tysiąca lat temu, za panowania faraona z IV dynastii, Chafre, zwanego z grecka Chefrenem. Przyjęło się bowiem używanie nomenklatury greckiej, ponieważ najpopularniejszym źródłem wiedzy o Egipcie faraonów są przekazy historyków i podróżników starożytnych, pisane najczęściej po grecku. Pierwotne nazwy staroegipskie uległy zapomnieniu i zostały – można by powiedzieć – na nowo odkryte dopiero przed stu pięćdziesięciu laty, gdy uczynym udało się odczytać egipskie hieroglify.*

*Na podstawie prowadzonych wciąż badań archeologicznych i historycznych burzliwe dzieje starożytnego Egiptu, trwające przez trzy tysiąclecia, podzielono na następujące okresy:\**

Wg wydanej w 1976 r. pracy zbiorowej pod redakcją A. Szczudłowskiej *Egipt Starożytny*; chronologia starożytnego Egiptu jest jednak trudna do ustalenia, w związku z czym istnieje kilka jej wariantów.

<i>Okres predynastyczny</i>	<i>przed ok. 3100</i>	<i>p.n.e.</i>
<i>Okres Tynicki</i>		
<i>(dynastie I i II)</i>	<i>„ 3100-2686</i>	<i>„</i>
<i>Stare Państwo</i>	<i>„ 2686-2181</i>	<i>„</i>
<i>III dynastia 2686-2613</i>		
<i>IV „ 2613-2494</i>		
<i>V „ 2494-2345</i>		
<i>VI „ 2345-2181</i>		
<i>I Okres Przejściowy</i>		
<i>(dynastie VII-X)</i>	<i>„ 2181-2133</i>	<i>„</i>
<i>Średnie Państwo</i>		
<i>(dynastie XI i XII)</i>	<i>„ 2133-1786</i>	<i>„</i>
<i>II Okres Przejściowy</i>		
<i>(dynastie XIII-XIV)</i>	<i>„ 1786-1567</i>	<i>„</i>
<i>Nowe Państwo</i>		
<i>(dynastie XVII-XX)</i>	<i>„ 1567-1085</i>	<i>„</i>
<i>Okres Późny</i>		
<i>(dynastie XXI-XXX)</i>	<i>„ 1085- 330</i>	<i>„</i>
<i>Okres Ptolomejski</i>	<i>„ 330- 30</i>	<i>„</i>
<i>Okres Rzymski</i>	<i>przed ok. 30 p.n.e.; 395 n.e.</i>	

*Występujący w „Strażniku piramidy” faraon Chafre był trzecim z kolei „legalnym” królem IV dynastii, założonej przez jego dziada, Snofru, nazwanego wielkim budowniczym. Po Snofru objął władzę jego syn Chufu (Cheops), twórca największej piramidy (Achet Chufu). Gdy Chufu zmarł, na tronie zasiadł Redzedef (z greckiego Didufri), jak można sądzić – uzurpator, który zagarnął koronę po zamordowaniu najstarszego syna Chufu, Kanaba. Wkrótce jednak korona Dolnego i Górnego Egiptu spoczęła na głowie innego syna Chufu, właśnie Chafre (Chefrena).*

*Niewiele wiemy o tych czasach. Należy jednak przypuszczać, że*

był to okres pokoju. Granice Egiptu rozciągały się od Morza Śródziemnego do pierwszej katarakty Nilu; pod jego władaniem pozostał prawdopodobnie Półwysep Synajski, a wpływy egipskie silne były również w Libii. Był to okres największego rozkwitu Starego Państwa jako potężnej monarchii, zjednoczonej pod berłem absolutnego władcy. Nawadniana za pomocą sieci kanałów ziemia rodziła obfite plony, państwo było bogate, nic więc dziwnego, że faraonowie IV dynastii mogli sobie pozwolić na budowanie wspaniałych świątyń, a przede wszystkim – z myślą o życiu pośmiertnym – ogromnych piramid, w których ukryte ich doczesne szczątki miały w spokoju przetrwać wieczność. Bowiem religia egipska uznawała nieśmiertelność duszy tylko tak długo, jak długo trwa ciało i zapisane imię. Stąd balsamowanie zwłok i starania o zapewnienie im jak najwspanialszego grobowca.

Świątynie i piramidy budowano z kamienia. Głównie z wapienia, którego w Egipcie nie brakowało. Natomiast domy mieszkalne, a nawet pałace królewskie stawiano z wysuszonej cegły mułowej. Do naszych czasów nie zachowało się po nich zupełnie nic. Dlatego też, opisując na przykład pałac królewski, korzystałem z przekazów dotyczących późniejszego okresu. Podobnie zresztą postąpiłem przy opisie uroczystości pogrzebowych. Sądzę jednak, że te smutne ceremonie nie uległy przez wieki większym zmianom. Teksty modlitw i śpiewów podaję autentyczne, jednakże i one pochodzą z czasów Średniego bądź Nowego Państwa.

Budowa ogromnych piramid nie zapewniła faraonom wiecznego spokoju. Zarówno piramidy, jak inne rodzaje grobowców zostały już w starożytności wielokrotnie ograbione. W grobowcach bowiem prócz mumii umieszczano bogate wyposażenie, mające służyć umarłemu w przyszłym życiu. Te właśnie znajdujące się w grobach skarby

wabiły rabusiów od najwcześniejszych lat. Do naszych czasów przetrwał w stanie prawie nie naruszonym jeden tylko grobowiec – faraona Tutenchamona z XVIII dynastii, a więc z epoki Nowego Państwa.

Piramida, którą wybudował sobie Chafre (Wer Chafre), jest drugą co do wielkości (największa – Achet Chufu). Zbudowano ją z bloków wapienia ważących przeciętnie od dwóch do trzech ton każdy. Następnie piramida została obłożona płytami z czerwonego granitu – do dziś zachowały się te płyty jedynie w górnej części budowli. W przeciwieństwie do piramidy Cheopsa piramida Chefrena ma bardzo prostą konstrukcję i aż dwa wejścia prawie wcale nie zamaskowane.

Ten dziwny „prymitywizm” wzbudził podejrzenia niektórych egip-tologów (głównie amerykańskich), że korytarz i komory grobowe to tylko zwykłe „atrapy” dla wprowadzenia w błąd rabusiów, a sam grobowiec znajduje się w innym miejscu. Teorię tę poparł sławny fizyk, laureat nagrody Nobla (między innymi jeden z twórców bomby atomowej), prof. Luis Alvarez, który opracował metodę prześwietlenia piramidy promieniami gamma, mającymi wykryć puste miejsca.

Będąc w Egipcie w 1967 roku i zwiedzając teren wielkich piramid w Gizie (pod Kairem), zauważyłem drucianą siatkę wokół piramidy Chefrena, jakieś blaszane baraki i urządzenia elektroniczne. Stary Arab, pierwowzór późniejszego poganiacza wielbłądów, bohatera powieści, wytłumaczył mi, że właśnie amerykańsko-egipska ekspedycja naukowa rozpoczęła prześwietlanie piramidy, aby zbadać, czy w jej wnętrzu nie zachował się nie naruszony jeszcze grób królewski.

Sposób prowadzenia badań starałem się przedstawić możliwie najdokładniej. Wszystkie nazwiska uczonych egipskich i amerykańskich, jakie podaję, są autentyczne. Oczywiście, mój opis tego eksperymentu nie pretenduje do fachowości i zdaję sobie sprawę, że ma na pewno wiele braków. Sądzę jednak, że udało mi się możliwie

*przystępnie wytłumaczyć Wam, na czym polegał problem.*

*Natomiast zdziwiła mnie reakcja starego wielbłądnika. W nawiasie dodam, że jego wielbłąd był rzeczywiście bardziej biały niż inne. W rozmowie ze mną Arab powiedział z goryczą: „Jeśli tam w piramidzie znajduje się nie naruszony przez prawie pięć tysięcy lat grób faraona, to ludzie nie powinni zakłócać jego wiecznego spokoju”.*

*Te słowa głęboko zapadły w moją pamięć. I tak zrodził się pomysł powieści. Pisałem ją zresztą dopiero w 1974 roku, po moim drugim pobycie nad Nilem.*

*Przez te lata wiele się tam zmieniło. Wiedziałem już wówczas o zakończonych fiaskiem badaniach amerykańskich. Dostęp do piramidy Chefrena znowu był wolny, ale w Kairze mówiono, że profesor Alvarez nie dał za wygraną i szykuje nową wyprawę. Wypowiedzi i wywiady prasowe członków ekspedycji zostały przeze mnie wiernie przepisane z angielskiego pisma „Times”.*

*Już po napisaniu powieści przeczytałem w polskiej prasie, że Amerykanie rzeczywiście nie dali za wygraną i w 1975 roku ponownie zjawili się nad Nilem. Przywieźli nową, ulepszoną aparaturę. Ale i te drugie badania nie przyniosły oczekiwanego wyniku. Przeciwnie, rezultaty ich były tak dziwne, iż profesor Luis Alvarez wysunął hipotezę, że we wnętrzu piramidy znajdować się może jakaś radioaktywna substancja, której działanie powoduje błędy w pomiarach. Czyżby tajemnicza „ziemia śmierci”?*

*O sposobie budowy piramid krążyły przez całe wieki najrozmaitsze legendy. Już grecki historyk Herodot wspomina o stu tysiącach niewolników wznoszących te budowle i posługujących się przedziwnie skonstruowanymi maszynami, służącymi do podnoszenia potężnych brył kamiennych na szczyt. Dopiero dzięki badaniom polskich*



egiptologów, głównie inż. W. Kozińskiego, zagadka została ostatecznie rozwiązana. Piramidy budowano w „martwym sezonie”, przez trzy miesiące w ciągu roku. Do tych wielkich, jak powiedzielibyśmy dziś: robót publicznych mobilizowano ludność wiejską. Na placu budowy nigdy nie znajdowało się więcej niż dwadzieścia tysięcy niewykwalifikowanych robotników. Jedyne załogi kamieniarzy i szlifierzy pracowały przez cały rok. Byli to płatni ze skarbu państwa robotnicy, których liczba nie przekraczała pięciu tysięcy. Piramidę budowano bez żadnych maszyn, posługując się jedynie nasypami i ludzkim transportem (sanie ciągnione po mokrej, gliniastej ziemi). Okładzinę piramidy zaczynano od szczytu. W miarę kończenia robót usuwano nasypy. Robotnicy mieszkali w stawianych nie opodal barakach – zachowały się do dziś dnia resztki takich robotniczych osiedli.

Naturalnie, opis tajemniczych urządzeń, zawierających „ziemię śmierci”, jest fantazją autora. Natomiast budowa piramidy wyglądała mniej więcej tak, jak to przedstawiłem w powieści.

Gorąco zachęcam miłych Czytelników do zainteresowania się pasjonującymi dziejami Starożytnego Egiptu, jego wspaniałą cywilizacją, kulturą, sztuką. W języku polskim ukazało się wiele bardzo ciekawych książek poświęconych tej tematyce. Znajdziecie je w bibliotece publicznej, czytelnicy, a nawet na półkach księgarskich. Oto niektóre z nich:

*T. Andrzejewski – Starożytny Egipt (WP)*

*T. Andrzejewski – Opowiadania Egipskie (PWN)*

*F. Daumas – Od Narmera do Kleopatry (PWN)*

*E. Drioton – Egipt faraonów (PWN)*

*J. Lipińska – Architektura Starożytnego Egiptu (Wyd. U.W.)*

*J. Lipińska – 500 zagadek o Starożytnym Egipcie (WP)*

*J. Lipińska – Technika i technologia w Starożytnym Egipcie  
(PWN)*

*J. Lipińska, M. Marciniak – Mitologia Starożytnego Egiptu  
(PWN)*

*M. Marciniak i in. – Starożytny Egipt (W AiF)*

*K. Michałowski – Nie tylko piramidy... (WP) .*

*P. Montet – Życie codzienne w Egipcie (PIW)*

*Praca zbiorowa – Starożytny Egipt (PWN)*

*Autor*

## SPIS TREŚCI

Początek wielkiej przygody	5
Wielbłądnik z Gizy	8
Sznurek z piasku	25
Opowiadanie Achmeda Hosni	44
Nieproszony świadek	61
Podróż do stolicy	76
Jeden dzień Horusa	97
Złodziej i księżniczka	120
Ojciec i syn	133
Pułapka śmierci	147
Znajomy z hotelu „Skarabeusz”	163
Złoty skarabeusz faraona Chefrena	180
Złodziej w piramidzie	197
Emir Ibrachim Chalid	207
Od Autora	215